

PIOTR ZYCHOWICZ O PROROCTWIE SPRZED LAT

Kto odpowiada za wojnę na Ukrainie
- wersja prof. Johna Mearsheimera



Dwugłos „Do Rzeczy”:
Jaki będzie koszt szybkiej
rezygnacji z rosyjskich surowców

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 16/472 19-24 KWIETNIA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY



PHIL COLLINS NA ZAWSZE
ROZSTAJE SIĘ ZE SŁUCHACZAMI

Tomasz Rowiński
kontra Tomasz Terlikowski



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy

Widmo głodu

JAK WOJNA PROWADZI
DO KATASTROFY ŻYWNOŚCIOWEJ



NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

WYSOKIE REZERWY NBP

Narodowy Bank Polski posiada wysoki poziom rezerw walutowych (oficjalne aktywa rezerwowe na koniec lutego 2022 r. wynosiły ponad 143 mld EUR, tj. ponad 160 mld USD). Zgodnie z oceną agencji ratingowych i instytucji międzynarodowych, w tym Międzynarodowego Funduszu Walutowego, rezerwy NBP są utrzymywane na adekwatnym poziomie, który zapewnia stabilność finansową i bezpieczeństwo płatnicze Polski.

Ze względu na niepewność dotyczącą rozwoju sytuacji geopolitycznej oraz związaną z tym zmienność na międzynarodowych rynkach finansowych, w celu zwiększenia możliwości wykorzystania płynnych środków w walutach obcych, NBP uzgodnił zawarcie ostrożnościowej linii swapowej z Europejskim Bankiem Centralnym (EBC).

WZMOCNIENIE STABILNOŚCI POLSKIEGO SYSTEMU FINANSOWEGO

Linia swapowa pomiędzy NBP a EBC daje możliwość polskiemu bankowi centralnemu pozyskanie dodatkowych płynnych środków w euro (do wartości 10 mld EUR) z EBC, w zamian za złote, na okres do 3 miesięcy. Linia swapowa będzie obowiązywać do 15 stycznia 2023 roku, o ile nie zostanie ona przedłużona.

Możliwość pozyskania płynnych środków w euro z EBC będzie wzmacniać stabilność polskiego systemu finansowego i zapewniać dodatkowy bufor bezpieczeństwa w razie pojawienia się zaburzeń na międzynarodowych rynkach finansowych.

KOMUNIKAT EBC I NBP:

Europejski Bank Centralny (EBC) i Narodowy Bank Polski (NBP) uzgodniły zawarcie ostrożnościowej umowy walutowej (linii swapowej) w celu zapewnienia płynności w euro.

W ramach linii swapowej NBP będzie mógł pozyskać w EBC środki do kwoty 10 mld euro w zamian za złote. Maksymalny termin zapadalności każdej transakcji wyniesie trzy miesiące. Linia swapowa będzie obowiązywać do 15 stycznia 2023 roku, o ile nie zostanie ona przedłużona.

28 marca 2022 r.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Opozycja ma plan

Za każdym razem, kiedy zżymam się na posunięcia obecnego rządu i jego w wielu punktach co najmniej ryzykowną politykę, zaczynam zerkać w stronę tego, co proponuje opozycja. W końcu uczono mnie, że na tym polega prawdziwa demokracja. Konkurs ofert, rywalizacja na argumenty i pomysły. Niestety, wydaje się, że przedstawiciele Platformy uparli się, żeby udowodnić, że zawsze może być jeszcze gorzej. Zawsze może być jeszcze głupiej i jeszcze bardziej niedorzecznie.

kim porównaniem? Jak człowiek, który był polskim premierem i chce nim być ponownie, może nie dostrzegać tej różnicy? Tym, co Katyń czyni tak wyjątkowym i nieporównywalnym z innymi zbrodniami, nie jest sama liczba ofiar, bo podczas drugiej wojny światowej w wielu miejscach ginęło więcej żołnierzy czy też cywili, ale zimny, wykalkulowany charakter zbrodni i dokonanie jej na bezbronnych jeńcach podczas pokoju. Ponadto czynnik nie mniej istotny, który pokazuje unikatowość Katynia,

z PiS w rozdawnictwie. „Drożyzna nieznana od ćwierćwiecza. Fala uchodźców i wojna za naszą granicą. Polska ma pecha, bo w chwilach najcięższych prób powinni rządzić ludzie kompetentni. Stało się inaczej, ale naszym zadaniem jest, aby ten czas zakończył się jak najszybciej. To zależy od tego, w jakiej kondycji będą ci, którzy tak naprawdę dźwigają państwo polskie na swoich barkach. Nauczyciele, pielęgniarki i cała sfera budżetowa liczą, czy wystarczy im pieniędzy do końca miesiąca. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy z powodu drożyzny i inflacji cierpią [...]”. Musimy zmusić władzę, aby natychmiast pomogła setkom polskich rodzin, które chronią polską państwowość. Najważniejsza jest 20-procentowa podwyżka dla pracowników sfery budżetowej” – to najnowszy pomysł Tuska. Najpierw mówi o drożyznie, o inflacji, a potem... wzywa do podwyżki o 20 proc. dla całej sfery budżetowej. Nie wiem, jak nazwać taką propozycję. Populizm? Głupota? Zapewne. A może cynizm: Tusk, który zarobił gigantyczne pieniądze w Brukseli, dla której porzucił stanowisko szefa rządu, teraz występuje w roli obrońcy pracowników budżetówki.

Nie będę już wspominał innych wyskoków lidera PO. Po co, skoro najwyraźniej dla zwolenników opozycji nie ma to znaczenia? Ważne, żeby gryzł i atakował PiS. Ważne, żeby na każdym kroku i w każdy sposób uderzał w Kaczyńskiego. Tego chcą, tym się syca, za tym tęsknią.

Wiem, że teatralizacja, pusta retoryka, instrumentalne używanie emocji, ucieczka od rozumu to w ogóle przypadłość systemu demokratycznego, a w Polsce cierpi na nią nie tylko Platforma. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy intelektualna degrengolada po jej stronie przebiła wszystko, co można sobie było wyobrazić. ©©

Mariupol jak Katyń? Co trzeba mieć w głowie, żeby publicznie występować z takim porównaniem? Jak człowiek, który był polskim premierem i chce nim być ponownie, może nie dostrzegać różnicy?

I tak, jeśli przedstawiciele PiS dramatyzują język, opisując agresję Rosji na Ukrainę, to Platforma musi iść jeszcze dalej. Pierwszy przykład z brzegu to ostatnie wystąpienie Donalda Tuska na Radzie Krajowej PO. „W Mariupolu zginęło ponad 20 tys. ludzi. Symbolicznie niemal tyle, ile zostało wymordowanych Polaków w Katyniu” – zaczął lider PO. Nie wiem, czy to prawda, nie wiadomo bowiem, ilu ludzi zginęło w Mariupolu. Może tyłu, o ilu mówił Donald Tusk, może mniej, może więcej. W ogóle nie powinien tam zginąć nikt. Nie mam też wątpliwości, że zbrodnie dokonane przez rosyjskiego agresora muszą zostać nazwane po imieniu, a ich winni powinni zostać ukarani. Ale porównywać Mariupol do Katynia?

Jak ma się śmierć w otwartej wojnie do wymordowania podstępного, tajnego, zaplanowanego z zimną krwią tysięcy polskich oficerów i urzędników? Mariupol jak Katyń? Co trzeba mieć w głowie, żeby publicznie występować z ta-

to wypieranie się zbrodni przez sowieckich oprawców, tuszowanie jej, prawne prześladowanie tych, którzy o tej prawdzie wspominali. Swego rodzaju pieczęcią podłości była sowiecka próba przypisania jej Niemcom w Norymberdze.

Porównywać Katyń do Mariupola może tylko ktoś, kto nie ma elementarnej historycznej wrażliwości. A robić to w takiej chwili jak obecnie, kiedy to w Rosji pojawiają się podłe głosy wzywające do likwidacji cmentarza polskich ofiar w Katyniu, może tylko ktoś działający na szkodę polskich interesów. No bo jeśli Mariupol to drugi Katyń, jak mówią sami Polacy, to skoro tyle wysiłku zajmuje nam zdobycie Mariupola, przynajmniej zniszczmy cmentarz w Katyniu – aż się prosi, żeby rosyjscy barbarzyńcy wyciągnęli taki wniosek ze słów Tuska.

Szałeństwo opozycji nie przejawia się tylko w niezrozumieniu historii i w posługiwaniu się błędnymi analogiami. Nie mniej, a może bardziej szkodliwe jest ściganie się



TEMAT TYGODNIA

14 JAKUB WOZINSKI
ŚWIAT PRZED KOLEJNYM KRYZYSEM

Najpierw wielki głód,
potem wielka fala migracji?

18 ANDRZEJ SOLECKI
EKOLOGIA GŁODZI ŚWIAT

KRAJ

20 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
**WSPIERAJĄC UKRAINĘ,
OSŁABIAMY ROSJĘ**
Unia obiecuje, ale nie pomaga

24 PIOTR SEMKA
ROZMAZANA UKRAINA

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
A POLSKA ARMIA?

28 MAREK JUREK
DZIELNY LUDWIK

30 TOMASZ ROWIŃSKI
**NOWY KONSERWATYZM
TOMASZA TERLIKOWSKIEGO**

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
ALKOHOŁOWY ZJAZD

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POSIŁEK OD BON JOVIEGO

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKO INACZEJ
Kłęska popkultury na Ukrainie

38 GRZEGORZ BRZÓWICZ
ŻARTOWNIŚ Z SĄSIEDZTWA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY



47
TĘCZOWA REWOLUCJA W KULTURZE

OPINIE

64 PIOTR ZYCHOWICZ
PROROCTWO MEARSHEIMERA
Polskie wydanie „Wielkiego złudzenia”

68 WOJCIECH GOŁONKA
OPCJA ATOMOWA

70 ROMUALD SZEREMIETIEW
**WOJNA,
KTÓREJ MIAŁO NIE BYĆ**

HISTORIA

72 LESZEK ŻEBROWSKI
GNĘBIENIE PAMIĘCI
Fakty, których nie chcemy znać

ŚWIAT

78 OLIVIER BAULT
**LE PEN NIGDY NIE BYŁA
TAK BLISKO CELU**
W którą stronę skręci Francja?

82 MACIEJ PIECZYŃSKI
BROŃ DYPLOMATYCZNA

EKONOMIA

84 ŁUKASZ WARZECHA
KOSZTOWNA SOLIDARNOŚĆ
Dlaczego nie powinniśmy rezygnować
z rosyjskich surowców

86 ROZMOWA Z DR. INŻ. ANDRZEJEM SIKORĄ
**KAŻDĄ CENĘ WARTO ZAPŁAĆ,
ABY MÓC REZYGNOWAĆ
Z ROSYJSKICH SUROWCÓW**

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z BOGDANEM GAJEWSKIM
**NARODOWY PROGRAM
TO PODSTAWA**
Plan dla Chorób Rzadkich

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (77), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

Droży Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@дорзeczy.pl

„Cień Moskwy nad Watykanem”, Tomasz Rowiński, „DRz” 15/2022

Znakomity artykuł Tomasza Rowińskiego pod jakże sugestywnym tytułem „Cień Moskwy nad Watykanem” skłania mnie do następującej refleksji. Zachowanie papieża Franciszka w kontekście wojny na Ukrainie, jego wypowiedzi – bądź osobiste, bądź formułowane ustami kard. Parolina – nawet na standardy, do których nas papież przyzwyczaił, wydają się głęboko niepokojące. Wydają się także niezrozumiałe. Cóż bowiem miałyby powstrzymać papieża przed – zdawałoby się – całkowicie uzasadnionym i powszechnie oczekiwanym potępieniem agresji, a także przed jasnym wskazaniem agresora i ofiary? Tym bardziej nie sposób zrozumieć, co powoduje, że papież neguje oczywiste i moralnie

ugruntowane (co najmniej od czasów św. Augustyna) pojęcie wojny sprawiedliwej. [...]

Znamienny jest fakt „wizyty” papieża w ambasadzie rosyjskiej nazajutrz po agresji. Dlaczego papież złamał absolutnie standardową procedurę polegającą na tym, że jako szef państwa powinien – jeżeli jego wolą było coś zakomunikować ambasadorowi – wezwać go do siebie? Czy aby nie dlatego, że to właśnie ambasador miał coś do przekazania papieżowi i że to właśnie papież został „wezwany” do ambasady? A cóż takiego mógłby chcieć przekazać rosyjski ambasador papieżowi? Mógłby np. zakomunikować, że Rosja życzy sobie, by papież zachowywał się wobec agresji właśnie tak, jak się zachowuje. Nasuwa się oczywiste pytanie o siłę sprawczą „argumentów” ambasadora. I tu pojawia się szersze i zarazem ciemne tło. Pojawiają się Chiny jako sojusznik Rosji, będący zapewne (o ile pamiętam, wspominano o tym także w którymś z ubiegłych numerów „Do Rzeczy”) w posiadaniu informacji wywiadowczych (nagrań) na temat ekscesów „lawendowej mafii” w Watykanie. W tym kontekście pozornie niezrozumiałą

polityka Watykanu wobec Rosji zdaje się mieć ten sam korzeń co polityka Watykanu wobec Chin, słusznie postrzegana jako zdrada wiernego mimo prześladowań tzw. podziemnego Kościoła

katolickiego. Rzeczy niezrozumiałe często mają logiczną, choć ukrytą przyczynę, zazwyczaj brutalnie prostą.

Z wyrazami szacunku
Maciej Rybicki

NEKROLOG

Requiescat in Pace

Gunnar Olof Tyllered

1925–2022

Profesor 1964–1992 Uniwersytetu w Lund w Szwecji

Specjalista w dziedzinach: mechanika płynów
i termodynamika

Wraz z żoną Malin nasi wypróbowani przyjaciele

Varm tack för femtio sex år av god vänskap

Maria, Krzysztof, Magda i Tomek Urbańcowie



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@дорзeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemińczak

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,

Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torąński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wojski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Zygańdo**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska,**
Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**

Okładka: **S. Karacan/Getty Images, Adobe Stock, oprac. graf. Sunay/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@дорзeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@дорзeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@дорзeczy.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@дорзeczy.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@дорзeczy.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

NA PIERWSZY OGIEŃ

Trzaskowski czeka **na swój czas**

PIOTR SEMKA

Ursulę von der Leyen w czasie jej wizyty w Polsce witał na lotnisku w Warszawie nie kto inny jak Rafał Trzaskowski. „Umówiliśmy się też na kolejne spotkanie, tym razem w Brukseli” – zaznaczył z satysfakcją polityk PO. Mało kto zauważył, że szefowa Komisji Europejskiej w czasie pobytu w stolicy Polski nie znalazła czasu na spotkanie z Donaldem Tuskiem. Podczas niedawnej wizyty w Polsce tak samo postąpił prezydent USA Joe Biden. Gospodarz Białego Domu w towarzystwie Mateusza Morawieckiego, a także właśnie Rafała Trzaskowskiego odwiedził ukraińskich uchodźców na Stadionie Narodowym. Owszem, Tuska zaproszono na dziedziniec Zamku Królewskiego na przemówienie Bidena, ale tylko jako jednego z wielu byłych premierów Polski. Tusk z zaproszenia nie skorzystał.

Niegdyś król Europy najwyraźniej kojarzy się Amerykanom z polityką zależną od Angeli Merkel i jej postawą uzależnienia RFN od rosyjskich gazu i ropy naftowej.

A to już zamknięta i na dodatek coraz krytyczniej oceniana karta w dziejach europejskiej polityki.

Fakty są dla Tuska mało zachęcające. Najważniejsi liderzy Zachodu nie widzą potrzeby spotykać się z gdańskim politykiem. To, co miało być rzekomo jego największym atutem – osobiste znajomości ze światowymi liderami – nie działa dziś na jego korzyść. Za chwilę Tusk ma ustąpić z funkcji szefa Europejskiej Partii Ludowej i jego międzynarodowa atrakcyjność spadnie jeszcze bardziej. A jego pole działania w krajowej polityce i tak nie jest zbyt duże. Nie jest posłem na Sejm ani senatorem. A 3 maja, czyli już za dwa tygodnie, minie 10 miesięcy od zdobycia przez niego fotela lidera Platformy Obywatelskiej. Żaden spektakularny skok w sondażach nie nastąpił. Owszem, PO odbiła się z pozycji ok. 17 proc. do 25 proc., ale zapowiedzi zdystansowania PiS okazały się pobożnym życzeniem. Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz (o Lewicy już nie wspominając) nie kwapią się z uznaniem dominacji Tuska jako lidera opozycji. Jego kolejne polityczne pomysły nie wywo-

łują większego zainteresowania Polaków. Na ostatniej konferencji prasowej po Radzie PO wystąpił z trzema conceptami gospodarczymi: 20-procentową podwyżką płac dla tzw. sfery budżetowej, ustaleniem maksymalnej raty kredytu hipotecznego na poziomie z końca zeszłego roku oraz emisją obligacji antydyżurnianych. Żaden z tych pomysłów nie stał się przedmiotem szerszej dyskusji w mediach.

Ta nie najlepsza passa Tuska wzmocniła zapewne nadzieje Rafała Trzaskowskiego na powrót do roli rozgrywającego w Platformie. Problem jednak w tym, że prezydent Warszawy najwyraźniej chce spokojnie czekać, aż przywództwo w PO samo wpadnie mu w ręce. A władzę w partiach politycznych się wyszarpuje, a nie wyczekuje się, aż wymknie się komuś z rąk. Platforma ma nowego-starego lidera, który jawi się jako człowiek z minionej epoki, i delfina-pieszczocho, który nie ma pojęcia, jak zdobyć szefostwo. Ciekawe, czy ktoś Trzaskowskiemu wyjaśni, jak się wyrzuca z siodła lidera? Na razie nie wygląda, aby umiał to robić. Ale czas działa na jego korzyść. ©©

NEKROLOG

Z wielkim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci



Ludwika Dorna

marszałka Sejmu, wicepremiera i ministra, wybitnego patrioty.

Rodzinie i Bliskim wyrazy najgłębszego współczucia

składa

Adam Glapiński

Prezes Narodowego Banku Polskiego



dwaj panowie g

Ze względów bezpieczeństwa niektóre informacje musimy w czasach wojennych podawać z opóźnieniem, więc dopiero teraz przechodzimy do szczegółów Wielkiej Europejskiej Wyprawy Kijowskiej z udziałem eurodepów, zwykłych depów, Borrelli i Ursuli. Zaczniemy od tego, że na początku w Przemysłu wszyscy czekali, gdyż Ursula spóźniła się dwie godziny.

Potem było zabawnie, gdyż ukraiński konduktor traktował poważnie swoje obowiązki i nie pozwolił Ursuli i jej kompanii siadać byle gdzie, a miejscówki nie miała. Ostatecznie, by znaleźć jej godne miejsce, wywalono z przedziału statecznych eurodepów z Litwy i Francji. Gdy ktoś pyta o kompanię Ursuli, odpowiadamy zaś: Ursula i jej ochroniarze ze Słowacji.

Spóźnienie Ursuli ma swoje drugie dno. Otóż wcześniej, gdy delegacja zbliżała się do Warszawy, zorientowano się, że szefowa Komisji Europejskiej nie ma żadnego sprzętu ochronnego. Zaczęto więc wydzwaniać po nocy do rozmaitych ministrów, żeby skołować hełmy i kamizelki kuloodporne. Jeden z urzędników zaproponował, żeby kamizelki przekazać, ale bez hełmów, bo przecież Niemcy wysłali 5 tys. hełmów na Ukrainę. Ktoś trzeźwo odparł, że niemieckim hełmom dawno minęła data ważności. Ostatecznie więc delegację wyposażono w nowki sztuki, nieśmigane. I kamizelki, i hełmy.

Zhełmami był cyrk na dworcu w Przemysłu. Otóż podekscytowani wyprawą i nowymi zabawkami najmłodszy eurodepowie z Litwy i Rumunii tak się ucieszyli z kamizelką i hełmami, że od razu na peronie zaczęli je na siebie zakładać. Co wywołało zrozumiałą panikę wśród uchodźców z Ukrainy, którzy na ten widok zwątpili w bezpieczeństwo Przemysła.

Wracając do Ursuli von der Leyen i Komisji Europejskiej. Nasi dyplomaci sondowani są przez dyplomatów z innych krajów, co by Polska zrobiła, gdyby pojawił się wniosek o odwołanie Ursuli i jej wesołej gromadki. Otóż nie mówimy „nie”. Sprawa ma drugie dno. Szarogęszenie się eurokratów z Brukseli to jedno, ale w Polsce

nie do końca wszyscy są zadowoleni z polskiego komisarza. A niektórzy nawet bardzo.

Skoro o Brukseli, to i o pieniądzach. Ustawka. Takie ciekawe słowo usłyszeliśmy od głęboko zakonspirowanej wiewiórki, która posiada wiedzę codzienną na temat życia Nowogrodzkiej. Chodzi o całą chryję z tym, że niby zio-bryści z SolPolu nie będą popierać żadnej reformy Sądu Najwyższego łagodzacej spór z Bruxem. Ustawka niesłychanie ekscytuje media i Eine Totalopposition, ale przy okazji służy do rozgrywania tej ostatniej. Jak widać, Kaczyński SWP też posiadał umiejętność gry na wielu fortepianach. Jak Obama.

Jeszcze o pieniądzach z Brukseli. Kasę odblokowano właśnie Bułgarii, która ma opinię najbardziej skorumpowanego kraju w Unii Europejskiej. Przypomnijmy, że oficjalnie zastrzeżenia KE do Polski i Węgier są właśnie wywołane troską o to, czy ktoś pieniędzy nie rozkrada. W Bułgarii niedawno zatrzymano byłego premiera Bojka Borisowa w ramach „dochodzenia w sprawie sprzeniewierzenia środków unijnych”. Hm, może i u nas pora aresztować jakiegoś byłego premiera?

Apropos byłych premierów. Z życia wyższych sfer. Miejsce akcji: samolot LOT. Czas akcji: niedawno. Oś fabuły: tragiczne losy jaśnie pana z europarla-

mentu, który omyłkowo zamiast w klasie biznes musiał siedzieć z motłochem w klasie ekonomicznej. Miła stewardesa przychodzi z propozycją, że może jaśnie panu przynieść posiłek biznesowy. Na co jaśnie pan: „Jak się do mnie mówi, to należy zdjąć maseczkę”. Zmieszana stewardesa tłumaczy, że przepisy, pandemia itp. Jaśnie pan ją opieprza. Ów miły arystokrata nazywa się Marek Belka. Nie możemy wam przybliżyć jego życia wewnętrznego, ale zewnętrzne – czemu nie, przybliżamy.

Zżycia wyższych sfer, część druga: tragedia międzynarodowa. Jaśnie pani z europarlamentu szefująca komisji ds. ordynacji wyborczej dowiaduje się, że straci robotę, gdyż musi ją dostać Niemiec. Przekonuje więc, że jest w połowie Niemką. To nie wystarczy. Przekonuje więc, że Polakom też się coś należy, a ona jest w połowie Polką. I to nie wystarczy. W trzecim kroku jaśnie pani zaczyna rozpaczć, że już jej nic nie zostanie, jak straci tę fuchę. To także nie wystarczy i nowym szefem komisji zostaje Niemiec imieniem Sven. Ta jaśnie pani to Danuta Hübner. Nie możemy wam przybliżyć jej życia wewnętrznego, ale zewnętrzne – czemu nie, przybliżamy.

Aneks do poprzedniej notki. Nie uwierzycie, kto ze szczegółami opowiada powyższą historię w korytarzach europarlamentu, zaśmiewając się do łez. Cóż, są to europosłowie z Niemiec. Berlin nie wie, co to litość.

Na koniec znów o ochroniarzach. Wojna na Ukrainie sprawiła, że sporej gromadce przydzielono ochronę. Chodzi o osoby, których ustrzelenie lub porwanie przez ruskich oznacza poważne problemy dla państwa. Kilka z tych osób odmówiło, uważając ochronę za obciach. Jedna zgodziła się jedynie na monitoring domu, bo dzieci. Fakt, mieszka na takim zadupiu, że sąsiedzi nie są w stanie niczego wypatrzeć, a pies (choć ogromny) ma tendencję do zaprzysiężniania się ze wszystkimi.

Zakończymy mocnym akcentem. Na pewno bowiem chcecie się dowiedzieć, co dalej z owymi osobami, które nie zgodziły się na ochronę. Otóż osoby te, jak słyszymy, po prostu wystąpiły o pozwolenie na broń. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

100 procent Putina

Za namową jednego z użytkowników Twittera zajrzałem na internetowe profile Amnesty International. Czym, jak myślał Państwo, zajmuje się ta organizacja – w przeszłości pięknie zasłużona w walce o prawa obywatelskie – w dobie rosyjskich zbrodni na Ukrainie? Bynajmniej nie Rosją. W czasie, kiedy Polska boryka się z problemem ponad 2 mln ukraińskich uchodźców, którym skwapliwie – zdaniem niektórych: nazbyt skwapliwie – udzieliła pomocy ponad swoje finansowe możliwości, Amnesty International zajęta jest alarmowaniem świata, że Polska źle traktuje uchodźców i wynika to z naszego rasizmu. Chodzi oczywiście o „uchodźców” usiłujących nielegalnie przekroczyć polską granicę z Białorusią, sponsorowanych

przez Putina i Łukaszenkę. Czy ci sami dwaj panowie sponsorują współczesną, od pewnego czasu opanowaną przez skrajną lewicę, AI tudzież współpracujące z nią polskojęzyczne jaczejki – Grupa Granica, Fundacja Ocalenie etc. – nie mam twardych dowodów, ale jest oczywiste, że rzekomi „obrońcy praw człowieka” ciągną propagandowy rydwan zbrodniarza, który burzy ukraińskie miasta, a ludność cywilną morduje lub porywa i wywozi w głąb swego bandyckiego kraju.

Zachodni politycy mają ogromny problem, by użyć jedyne go stosownego w tym kontekście słowa „ludobójstwo”. Prezydent Francji, Macron, by tego słowa uniknąć, zabrnął w absurdalne wywody, że zbrodnie Rosjan na Ukraińcach nie mogą być ludo-

bójstwem (czyli, wedle prawa międzynarodowego, zbrodnią spowodowaną wyłącznie przynależnością ofiar do jakiejś grupy, np. etnicznej), ponieważ Rosjanie i Ukraińcy to „narody bratnie”. Te brednie francuskiego kogucika to miód na serce Putina i silne wsparcie dla jego propagandy, wmawiającej światu, że Ukraińcy – w mowie Dugina i Putina „małorosjanie” – to też ruscy, choć zbuntowani, i stąd szczególnie prawa Moskwy do utrzymania tego kraju w swojej „wspólnocie”.

Ten sam Macron, przypomnijmy, wpisał się równie zgrabnie w Putinowską narrację o Polsce jako kraju rządzonym przez antysemitów i faszystów. Nic dziwnego, że cała nasza targowica tak mocno trzyma za Macrona kciuki. ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Antysemickie gry Macrona

A tak Emmanuel Macrona na premiera RP (którego określił jako „skrajnie prawicowego antysemitę”) wywołał zrozumiałe oburzenie. Trudno o bardziej kliniczny przykład antypolskiej pogardy i nienawiści. Macron najwyraźniej uważa, że Mateusza Morawieckiego można okładać antysemickimi inwektywami, bo jest prawicowym premierem polskiego rządu i nie chce – jak nam radził prezydent Chirac – siedzieć cicho. Ale traktowanie ekscesu Macrona wyłącznie jako historycznej reakcji wyborczej byłoby poważnym błędem.

Dla Francji Macrona antysemityzm jest tyleż kłopotliwym, co rosnącym problemem. Macron ma wszelkie powody, by odwracać

całą uwagę od swej, graniczącej z przyzwoleniem, bezradności. Niedawno Francję wstrząsnęła śmierć Jérémy’ego Cohena, młodego religijnego Żyda, który w podparyskim Bobigny zginął pod kołami tramwaju, uciekając przed uliczną bandą. Bobigny to jedno z najbardziej muzułmańskich miast Francji, rządzone przez komunistycznego mera Abdela Sadiego, bardzo reprezentatywne dla całego departamentu Sekwana-Saint-Denis, z którego w ostatnich latach wyjechało 90 proc. Żydów. Jérémy Cohen nie jest pierwszą ofiarą antysemickiej nienawiści.

Macron zdaje sobie sprawę ze społecznych efektów „wielokulturowego postępu”, który promuje. Jako wierny spadkobierca jakobińskiego

fanatyzmu uważa jednak, że postęp wart jest każdej ceny, choć jako sprawny gracz wyborczy wie też, że cenę trzeba czasem ukryć. Chętnie więc „emocjonalnymi” ekscesami odwraca uwagę od antysemityzmu i w ogóle sytuacji na „ziemiach utraconych Republiki” (jak je celnie określił Georges Bensoussan).

Macron zaatakował też premiera Morawieckiego za „parokrotne spotkania z Marine Le Pen”. To znamieny przykład jego podejścia do demokracji. W społeczeństwie demokratycznym kontakty z opozycją w innym kraju to rzecz normalna. Demokracja oswoiła trochę jako- bińskie dziedzictwo, co nie znaczy, że spadkobiercy jakobinów oswoili się z demokracją. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Platforma nie pozwoli,
zeby biedota przetrwała PKB

...



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 chorągiewkach na wietrze

Niedawno jeden z włoskich publicystów, pisząc o wojnie na Ukrainie, pokpiwał: „Może tym razem uda nam się zakończyć tę wojnę po stronie tych, z którymi ją zaczęliśmy”. Naturalnie prezydent Mattarella, premier Draghi i szef dyplomacji Di Maio stoją murem za Ukrainą. Minister Di Maio zapowiedział nawet, że jeśli będzie trzeba, to Italia wstrzyma import rosyjskiego gazu, mimo że miałoby to fatalny wpływ na włoską gospodarkę i zawartość włoskich portfeli.

Ale naród w kwestii ukraińskiej zaczyna zmieniać zdanie. Jak wynika z sondaży, 62 proc. chce ograniczyć zbrojenie Ukrainy i rozpocząć negocjacje z Putinem. Tylko co czwarty Włoch jest za bezwzględnym wspieraniem prezydenta

Zełenskiego. Niedawno proporcje były odwrotne. Co więcej, obecnie blisko 40 proc. uważa, że Italia wbrew własnemu interesowi stoi po stronie NATO i daje się manipulować Amerykanom. Kilkanaście dni temu tego zdania była jedynie bezwzględna grupka pacyfistów i skrajnych, antyamerykańskich lewicowców. Podobną zmianę Włosi przeszli po aresztowaniu Mussoliniego. Niemal wszyscy stali się wówczas antyfascystami.

Nie wiem, czy – a jeśli tak, to do jakiego stopnia – wpływ na tę zmianę poglądów mają ukazujące się od niedawna w prawicowej prasie teksty haniebnie antyukraińskie. Antonio Socci, znany konserwatywny publicysta katolicki, popełnił w „Libero” artykuł, z którego

wynika, że do wojny na Ukrainie doprowadził prezydent Zełenski, bo zamiast dać Putinowi wszystko, czego ten chciał, stawiał opór i doprowadził do tysięcy ofiar śmiertelnych i zniszczeń w całym kraju. W obszernym tekście Franca Battaglie w „La Verita” można wyczytać, że w wojsku ukraińskim jest mnóstwo faszystów, a prezydent Juszczenko został bezprawnie pozbawiony władzy przez Euromajdan. Pojawiły się tam też opinie, że wojnę na Ukrainie we własnym interesie podsyca Waszyngton.

Dziś niestety prawicową włoską prasę można brać do ręki wyłącznie przez chusteczkę. Dawno temu, wzbudzając ogólną wesołość, mój kolega w ten sposób traktował „Trybunę Ludu”. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się macie po zakończeniu Spring Holidays? Pewnie w małych ośrodkach najedliście się sałatki z majonezem, jajek w majonezie, a znając zamiłowanie małoosrodkowych gospodyń do majonezu, to pewnie jeszcze i babę wielkanocną z majonezem, a nawet majonez w majonezie.

Mamy też nadzieję, iż się nie przeziębiliście z powodu obrzydliwie patriarchalnego i wstecznego zwyczaju o nazwie śmigus-dyngus, który obecnie powinien być szczególnie potępiony ze względu na problem zasobów wody, marnowanej po to, aby heteroseksualne samce pokazały swoją przewagę w dyskursie nad waginoosobami, swoją pozycję społeczną i kto ma większe wiadro.

Wreszcie mamy nadzieję, iż nie traumatyzował was nadmiernie chur-ching, do którego zapewne przymusiły was osoby płodzące z małych ośrodków. Nas przymusiły, więc wiemy, iż grany był temat męczeństwa, śmierci, ofiary – czujemy się po tym okropnie źle i jest nam ciężko, wszak są to obrazy i treści, które nie dla każdego mogą być przyjemne, poza tym w kościele mogły tego słuchać osobodzieci itd.

I właśnie zauważyliśmy, iż aż dwa razy użyliśmy słowa „nadzieja”, nie-dobrze, jeszcze tylko brakuje wiary i miłości xD za bardzo nam coś wszedł ten churching chyba.



Ledwo zakończyły się Spring Holidays, a przed nami już niedługo majowe święto, kiedy to rzesza (tak...) spragnionych grilla i piwa Polaków wyjdzie na światło dnia i zawłaszczą przestrzeń publiczną w tym kraju.

W ogóle zauważcie, jakie nagromadzenie świeckich świąt nas czeka w tym czasie: najpierw święto pracy, któremu nie hołdujemy, iż praca prawem, nie towarem, a więc nam się należy, a więc możemy jej nie wykonywać, jeśli nie chcemy, ale mamy ją mieć. Oraz of kors wynagrodzenie.

Potem święto flagi tego kraju, które obchodzilibyśmy, iżby to była flaga kolorowa, tęcza, radosna, która mówi wesoło: ZAPRASZAM wszystkim, którzy chcą się pod nią zjednoczyć. A tymczasem wciąż jest to flaga biało-czerwona, tylko dla Polaków, wykluczająca mniejszości. Na to nie może być naszej zgody.

No i po trzecie największy festiwal hipokryzji. Święto konstytucji – którą wszyscy mają w tak głębokim poważaniu na co dzień, nie chcą jej bronić, a potem raz w roku wyjdą na ulicę, pokrzykają, pośpiewają i elo – zadowoleni wielcy obrońcy konstytucji.

W ogóle to kojarzy nam się to z dniem kobiet. Przez cały rok mamy do czynienia z systemową dyskryminacją waginoosób, a nagle 8 marca wszyscy kupują rajstopy, goździki i udają jak gdyby nigdy nic, iż wszystko jest w porządku.

Wygląda na to, kochani, iż konstytucja jest kobietą.

Tak w ogóle to musimy przyznać, że w całej tej inflacji to jednak cieszą nas rosnące ceny paliwa, zwłaszcza oleju napędowego. Oznacza to, iż zastosowano tzw. miękką zachętę do korzystania ze środków transportu takich jak rower czy własne nogi.

Jeśli ceną, jaką mamy zapłacić za inflację, ma być zwiększenie kosztów podróży samochodem, to jesteśmy na tak. Zwłaszcza w odniesieniu do kopających diesla, które często są wykorzystywane np. do rozwożenia towarów, a więc jeździ ich dużo. A skoro paliwo jest droższe, to szansa istnieje, iż będzie ich jeździć mniej. Prosta kalkulacja, prosta korzyść dla środowiska, ale i dla nas xD ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Wiceministrowie

I jak tam, Mati, masz już kogoś na ministra? Bo ja bym jednak wolał, żeby był na co dzień ktoś w resorcie, jak mam nad tym bardakiem zapanować.

Nie mam, Artur. Wiesz, mam takie wrażenie, że ludzie chyba nie chcą wziąć Emefu. Ostatnio spotkałem w Sejmie Jadzię, myślę sobie:

a, co mi tam. Nie zna się, ale na poprzednim też się nie znała. Ale jak mnie zobaczyła, to uciekać zaczęła. Do damskiej toalety. Kazia Smolińskiego myślałem... Też się nie zna, ale w końcu jakąś radę parafialną prowadził czy coś. Mówię mu, a on mi na to, że nie może, bo ma ogródek na działce

zaniedbany. Ogródek – rozumiesz?!

No dobra, ale jest druga sprawa, bo brakuje nam... Czekaj, gdzieś tu miałem, bo już nie pamiętam, czy 48 czy 84... O, mam, jednak 84 mld.

No to weź skądś przesun.

Skąd?

Nie wiem. Od takich detali to właśnie są wiceministrowie. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Minęła kolejna rocznica zamachu na prawdę, przyzwoitość i na jedność Polaków. Perfekcyjna realizacja planu Putina przez PiS”.

DONALD TUSK, były premier, o rocznicy katastrofy smoleńskiej, na Twitterze



BLUZA MILITARNA CZARNA



BLUZA ORZEŁ RYCINA



BLUZA POLSKA FLAGA HAFT



KOSZULKA MILITARNA ZIELONA
KOTWICA NASZYWKA



KOSZULKA MILITARNA CZARNA
ORZEŁ NASZYWKA



KOSZULKA MILITARNA ZIELONA
ORZEŁ NASZYWKA



KOSZULKA HODÓW - SUBLIMACJA



NASZYWKA GUMOWA NA RZEP
RYNGRAF WILEŃSKI



KOSZULKA HOŁD RUSKI - SUBLIMACJA

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

eprasa.pl 9ab43e9c76

SKLEP STACJONARNY
**Warszawa,
ul. Jagiellońska 88/24**

RED IS BAD™

„MOSKWA” W OGNIU. EWAKUACJA ZAŁOGI SŁYNNEGO KRĄŻOWNIKA

Słynny krążownik rakietowy „Moskwa” – to właśnie z jego pokładu Rosjanie domagali się poddania bohaterskich ukraińskich marynarzy na Wyspie Węży – został trafiony dwoma ukraińskimi pociskami Neptun. Tak przynajmniej twierdzą ukraińskie władze.

Rosyjskie ministerstwo obrony podaje z kolei, że na krążowniku rakietowym „Moskwa” – flagowym okręcie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej – w wyniku pożaru wybuchła amunicja. Resort obrony w Moskwie nie wspominał jednak nic o źródłach pożaru (widocznego na zdjęciu z nocnego filmu).

Wiadomo na pewno, że na pokładzie wybuchł pożar tak ogromny, iż zarządzono ewakuację wszystkich członków liczącej ponad pół tysiąca osób załogi. Unieszkodliwienie potężnego, długiego na 186 metrów krążownika to istotna strata dla Rosji – zarówno z punktu widzenia wojskowego, rosyjskiej marynarce wojennej zostały już tylko dwa tego typu okręty (oba na Morzu Śródziemnym), jak i z punktu widzenia propagandowego – zbudowana jeszcze za czasów sowieckich „Moskwa” była symbolem militarnej potęgi reżimu Władimira Putina.

„Moskwa” to już drugi uszkodzony okręt rosyjskiej floty mocno zniszczony od początku

napaści na Ukrainę. Zniszczenie tego krążownika może więc istotnie podnieść morale ukraińskich żołnierzy. To zaś przyda się przed decydującą bitwą o Donbas, do której Rosjanie coraz intensywniej się przygotowują.

Ukraińscy żołnierze z Wyspy Węży – których bohaterska odmowa kapitulacji stała się słynna na całym świecie – zostali najpierw pojęmani przez Rosjan, a następnie odzyskali wolność podczas wymiany jeńców. Roman Hrybow, dowódca obrońców Wyspy Węży i autor słynnych słów do rosyjskiego okrętu, został odznaczony medalem przez ukraińskie władze. **(jap) © ©**

FOT. MAX DELAWARE/FAST NEWS, YOUTUBE/MILITARY24





Świat przed kolejnym



Jakub Wozinski

Wojna na Ukrainie niesie ze sobą ryzyko destabilizacji wielu krajów Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji. Głodujące i zubożałe masy mogą ruszyć na Europę w jeszcze większej liczbie niż do tej pory

Każda wojna jest złem, ale wojna, w której naprzeciw siebie stają kraje żywiące kilkaset milionów osób na całym świecie, wydaje się być szczególnie zła. Słynąca ze swoich czarnoziemów Ukraina i posiadająca trzeci największy na świecie areal ziem uprawnych Rosja umożliwiły w ostatnich latach krajom rozwijającym się dokonanie prawdziwego skoku cywilizacyjnego, sprzedając znaczne ilości taniej żywności. Szczególnie przez ostatnią dekadę rosyjskie rolnictwo zaliczyło ogromny progres, dzięki czemu dwa lata temu po raz pierwszy Rosja stała się eksporterem netto produktów rolnych, a cały sektor rolniczy rósł w ostatnich latach szybciej niż PKB (średnio 3,3 proc. rocznie).

PŁONĄCY SPICHLERZ ŚWIATA

Lata poprzedzające wojnę były szczególnie korzystne również dla rolnictwa

na Ukrainie, w którym swoją obecność zaznaczyły wielkie zachodnie koncerny (m.in. Glencore i Cargill). Rozbudowały one w czarnomorskich portach infrastrukturę umożliwiającą jeszcze sprawniejszą obsługę eksportu produktów zbożowych oraz oleju słonecznikowego i stały się bardzo ważnym graczem na rynku hurtowym. Oprócz tego za przyzwoleniem ukraińskich władz przez ostatnie lata trwał wielki proces kumulacji gruntów ornych w rękach tzw. agroholdingów, które stworzyły wielkie latyfundia. Pod ich zarządem na Ukrainie znacząco ograniczono produkcję warzyw i owoców, skupiając się na największych eksportowych hitach. W efekcie przed wybuchem wojny Ukraina i Rosja odpowiadały łącznie za aż 75 proc. światowego eksportu oleju słonecznikowego, 32 proc. jęczmienia oraz 30 proc. zboża.

W następstwie zachodnich sankcji Rosja ogłosiła, że wstrzymuje eksport ok. 200 produktów (w tym rolnych) do krajów, które uznała za wrogie. Na tej liście nie ma krajów rozwijających się, uzależnionych od jej dostaw, ale tego rodzaju posunięcie już teraz przyczyniło się do wzrostu cen żywności na światowych rynkach. Dużo bardziej dramatycznie przedstawia się natomiast sytuacja na Ukrainie, która od samego początku konfliktu jest przez rosyjskiego agresora pozbawiana jednego ze swoich podstawowych atutów.

Eksport artykułów rolnych odpowiada aż za 45 proc. wszystkich przychodów

z ukraińskiego eksportu, a dwa lata temu jego wartość wyniosła 22,2 mld dol. Zdaniem ukraińskich władz Rosja z pełną świadomością atakuje od samego początku nie tylko strategiczne cele wojskowe, lecz także całą infrastrukturę rolniczą, włączając w to nawet maszyny rolnicze zwykłych rolników. Rosyjscy okupanci niszczą silosy, chłodnie i magazyny, realizując najprawdopodobniej starannie przygotowany plan. Zdaniem Ukraińców rosyjska flota wojenna rozmieściła nawet na Morzu Czarnym miny, zagrażając tym samym całemu handlowi w regionie. Od początku konfliktu Rosjanie blokują także ok. 300 statków ze zbożem, które w większości zmierzały na Bliski Wschód.

Ukraina szuka sposobu na ominięcie rosyjskiej blokady i prowadzi rozmowy z Rumunią na temat możliwości skorzystania z jej portu w Konstancji. Wiadomo już jednak, że cokolwiek uda się wyeksportować, będzie zaledwie niewielką częścią tego, co pierwotnie zakładano, gdyż aż 30 proc. gruntów ornych znalazło się w obszarze objętym działaniami wojennymi. Ukraińscy rolnicy mają też wielki problem z dostępem do paliw, które priorytetowo są przeznaczane na potrzeby armii. Najwięcej swobody mają rolnicy z zachodniej Ukrainy, gdzie nie dotarły jeszcze rosyjskie czołgi, ale i tak zbiory będą w tym roku co najmniej o połowę niższe niż w poprzednim,

kryzysem



Ukraińscy rolnicy wyjeżdżają na uprawę pól w kamizelkach kuloodpornych

FOT. FUTURE PUBLISHING/GETTY IMAGES

a wiele wskazuje na to, że kolejny rok będzie jeszcze dużo gorszy.

WOJNA O GUANO W NOWYM WYDANIU

Zawirowania związane z dostawami z Ukrainy i Rosji to niestety zaledwie część problemów, które spadły w ostatnim czasie na rolnictwo na całym świecie. Wystarczy wspomnieć, że gospodarcze sankcje dotknęły także Białoruś, która jest jednym z największych producentów nawozów potasowych na świecie. Światowym liderem rynku nawozów jest zaś Rosja, która od teraz nie będzie sprzedawała swoich produktów Brazylii, będącej z kolei światowym liderem produkcji soi. Jak widać na tym przykładzie, światowe rolnictwo to system naczyń połączonych, w którym zawirowania w jednym obszarze rozchodzą się niczym tsunami po całym globalnym systemie łańcuchów dostaw i produkcji. Prawie 80 proc. soi na świecie wykorzystuje się do produkcji pasz, co w oczywisty sposób ograniczy produkcję mięsa już nie tylko w Rosji czy w Brazylii, lecz także praktycznie na całym świecie.

Na drodze nieustannie również z powodu wywołanego przez politykę klimatyczną kryzysu energetycznego nawozach oszczędzają rolnicy nawet w najbogatszych państwach świata. W Stanach Zjednoczonych problem staje się coraz bardziej dotkliwy, gdyż dodatkowo hur-

gan Ida zniszczył tam dwie wielkie fabryki nawozów. Niczym w czasach XIX-wiecznych wojen o guano świat coraz bardziej zaciekle walczy o dostępne zasoby nawozów; od niedawna zakaz ich eksportu wprowadziły również Chiny. Nie ma się temu co dziwić, gdyż w ciągu pierwszego miesiąca inwazji ceny nawozów na całym świecie wzrosły aż o 40 proc.

Najbogatsze państwa świata posiadające wysoko rozwinięte rolnictwo z pewnością poradzą sobie z zaistniałą sytuacją, głębiej sięgając do kieszeni. 60 proc. światowego zboża jest siane późnym latem lub jesienią, więc wystarczy odpowiednio przeczekać najgorsze miesiące i już w przyszłym roku plony mogą zrównoważyć niedobory – o ile oczywiście ceny nawozów znów spadną do akceptowalnego poziomu. Przed o wiele większym wyzwaniem stoi natomiast ludność światowego Południa, która zwyczajnie nie jest w stanie wyprodukować dla siebie wystarczającej ilości żywności.

Podczas gdy w krajach zachodnich średnie wydatki gospodarstw na żywność rzadko kiedy przekraczają 10–15 proc., w przypadku krajów afrykańskich czy też wielu azjatyckich wynoszą niekiedy nawet 40–50 proc. Jeśli nawet do najbardziej ubogich krajów trafi wystarczająca ilość żywności, to i tak będzie ona dużo droższa niż do tej pory. Cena pszenicy na światowych rynkach od końca lutego wzrosła o 20 proc. i wciąż nie widać końca wzro-

stów. Niestety, oznacza to więcej głodu na całym świecie – również wśród najuboższej ludności krajów rozwiniętych.

REKORDOWY GŁÓD

Koordynowany przez ONZ Światowy Program Żywnościowy obejmie w tym roku rekordową liczbę 140 mln osób w 28 krajach. Pomoc otrzymają także uchodźcy z Ukrainy, lecz wielkim wyzwaniem będzie zapewnienie odpowiednich dostaw dla głodujących w Jemenie, Afganistanie, Etiopii, Sudanie Południowym czy też Syrii. W krajach tych już teraz występują ogromne kłopoty z dostępem do żywności, które oprócz wojen i konfliktów wydatnie wzmogły pandemia i polityka klimatyczna.

Polityka sanitarna oraz inflacyjny szok związany z wdrażaniem klimatystycznej agendy przyczyniły się do wzrostu liczby głodujących na świecie aż o 18 proc. w ciągu ostatnich dwóch lat (obecnie głoduje ok. 720–810 mln osób). Kryzys związany z wojną niestety znacząco powiększy to grono, gdyż w związku z wojną na Ukrainie poważnie zagrożone pod względem dostaw żywności stać się mogą m.in. Armenia, Kazachstan, Bangladesz, Iran, Mongolia, Erytrea, a nawet Turcja. Części z nich uda się zapewne zabezpieczyć dostawy z innych krajów, lecz nie unikną przejściowych niedoborów i drożyzny.

Skutki głodu i drożyzny mogą być niestety trudne do przewidzenia, ponieważ znaczna część krajów biednych i rozwijających się jeszcze przed wybuchem wojny znajdowała się w trudnej sytuacji gospodarczej. Przykładowo: Ghana jeszcze na początku 2020 r. uważana była za jeden z najlepiej rozwijających się krajów Czarnego Kontynentu, ale dziś jej dług stanowi już 80 proc. PKB, a waluta osłabiła się do dolara o 20 proc. w ciągu roku. W Tunezji sytuacja jest na tyle trudna, że władze mają wręcz kłopot z zapłaceniem za importowaną żywność, a agencje ratingowe jednogłośnie spodziewają się bankructwa tunezyjskiego państwa.

Tunezja to niestety zaledwie pierwszy przykład z brzegu, gdyż protesty i niepokoje mają miejsce także w innych krajach. Według danych Banku Światowego aż 60 proc. krajów o niskich dochodach potrzebuje pilnie restrukturyzacji swojego długu. Problemy z dostawami żywności i jej cenami mogą zaś sprawić, że sytuacja jeszcze bardziej się zaogni. Prostą konsekwencją kryzysu gospodarczego i głodu będzie z pewnością kolejna wielka

■ migracja, która może dotknąć Europę w stopniu nie mniejszym niż ten, który obserwowaliśmy w 2015 r.

NOWY MIGRACYJNY KRYZYS?

W pełni świadomy takich właśnie konsekwencji obecnych wydarzeń jest nie kto inny jak sam Władimir Putin. Co prawda, odpowiedzialnością za taki obrót spraw obarczył Zachód i nałożone przez niego sankcje, lecz – jak można się domyślać – uderzenie na ukraiński zbożowy spichlerz stanowiło dla niego od samego początku element wielkiej strategii mającej na celu zdestabilizowanie całego Zachodu. Zgłodniałe i zdesperowane masy nie będą przecież szturmować postsowieckich rubieży, lecz żyjące w dostatku i opływające w świadczenia socjalne kraje zachodnie. O tym, że Rosja potrafi wykorzystywać migracje ludności do prowadzonej przez siebie wojny hybrydowej, przekonaaliśmy się zresztą dobitnie jesienią ubiegłego roku.

Powtórkę kryzysu migracyjnego z 2015 r. wieszczono już latem ubiegłego roku, po wycofaniu się Amerykanów z Afganistanu. Tym razem potencjalnych źródeł napływu imigrantów może być znacznie więcej, gdyż pod koniec lutego władze Libanu ostrzegały, że mają zapas pszenicy wystarczający im jedynie na miesiąc. Przyczyn, dla których ludność uboższych krajów może w najbliższym czasie szukać sposobu na przedostanie się do „pierwszego świata”, jest zresztą znacznie więcej, gdyż po świecie rozprzestrzenia się właśnie uderzająca w same serca gospodarek fala drożyzny obejmująca m.in. surowce i ceny energii. Wychodząc w ostatnich latach ze skrajnej biedy ludność wielu krajów świata czeka niestety materialny regres.

Warto zwrócić uwagę, że na długo niewidziane w tych szerokościach geograficznych radykalne kroki na rynku spożywczym zdecydowały się nawet zamożne kraje. W Hiszpanii, która jest niemal w całości uzależniona od dostaw oleju słonecznikowego z Rosji i Ukrainy, wprowadzono reglamentację sprzedaży tego produktu w sklepach, a także racjonowanie innych artykułów. Świetnie zarabiający Hiszpanie z pewnością poradzą sobie z tą sytuacją, kupując rozmaite substytuty, lecz w wielu miejscach na świecie nie będzie to możliwe.

KLIMATYCZNY PRZEDNÓWEK

Problem grożącego wielu krajom głodu nie musiałby jednak być aż tak po-

ważny – nawet przy całkowitym odcieciu Rosji, Ukrainy i Białorusi od światowych rynków rolnych – gdyby tylko istniała wola polityczna co do tego, aby ograniczyć zakres zielonej agendy i sztucznie ograniczającej podaż polityki rolnej. Wystarczy wspomnieć, że w samych Stanach Zjednoczonych aż jedna trzecia wszystkich upraw zbożowych przeznaczana jest na produkcję bioetanolu. W Unii Europejskiej na potrzeby biopaliw pracuje ok. 2 proc. całej powierzchni gruntów ornych, a na całym świecie – średnio 3 proc. To oczywiście tylko skromna część, lecz w najbliższych miesiącach liczyć się będzie wręcz każdy hektar.

W przypadku Unii Europejskiej przestrzeń do zmian umożliwiających zdecydowanie większą produkcję jest zresztą dużo większa, gdyż w ramach wspólnej polityki rolnej już od lat wymusza się przestrzeganie limitów produkcyjnych (m.in. poprzez kwoty mleczne). Tak naprawdę nic nie stoi na przeszkodzie, aby w obecnej sytuacji, gdy nawet prezydent Francji Emmanuel Macron wieszczy wielki kryzys żywnościowy, uwolnić całą produkcję rolniczą. Europejskie rolnictwo należy do najbardziej zaawansowanych na całym świecie i mogłoby wykorzystać dostępne zasoby do uratowania przed głodem setek milionów osób.

Osobną kwestię stanowi wdrażanie z niewiarygodnym uporem unijny Zielony Ład w rolnictwie. Premiujący „uprawy ekologiczne” i zmniejszanie produkcji program nie mógł być chyba wprowadzany w mniej odpowiednim momencie. Pomimo przeznaczenia dodatkowych środków na dopłaty dla rolników i kilku kosmetycznych zmian Komisja Europejska nie podjęła jednak jak dotąd żadnych naprawę zdecydowanych kroków. Wręcz przeciwnie, zdaniem odpowiadającego za cały unijny Zielony Ład Fransa Timmermansa wojna na Ukrainie stanowi rzekomo wspianą okazję do tego, aby zielona transformacja przebiegała w jeszcze szybszym tempie, niż zakładano do tej pory.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO POLITYCZNEGO SERCA

Dla Stanów Zjednoczonych i całego świata Zachodu nadchodzący kryzys żywnościowy stanowi wielkie wyzwanie także z innego powodu. Pomimo tego, że prezydent Joe Biden obiecał przeznaczyć na pomoc humanitarną dla szczególnie narażonych na mniejsze dostawy żyw-

ności krajów dodatkowo 1 mld dol. oraz wykorzystać posiadane rezerwy, wielka fala głodu i niezadowolenia w krajach Afryki Północnej czy Bliskiego Wschodu może trwale zmienić sympatie polityczne wielu państw. Jeśli w wielu krajach dojdzie do buntów i zmian u władzy, to w roli wybawiciela – posiadającego na dodatek znaczne zapasy zboża, żywności i kredytu – mogą wystąpić Chiny (a nawet Rosja). Główni sprawcy obecnych zawirowań bardzo liczą na to, że wielka fala inflacji, głodu i niezadowolenia przyczyni się do wzrostu coraz bardziej antyzachodnich postaw na całym świecie. Plany Rosji, aby wprowadzić płatności za surowce rublem, są już dość dobrze znane i niewykluczone, że wkrótce będzie chciała je ona rozszerzyć o kolejne towary.

Występujące w roli lidera całego zachodniego świata Stany Zjednoczone będą więc musiały dwoić się i troić, aby załagodzić, jak tylko się da, wzrastające na całym świecie napięcia. W grę wchodzi wykorzystanie nawet części własnych żywnościowych rezerw amerykańskich. Chiny, które o planowanej inwazji na Ukrainę wiedziały dużo wcześniej, już na początku listopada poleciły obywatelom gromadzenie zapasów żywności. Decyzję tę tłumaczono m.in. pandemią koronawirusa, zakłóceniami w łańcuchach dostaw oraz dotkliwymi powodziami, które utrudniły zasiewy zbóż, lecz w rzeczywistości Państwo Środka już od dawna przygotowuje się na trudne czasy. Już w kwietniu ubiegłego roku chińskie władze wprowadziły przepis upoważniający restaurację do pobierania dodatkowych opłat od klientów, którzy pozostawiają po sobie niezjedzone posiłki. Oprócz tego Chińczycy mogą zostać ukarani grzywną stanowiącą równowartość nawet 15 tys. dol., jeśli będą udostępniać w Internecie materiały ukazujące obiadanie się. Jako że od czasów pandemii cały świat błyskawicznie zaczął upodabniać się do Chin i korzystać ze stosowanych w nich metod tresury obywateli, niewykluczone, że wkrótce podobne przepisy pojawią się także u nas.

Jako mieszkańcy kraju obfitującego w ziemię uprawną i posiadającego rozwinięte rolnictwo możemy być spokojni o nasze żywnościowe bezpieczeństwo. Skutki narastającego kryzysu odczujemy jednak na wiele innych sposobów, gdyż fala napięć i niepokojów dotrze wcześniej czy później również do naszych granic.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dobre partnerstwo

Zarządzanie sektorem publicznym wymaga strategicznego planowania wydatków i pozyskania sprawdzonych źródeł finansowania. Jednym z największych partnerów podmiotów sektora publicznego jest Bank Pekao, który w zeszłym roku na realizację samorządowych projektów rozwojowych udzielił blisko 4 mld zł w postaci kredytów i emisji obligacji

Bank Pekao S.A. jest jednym z najważniejszych w Polsce partnerów biznesowych, na których wsparcie może liczyć sektor publiczny. Wieloletnie doświadczenie w tym obszarze oraz wypracowane know-how zapewniają mu nie tylko rynkową rozpoznawalność i efektywność we współpracy z metropoliami, mniejszymi gminami i ze spółkami komunalnymi, lecz także niekwestionowaną pozycję lidera w tej branży. W ciągu ostatnich 12 lat Bank Pekao podjął się finansowania największych projektów sektora publicznego (w obszarze infrastruktury miejskiej, komunalnej, lotniskowej, transportu publicznego, infrastruktury kulturalno-sportowej, wystawienniczej i edukacyjnej) na łączną kwotę 48,1 mld zł. W samym 2021 r. bank zawarł ponad 220 transakcji, udzielając podmiotom samorządowym ponad 3,8 mld zł finansowań z przeznaczeniem na realizację projektów rozwojowych. Według raportu amerykańskiej agencji ratingowej Fitch Ratings „Przegląd nieskarbowych instrumentów dłużnych” z listopada 2021 r. bank ten wyemitował 82 proc. ogólnej liczby obligacji dla spółek komunalnych w Polsce w okresie od stycznia do listopada 2021 r.

– Cieszymy się, że jesteśmy solidnym i zaufanym partnerem dla klientów z sektora publicznego i w tak dużym stopniu wspieramy samorządy w realizacji ich projektów rozwojowych. Zgodnie z naszą strategią biznesową i strategią ESG konsekwentnie będziemy zwiększać udział w naszym portfolio projektów, które

przyczyniają się do ochrony środowiska i zwiększają komfort życia mieszkańców Polski. Ważna będzie tutaj również rola inwestycji samorządowych – powiedział Jerzy Kwieciński, wiceprezes zarządu Banku Pekao S.A.

Bank Pekao, realizując założenia strategii ESG (odpowiedzialny bank wspierający zrównoważony rozwój), współtworzy i rozwija polską infrastrukturę. Jako pierwszy w Polsce udzielił zielonego finansowania w sektorze utylizacji odpadów. Umowa z Miejskim Przedsiębiorstwem Oczyszczania Łódź sp. z o.o. na emisję tzw. zielonych obligacji na kwotę 400 mln zł dotyczyła budowy Łódzkiego Centrum Recyklingu. Bank był ponadto współorganizatorem emisji obligacji samorządowych miasta Łódź na kwotę 418 mln zł – 50 mln zł z tej sumy to również obligacje zielone. Była to pierwsza w Polsce emisja zielonych obligacji przez samorząd. Bank Pekao był również współorganizatorem programów emisji obligacji, które pozwoliły zmodernizować komunikację miejską – 491 mln zł dla MPK Wrocław i 496 mln zł dla Tramwajów Śląskich S.A. Przykładem działań w zakresie rozwoju obszaru partnerstwa publicno-prywatnego są zawarte na łączną kwotę 146 mln zł umowy finansowania w formule PPP budowy parkingów w Warszawie i Łodzi przez Mota Engil S.A. Ponadto wiele lat temu Bank wprowadził do oferty obligacje przychodowe i w dalszym ciągu jego klienci mogą cieszyć się zaletami tego instrumentu rynku dłużnego. W ubiegłym roku z powodze-

niem skorzystało z tej formy finansowania miasto Radom (emisja na kwotę 56 mln zł). Bank był także zaangażowany w realizację jednego z najważniejszych zadań samorządu miasta Żory – finansowanie budowy samorządowych mieszkań przeznaczonych na wynajem, co ma służyć utrzymaniu obecnych i przyciągnięciu nowych mieszkańców, a tym samym przyczynić się do rozwoju miasta. Łączne zaangażowanie Banku Pekao w tym projekcie wyniosło 113 mln zł.

Bank Pekao zapewnia sektorowi publicznemu w Polsce kompleksową ofertę usług, począwszy od bankowej obsługi bieżącej z pełnym wachlarzem usług bankowości transakcyjnej, a skończywszy na finansowaniu budżetów samorządowych w zakresie zarówno ich potrzeb płynnościowych, jak i inwestycyjnych. Jednym

z największych przedsięwzięć ostatnich miesięcy jest przejęcie obsługi miasta Łodzi wraz z 368 jednostkami. Oprócz obsługi transakcyjnej i udzielenia kredytu w rachunku bieżącym do kwoty 200 mln zł Pekao będzie m.in. obsługiwało punkty obsługi bankowej zlokalizowane w siedzibach urzędu miejskiego oraz zapewni mieszkańcom możliwość korzystania z nowoczesnych opłatomatów.

– W strategii na lata 2021–2024 kładziemy duży nacisk na wspieranie zrównoważonego rozwoju gospodarki i społeczeństwa oraz na ochronę środowiska. Chcemy utrzymać swoje zaangażowanie w finansowanie sektora publicznego oraz projektów komunalnych, co pozwoli nam obronić pozycję lidera w tym obszarze – mówi Agnieszka Pietkun, dyrektor Departamentu Sektora Publicznego w Banku Pekao S.A.



BANK PEKAO WSPARŁ KLIENTÓW KORPORACYJNYCH W 2021 R. M.IN.:

EMITUJĄC OBLIGACJE
I UDZIELAJĄC FINANSOWANIA NA WAŻNE
DLA MIESZKAŃCÓW INWESTYCJE



ŻORY



Ekologia głodzi świat



Andrzej Solecki

W ekologicznym uniesieniu świat przerabia rośliny na paliwa zamiast się nimi żywić



FOT. ADRIAN STOLCK

Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas, Panie! – pierwsze słowa dodanej prawdopodobnie w czasach potopu szwedzkiego zwrotki suplikacji stały się w czasie epidemii COVID-19 znowu aktualne. Warto jednak zwrócić uwagę na kolejne wymienione zagrożenie i zastanowić się nad tym, czy grozi nam głód. Anglikański duchowny Tomasz Malthus był o tym przekonany już na początku XIX stulecia, gdy liczba mieszkańców naszej planety nie przekraczała miliarda. Dlatego też postulował regulację urodzeń i brak pomocy publicznej. Podkreślał rolę takich naturalnych regulatorów wielkości populacji jak epidemie, głód i wojna. Swoją drogą dziwne jest, że współcześni maltuzjaniści zazwyczaj są zwolennikami szczepień, zamiast traktować aktualną pandemię jako pomoc Opatrzności w realizacji ich depopulacyjnych planów.

We współczesnej Europie pełne supermarkety i produkcja rolna tak wydajna, że Unia Europejska musi ją limitować i wspierać przerób na paliwa, sprawiają, że w XXI stuleciu głód w Europie wydaje się nieprawdopodobny. Dlatego też pozostajemy obojętni na protesty rolników wskazujących na brak możliwości zakupu

nawozów i trudności wynikające z polityki rolnej UE i naszego rządu. Zjawisko głodu wydaje się nam czymś występującym w dalekich egzotycznych krajach lub w naszej odległej przeszłości. Trzeba pamiętać, że XX-wieczny ludobójczy głód na żyznych stepach południowej części Związku Sowieckiego też wydawał się niemożliwy. Nie był on dziełem przypadku, nie był katastrofą naturalną, zorganizowali go lewicowi eksperymenciatorzy społeczni dążący do swoich utopijnych celów. Nie kojarzymy, że pomysły typu „piątka dla zwierząt”, „ochrona klimatu” czy też redukcja emisji metanu poprzez zakaz hodowli bydła i ogólnie „ratowanie naszej planety” to twórcze rozwinięcie sowieckich planów, które ograniczały się tylko do uszczęśliwienia ludzkości.

Może warto przypomnieć dwa europejskie okresy głodu, które w sumie pochłonęły prawie 2 mln ludzkich istnień, a miały miejsce w konserwatywnych europejskich monarchiach XIX stulecia, które nie były w stanie sprostać problemom wynikającym z przyczyn jak najbardziej naturalnych.

Gdy w latach 40. XIX stulecia w dziewięciomilionowej rządzonej przez brytyjskich protestantów Irlandii ok. 1,5 mln

ubogich katolików zmarło z głodu spowodowanego przez zarazę ziemniaczaną, wydawało się, że teoria Malthusa została potwierdzona. Należy jednak pamiętać, że w przypadku Irlandii dostęp umierających z głodu mieszkańców tego kraju do jego bogatych zasobów był ograniczony z powodu wprowadzonego przez protestanckich Brytyjczyków systemu dyskryminującego katolików.

Kolejny argument na rzecz maltuzjanizmu pojawił się w Rosji, gdzie w latach 1891–1892 na żyznym Powołżu zmarło z głodu 0,5 mln osób. Głód ten spowodowany był przez jesienną suszę, brak śniegu i silne mrozy w zimie oraz silne wiosenne wiatry, które wywiały nieliczne kielkujące ziarna. Klęska ta dotyczyła tylko ograniczonego regionu i w tym okresie Rosja wyeksportowała w sumie ok. 10 mln ton zboża.

AMERYKA DZIĘKUJE ZA POMOC

Poruszony rosyjskim głodem amerykański filantrop i wydawca W. Edgar zorganizował akcję pomocy humanitarnej, przypominając rodakom o długu wdzięczności za siedmiomiesięczną wizytę floty rosyjskiej w czasie amerykańskiej wojny domowej. Flota ta w rzeczywistości

ści została wysłana w celu zagrożenia angielskiemu i francuskiemu handlowi w przypadku przewidywanego militarnego wsparcia przez te kraje powstania stycznego. Przy okazji blokowała ona aktywność floty konfederatów i ewentualną francusko-brytyjską pomoc dla zbuntowanego Południa. Akcja Edgara zaowocowała wysłaniem do Rosji statków ze zbożem. Uroczyste powitanie jednego z nich uwiecznił słynny rosyjski marynista ormiańskiego pochodzenia, Ajwazowski. Namalował on także obraz „Dystrybucja żywności” ukazujący zaprzęg, tradycyjną rosyjską „trojkę”, z amerykańską flagą witany entuzjastycznie przez rosyjskich chłopów. Dzieło to oburzyło administrację carską, gdyż zbyt boleśnie przypominało o jej nieudolności. Oba obrazy malarz ofiarował w trakcie swojej wizyty w Stanach Zjednoczonych waszyngtońskiej Corcoran Gallery. W latach 1961–1964 obrazy te były eksponowane w Białym Domu z inicjatywą Jacqueline Kennedy.

Czynnikami, który sprawiły, że USA były w stanie produkować poważne nadwyżki żywności, było wykorzystywanie złóż guana – ptasich odchodów nagromadzonych na wyspach Pacyfiku.

Nawóz ptasi od stuleci był wykorzystywany w Europie, a produkujące guano gołębniki znane były już w czasach rzymskich. Zawiera ono podstawowe makroelementy niezbędne dla roślin: azot, fosfor i potas. O ile fosfor i potas mogą być pozyskiwane w dużych ilościach ze złóż fosforytów i soli potasowych, o tyle złoża soli azotowych są bardzo ograniczone.

Głównym rezerwuarem azotu jest atmosfera, w której zajmuje on 78 proc. objętości. Wyładowania elektryczne w atmosferze mogą powodować powstanie tlenków azotu, które rozpuszczone w wodzie deszczowej zasilają glebę i w suchym klimacie mogą gromadzić się jako złoża saletry. Innym sposobem zasilania gleby w związki azotu jest symbioza roślin motylkowych z bakteriami azotowymi – przyswajającymi azot atmosferyczny. Ta druga możliwość była podstawą wprowadzonej przez cystersów trójpolówki, która uratowała średniowieczną Europę przed głodem. Zwierzęta konsumujące rośliny wydalały związki azotu wraz z mocem, który nawozi glebę. Mocz i przesycona nim gleba były za czasów I Rzeczypospolitej przerabiane na saletrę do produkcji prochu. Technologię tę szczegółowo opisał u schyłku XVIII stulecia ks. Jan Krzysztof

Kluk w swoim dziele „Rzeczy kopalnych osobliwie zdutniejszych szukanie, poznanie i zażycie” i może warto by ją zmodernizować i wykorzystać do produkcji nawozów azotowych zgodnie z modelem gospodarki o obiegu zamkniętym.

Kolejny etap rozwoju technologii nawożenia związkami azotu wiąże się z osobą Ignacego Mościckiego. Ten wybitny chemik i wynalazca, patriota walczący z rosyjskim zaborcą zainteresował się produkcją związków azotu jako materiałów wybuchowych. Wraz ze swoim współtowarzyszem Michałem Zielińskim planowali wykonać samobójczy zamach na modlących się w cerkwi przedstawicieli zaborczej elity, wnosząc ukryte pod ubraniem własnoręcznie wykonane bomby. Wykrycie ich planów i konieczność ucieczki na Zachód sprawiły, że Mościcki pracując naukowo na katolickim uniwersytecie we Fryburgu, opracował własną, pionierską metodę pozyskiwania azotu z powietrza. Polegała ona na otrzymywaniu tlenków azotu przy wykorzystaniu łuku elektrycznego.

Ignacy Mościcki w roku 1912 przeniósł się na Politechnikę Lwowską, a następnie warszawską. Został prezydentem II RP i inicjatorem budowy tarnowskich Azotów.

Polska jest dziś znaczącym producentem żywności wybijającym się w skali Unii Europejskiej, a nawet świata swoim potencjałem eksportowym. Produkcja możliwa jest dzięki dostępności nawozów. Nawozy te – dostarczające azot, fosfor, potas, wapń, magnez i siarkę – zapewniły żywność dla ludności świata ośmiokrotnie przekraczającej niecały miliard, który tak martwił wielbego Malthusa.

EKOOBŁĘD

To, że obecnie część ludzi głoduje, wynika z ekologicznego obłędu, który nakazuje przerabiać kukurydzę, trzcinę cukrową i olej rzepakowy na biopaliwa.

Mimo gigantycznych zasobów ropy i gazu produkcja biopaliw samochodowych w roku 2018 osiągnęła 160 mld litrów, w tym biodiesla 41,8 mld litrów, a alkoholu 98,4 mld litrów, czyli ponad 5 litrów oleju i 12 litrów spirytusu na każdego mieszkańca naszej planety. Do produkcji litra spirytusu potrzeba ok. 3 kg zboża. Wprawdzie biopaliwa można produkować z odpadów roślinnych i drewna, ale biopaliwo alkoholowe produkowane jest zazwyczaj z kukurydzy i trzcin

cukrowej, a biodiesel z rzepaku. Uprawy innych roślin przerabianych na biopaliwa blokują potencjał produkcji żywności. Gdyby tę marnowaną produkcję podzielić na ok. 1 mld głodujących, to każdy z nich mógłby otrzymać ekwiwalent ok. 300 kg kukurydzy i 40 litrów oleju rocznie.

Jak dotąd „ekologicznie” motywowane marnotrawstwo zasobów żywnościowych powoduje głód w odległych zakątkach świata. Grożący nam upadek klasy średniej polskich producentów rolnych spowodowany „ekologicznym” prawodawstwem i brakiem dostępu do nawozów zagraża bezpieczeństwu żywnościowemu kraju. Jeżeli nie uchronimy przed odejściem (często samobójczym) z zawodu rolnika

W ostatnich tygodniach, w związku z wojną na Ukrainie, problem zagrożenia głodem stał się niezwykle aktualny

ludzi umiających i chcących go wykonywać, to grozi nam los sowieckiej Ukrainy przy każdym załamaniu łańcucha dostaw.

W ostatnich tygodniach w związku z wojną na Ukrainie problem zagrożenia głodem stał się niezwykle aktualny. Załamanie rosyjskiego i ukraińskiego eksportu zbóż sprawi, że dotychczasowi bliskowschodni i afrykańscy nabywcy intensywnie zaczną poszukiwać nowych źródeł zaopatrzenia, także w Polsce, co może spowodować trudności na naszym rynku wewnętrznym. Dodatkowo należy się liczyć ze spadkiem plonów związanym z ograniczeniem dostępu do nawozów azotowych, przy których produkcji stosowany jest droższy gaz ziemny lub zgazowany węgiel. Niedawna rosyjska próba przejścia tarnowskich Azotów i tegoroczna próba przejścia austriackich, niemieckich i francuskich zakładów azotowych wskazuje, że Rosja starannie odrobiła lekcję udzieloną Związkowi Sowieckiemu przez administrację amerykańską, kiedy to niezbędne dostawy zboża z USA umożliwiły naciski na władze sowieckie. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym
Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wspierając Ukrainę, osłabiamy Rosję



FOT. CHRISTEN MICHAEL/EPY/EO

RYSZARD GROMADZKI: Gdzie leży granica naszego zaangażowania po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją uzasadniona polską racją stanu?

RYSZARD CZARNECKI: To ważne pytanie, które trzeba stawiać. Jestem przekonany, że jednym z dogmatów polskiej racji stanu jest istnienie realnego, a nie sezonowego państwa między nami a Rosją. Wynika z tego, że niepodległa Ukraina leży w interesie Polski. Nie chodzi tu nawet o testament Jagiellonów czy Piłsudskiego – to po prostu geopolityczne ABC. Dlatego trzeba Ukrainę wspierać i to robimy.

Rozumiem, że formuła, której użył niedawno rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że „jesteśmy sługami Ukrainy”, w polskiej racji stanu raczej się nie mieści?

To wypowiedź i żenująca, i głupia. Jesteśmy sojusznikiem Ukrainy w dobrze pojętym własnym interesie. Skądinąd sojusznikiem wypróbowanym. Polska bardzo mocno promowała Ukrainę i nasze wzajemne relacje podczas Euromajdanu, gdzie – przypomnę – podczas blisko milionowego marszu Jarosław Kaczyński siedł razem z Witalijem Kliczką, merem Kijowa. Towarzyszyłem mu wówczas. Podczas wydarzeń na kijowskim „drugim Majdanie”, czyli Euromajdanie, sam byłem łącznie sześć razy. Przemawiałem dwa razy po ukraińsku jako wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego EURONEST, które obejmowało Parlament Europejski i parlamenty sześciu państw Partnerstwa Wschodniego Unii. Wiem dobrze, że Polska była wtedy na Zachodzie jedynym prawdziwym ambasadorem ukraińskich dążeń niepodległościowych i demokratycznych. Było to zresztą naszym wspólnym interesem. Ale po pewnym czasie, za prezydentury Petra Poroszenki, trzeba powiedzieć wprost, Ukraina dokonała istotnego zwrotu politycznego.

Zwrotu, który pozostawił Polskę na bocznym torze. Co znalazło odzwierciedlenie w idei „formatu normandzkiego”, który stał się politycznym forum dla negocjowania pozycji Ukrainy wobec Europy i Rosji. Po tej woli nie można było mieć uzasadnione wątpliwości co do „rentowności” polskiej inwestycji w demokratyczną, zorientowaną europejsko, przyjazną Polsce Ukrainę.

Prezydent Poroszenko i elita władzy w Kijowie w pewnym momencie zdecydowali o istotnej zmianie kierunku po-

lityce zagranicznej. Ministrem spraw zagranicznych został ówczesny ambasador Ukrainy w Berlinie, Pawło Klimkin, i to był gest symboliczny. Ukraina uznała, że należy inwestować w Niemcy, bo to największe państwo w Unii Europejskiej, państwo będące w „formacie normandzkim”.

Formacie, gdzie obok Niemiec, Ukrainy i Rosji była Francja, a nie było – wskutek głośnych protestów Moskwy i cichego oporu Berlina i Paryża – jedynego kraju członkowskiego Unii, który sąsiaduje jednocześnie z Rosją i Ukrainą, czyli Polski.

Kijów inwestował w Niemcy, ponad głowami Polski. Zmiana nastąpiła dopiero za prezydenta Trumpa, kiedy Amerykanie ewidentnie wymusili już na nowym prezydencie Ukrainy Zełenskim bliższe relacje z Polską. Było to już po decyzji o brexicie i idącej za tym decyzji Waszyngtonu, że to Polska staje się dla USA sojusznikiem numer jeden w Unii Europejskiej zamiast Zjednoczonego

Wypowiedź rzecznika polskiego MSZ, że „jesteśmy sługami Ukrainy”, była i żenująca, i głupia

Królestwa. Przypominam, że prezydent Zełenski pierwszą zagraniczną wizytę odbył w Warszawie. Charakterystyczne, że kiedy przez kilka lat Ukraina inwestowała w relacje z Niemcami, Berlin dosłownie stawał na głowie, żeby utrzymać entente cordiale – serdeczne przymierze z Moskwą. Można powiedzieć, że Ukraina po kursie na zbliżenie z Niemcami została jak Himilbach z angielskim, a jej starania o bliższy sojusz z Berlinem zostały potraktowane całkowicie instrumentalnie. Mówiąc znanymi słowami marszałka Piłsudskiego, kanclerz Merkel brała od Ukrainy opcję na zbliżenie z Niemcami, ale jej nie kwitowała, bo w tym samym czasie inwestowała w wyjątkowe relacje niemiecko-rosyjskie.

Teraz Polska jest w Kijowie odmieniana przez wszystkie przypadki i to cieszy, jest to pewna fotografia rzeczywistości, choć zdarzają się wciąż wypowiedzi ze strony niektórych ukraińskich oficjeli, że – cytuję – „pomoc idzie z Unii Europejskiej”, co słysząc, się uśmiecham, bo

Unia obiecuje, ale nie pomaga, a Polska nie obiecuje, tylko konkretnie pomaga. Słyszę też czasem, jak niektórzy znaczący politycy z Kijowa jednym tchem wymieniają pomoc ze strony Polski i Litwy, kraju bardzo zaangażowanego we wsparcie Ukrainy, co trzeba przyznać, ale na zupełnie inną skalę.

Co będziemy z tego mieli, że teraz tak żarliwie wspieramy Ukrainę w jej walce z moskiewskim najazdem? Kupujemy czas niezbędny do tego, żeby lepiej przygotować się na sytuację, kiedy władca Kremla postanowi zaatakować Polskę?

Po pierwsze, Rosja jest historycznym przeciwnikiem Polski. Rozmawiamy w kwietniu, jeśli sięgnie pan po kalendarz historyczny, łatwo pan zauważy, jak wiele dat dotyczy zmagania z Rosją. Jak choćby wyprawa królewicza Władysława na Moskwę, to są daty związane z bitwami konfederatów barskich czy z okresu powstania kościuszkowskiego itd. W tym kalendarzu znajdzie pan też daty związane z ludobójstwem Polaków przez Ukraińców w latach 1943 i 1944 na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Jednak dat dotyczących konfrontacji Polski i Rosji jest zdecydowanie więcej. Więcej nawet niż tych związanych z rywalizacją Polski i Niemiec. Przy czym sformułowanie „rywalizacja” w tym wypadku to eufemizm, bo najczęściej mieliśmy do czynienia z agresją Krzyżaków, Prus czy Niemiec wobec Polski.

My teraz, wspierając Ukrainę, osłabiamy Rosję i to absolutnie leży w naszym interesie. Przy czym Rosja traci nie tylko ekonomicznie z powodu sankcji nałożonych na nią za rozpętanie wojny, lecz także wizerunkowo w świecie. Traci coś jeszcze, co być może było dla niej najważniejsze, bo Moskwę znacznie bardziej niż wizerunek na Zachodzie interesowało to, żeby budzić strach na obszarze byłego Związku Sowieckiego. Jednak kompromitacja rosyjskiej armii na Ukrainie powoduje, że ten strach w państwach Azji Środkowej, dawnych republikach azjatyckich ZSRS, wyraźnie zmalał, o czym dobitnie świadczy głosowanie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ nad rezolucją potępiającą Rosję, gdzie nawet kraje, które są formalnie związane z Federacją Rosyjską poprzez wspólny udział w strukturach gospodarczych, militarnych i politycznych, takie jak Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan czy Armenia, wstrzymały się od głosu. To wskazuje, że Rosja traci poważanie

► i wpływy w swoim mateczniku, czyli na obszarze dawnego ZSRS.

Czy kompromitacja rosyjskiej armii na Ukrainie nie buduje w Polsce złudnego przekonania o słabości Rosji? To wciąż najpotężniejsze obok USA mocarstwo nuklearne, a my w hurrapatriotycznym uniesieniu niemal dzielimy już skórę na ruskim niedźwiedziu...

Bardzo dobrze, że o tym rozmawiamy. Kompromitacja rosyjskiej armii za naszą wschodnią granicą nie oznacza jeszcze totalnej zapaści państwa rosyjskiego i jego armii. Jeżeli Moskwa nie zrealizowała celu w postaci zdobycia Kijowa i osadzenia tam posłusznego sobie marionetkowego rządu, który byłby jacejką Kremla, to nie oznacza, że nie podejmie, bo już to robi, być może z nadziejami na sukces zagarnięcia znacznej części wschodniej i południowej Ukrainy i zapewnienia dostępu lądem do Krymu.

Można śmiać się, oglądając memy o traktorach ciągnących zdobyczne rosyjskie czołgi – to jednak absolutnie nie może prowadzić do lekceważenia Rosji, która choć zmniejszyła swoją siłę rażenia w porównaniu z tym, co było za czasów agresji na Gruzję, zajęcia Krymu, Doniecka i Ługańska, to jednak dalej jest bardzo groźna. Dlatego Jarosław Kaczyński oczywiście ma rację, wzywając do pełnej mobilizacji. Jednak kwestią interesu narodowego i – powiedziałabym – instynktu narodowego jest to, że nie powinniśmy jako NATO angażować się militarnie na Ukrainie – nie mówię oczywiście o misji pokojowej, osłaniającej, bo to co innego – i tutaj akurat nasi amerykańscy sojusznicy mają rację. Choć myślę i trzeba to powiedzieć w końcu wprost: intencje Amerykanów są nieco inne. W interesie USA leży, żeby ta wojna trwała dłużej, bo to osłabia Rosję, cofa ją gospodarczo.

Scenariusz, w którym Rosja, sojusznik Chin, wikała się w trwającą latami, być może, wojnę w Europie Wschodniej, jest korzystny dla Waszyngtonu. W optyce Amerykanów strategicznym konkurentem USA są Chiny, zrozumiałe jest więc, że robienie wszystkiego, aby osłabić sojuszników Chin, na czele z Rosją, leży w amerykańskim interesie. Proszę zwrócić uwagę, że na razie Amerykanie nie przekazują Ukraincom samolotów i czołgów, ale bardzo skuteczną broń defensywną. Powtórzę: oni chcą, żeby ta wojna trwała dłużej.

Nie uważam, żeby celem Rosji była Polska – w sensie agresji militarnej, takiej, która ma miejsce na Ukrainie

À propos transferu broni na Ukrainę, czy powinniśmy – wzorem Czechów – przekazać Ukraińcom nasze postsowieckie czołgi T-72? Co by o nich powiedzieć, nie jest to na pewno broń defensywna.

Myślę, że Polska robi dla Ukrainy wielokrotnie więcej niż przekazanie kilkudziesięciu czołgów wyprodukowanych w czasach sowieckich. Przecież broń, amerykańska czy brytyjska, nie znalazła się na terytorium Ukrainy dzięki sierotce Marysi i krasnoludkom. Rola Polski jako hubu tranzytowego dla uzbrojenia, tak jak hubu dla żywności, medykamentów i wszelkiej pomocy humanitarnej, jest kluczowa.

Czy składową ceny polityki, którą Polska prowadzi wobec Ukrainy, jej bezwarunkowego wsparcia, nie będzie utrata naszego odwiecznego sojusznika – Węgier? Premier Orbán przy bardzo silnym mandacie społecznym, co pokazały niedawne wybory, dystansuje się od Ukrainy.

Cofnijmy się równo o sto lat. Europa jest po podpisaniu dwóch traktatów kończących pierwszą wojnę światową, w Wersalu i w Trianon. Polska stała się wówczas absolutnie największym beneficjentem nowego europejskiego ładu geopolitycznego, Węgry były jednym z jego największych przegranych. I co się dzieje? Polska, której priorytetem jest utrzymanie status quo, i Węgry, które zainteresowane są jego odwróceniem, bardzo blisko ze sobą współpracują. Na miłość boską, zaapeluj raz jeszcze do moich kolegów polityków, dziennikarzy i ekspertów, żeby poczytali historię Europy. Mieliśmy wtedy, przypomnę, niesłychanie bliskie relacje z Rumunią, której po Trianon przypadła istotna część terytorium Węgier. Następca rumuńskiego tronu był na stażu w polskiej armii.

A nasze kraje łączył na mocy traktatu zawartego w marcu 1921 r., tuż po zwycięskiej wojnie z bolszewikami, strategiczny sojusz ...

Potrafililiśmy wówczas utrzymać znakomite relacje także z Węgrami, chociaż nasze interesy były rozbieżne.

Dlaczego teraz ma być inaczej? Oczywiście powinniśmy utrzymywać z Węgrami, podobnie jak z Czechami i ze Słowacją, bliskie relacje w ramach Grupy Wyszehradzkiej, która jest wartością samą w sobie.

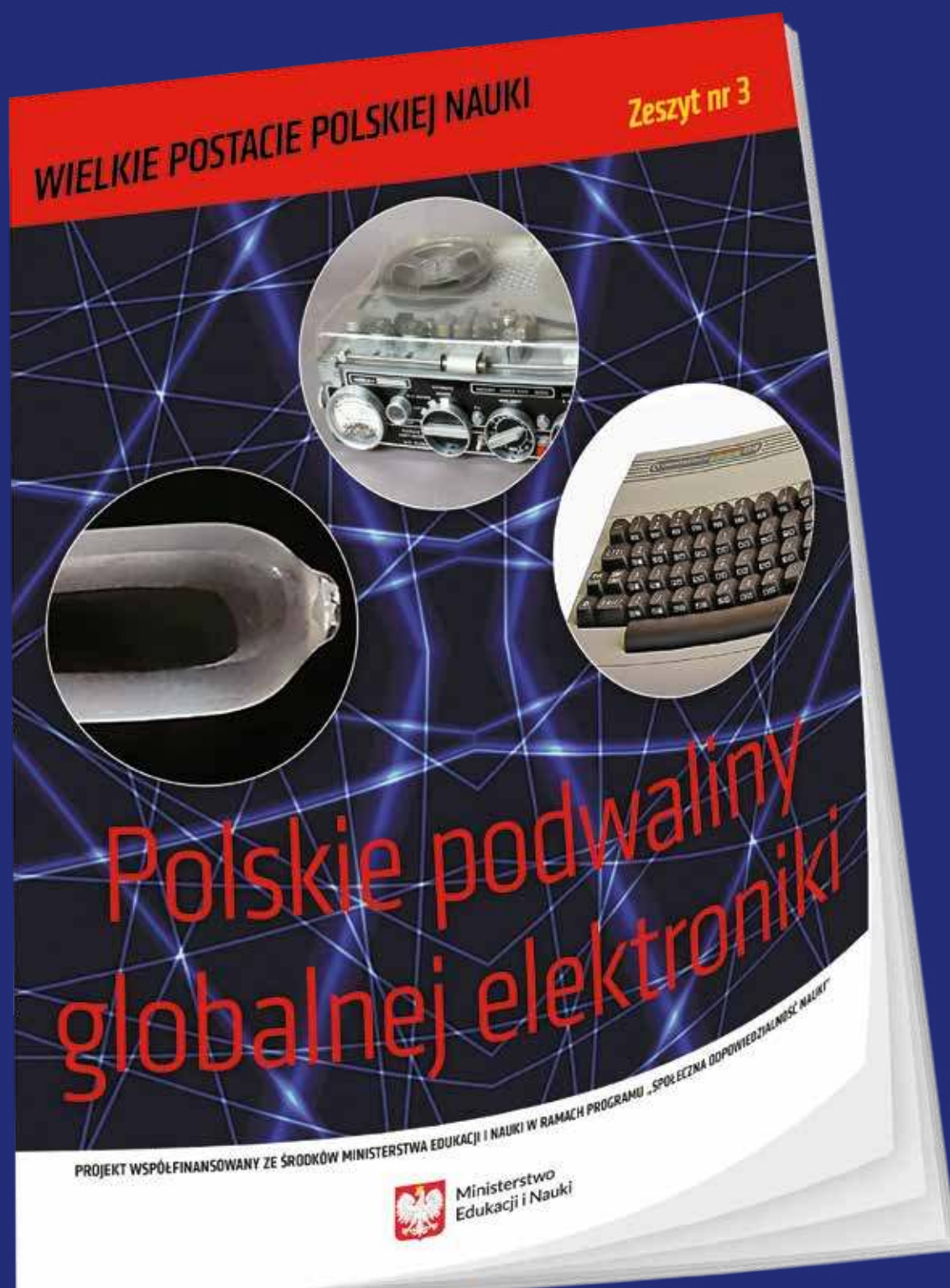
Pamiętam, jak czeski premier Petr Nečas, pierwszy katolik na tym urzędzie w historii tego kraju, mówił mi, że nasi zachodni sąsiedzi – nie wymieniał nazwy państwa, bo wiadomo, o jakie państwo chodzi – bardzo wypytują o naszą współpracę regionalną, bo nie są z tej współpracy zadowoleni. Właśnie dlatego powinniśmy blisko współpracować w ramach V4, żebyśmy byli silniejsi w relacjach z Niemcami, Unią i USA. I dlatego także trzeba inwestować we współpracę regionalną. Uważam, że pomimo fundamentalnej różnicy w sprawie Rosji i Ukrainy pomiędzy nami a Węgrami trzeba te relacje utrzymać. Wyniki wyborów pokazują, że na następne cztery lata jesteśmy i tak skazani na Orbána, który wygrał po raz piąty, co w systemach demokratycznych prawie się nie zdarza, w tym czwarty raz z rzędu – co było już udziałem Kohla i Merkel. Tylko brytyjscy konserwatyści wygrali pięć razy z rzędu i rządzili 18 lat...

Czy jesteśmy skazani na konflikt militarny z Rosją i czy jeśli dojdzie do takiego konfliktu, to będzie to oznaczało trzecią wojnę światową?

Nie uważam, żeby celem Rosji była Polska – w sensie agresji militarnej, takiej, która ma miejsce na Ukrainie. To nie oznacza, że nie może dojść do ataków artyleryjskich czy bombardowania terytorium Polski. Nie będzie to jednak raczej klasyczna wojna. Uważam, że obok Ukrainy najbardziej zagrożone są państwa, które nie są członkami Unii Europejskiej, choć podpisały z nią układ stowarzyszeniowy, czyli Mołdawia i Gruzja – w tej właśnie kolejności. Mołdawia to jeden z najbardziej zagrożonych krajów Europy, który przyjął zresztą przeszło 100 tys. uchodźców z Ukrainy. Część jej terytorium, czyli Naddniestrze, jest w praktycznym władaniu Rosji. Łatwiej jest rozpocząć skuteczną wojnę, aby wcielić Mołdawię do Rosji, niż zaatakować Polskę. Myślę, że na liście celów Rosji, zgodnie z tym, co mówił prezydent Kaczyński w Tbilisi, przed Polską są też kraje bałtyckie, zwłaszcza te z dużą mniejszością rosyjską, jak Łotwa i Estonia. Ale Rzeczpospolita musi być przygotowana na wszystko.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 9ab43e9c76

Każdy naród ma swoje traumy. Polaków prześladowały kompleks wewnętrznych podziałów i historycznych zdrad sojuszników. Niemców niepokoją liczne w ich historii przypadki szaleństwa połączonego z wyniszczającymi wojnami. Czesi obawiają się, że są małą wyspą w niemieckim morzu, a Węgrzy opłakują liczne klęski. W wypadku Ukraińców ich traumą jest to, że wiele nacji nie uznaje ich za osobny, osadzony w tradycji, europejski naród.

Istotnie, gdy ktoś liczy niepodległość na dekady, dokładnie trzy dekady, to ma problem z zakotwiczeniem swojego wizerunku w świadomości zbiorowej Europejczyków. To niezauważanie narodu naszych wschodnich sąsiadów ma swoje różne odcienie. Przyjrzyjmy się temu zjawisku na przykładzie paru najważniejszych nacji naszego kontynentu, a nawet świata.

ROSYJSKIE LEKCEWAŻENIE

Jeśli próbować wskazać utwór, który wywołał w polskich elitach największy szok, to ostatnio w tej kategorii wyraźnie przoduje wiersz rosyjskiego poety Josifa Brodskiego „Na niepodległość Ukrainy” z 1991 r., który przetłumaczył niedawno Leszek Szaruga. Brodski znany w Polsce jako odważny dysydent, bohater procesu politycznego i wyrafinowany esteta objawia się w nim jako rosyjski imperialista, który wobec ogłoszenia przez Ukrainę niepodległości żegna bratni naród w bardzo zjadliwy sposób:

*Żegnajcie, chachły, razem żyliśmy – i z oczu!
Splunąć by w Dniepr, być może jeszcze się wstecz
potoczy.
Brzydziecie się godnie nami, znudzeni, znużeni swą
męką,
Rozłączonymi węglami, wielowiekową udęką.
Żle nas nie wspominajcie, waszego chleba, nieba
Nam, gdy stłoczyć macie makuchy, fałszywego nie trzeba.
Nie ma co krwi psuć czy rwać na piersi koszuli,
Skończyła się, widać, miłość, jeśliście ją czuli. [...]
Z Bogiem orły, kozacy, hetmani i gieroje,
Lecz kiedy umierać wam przyjdzie, hulajcie i buhajcie,
Będziecie rzeźić, czepiając się skraju materaca,
Te strofy Aleksandra, a nie brednie Tarasa.*

Josif Brodski w ostatnich wersach wiersza sugeruje, że w momencie śmierci każdy Ukraińiec będzie wołał cytować Puszkina, a nie – miernego w opinii autora – ukraińskiego wieszczę narodowego Tarasa Szewczenkę. Ten wiersz ugodził wielu Ukraińców do żywego. Wywołał też trafny komentarz polskiej pisarki Ireny



Rozmazana Ukraina



Piotr Semka

Stosunek europejskich narodów do Ukrainy pokazuje, jak trudno się przebić do zbiorowej świadomości nacji, które uzyskały niepodległość po upadku komunizmu. Ekipa Wołodomyra Zełenskiego musi wykonywać o wiele większą pracę w dotarciu do światowej opinii publicznej niż Polacy czy Czesi

Grudzińskiej-Gross: „Odrzucenie imperium sowieckiego z całą jego brzydotą i starością nie oznaczało dla Brodskiego odrzucenia imperium rosyjskiego, a przede wszystkim jego kultury [...]. Używanie w wierszu pogardliwego określenia »chachły« jest tego bodaj najdobitniejszą manifestacją”.

Rosjanie zarówno nie uznają Ukraińców za równy sobie naród, jak i nie uznają ich nawet za osobny naród. Jeśliby chcieć spróbować wyjaśnić tę mieszaninę przeciwstawnych uczuć, to oznaczałoby, że chcą wiecznie sprawować rolę mądrego wychowawcy wobec mniej okrzesanego braciszka. Dzisiaj tymi wychowawcami mają być rosyjscy żołnierze, którzy mają zdeukranizować i zdenazyfikować Ukrainę.

Dzisiejsze polskie oburzenie na takie stawianie sprawy nie tylko wynika z solidarności narodu, który dobrze pamięta rosyjski neoimperializm, lecz także płynie z gorzkiej pamięci. Również w polskiej historii były czasy, gdy nasi przodkowie oburzali się na „wymyślanie konceptu Ukraińca” i wierzyli, że „swojscy” Rusini

mogą być wewnętrznym szczepem narodu polskiego na wzór Kaszubów. Jeszcze nie tak dawno, bo 90 lat temu, w wojsku polskim istniały obok jednostek podhalańskich oddziały huculskie, które miały przyciągać górskich Rusinów do poczucia wspólnoty etnicznej z Polakami.

NIEMIECKA IGNORANCJA

Zupełnie inny stosunek do Ukraińców, choć równie ich drażniący, prezentowali Niemcy. Cesarstwo kajzera w 1918 r. proklamowało po raz pierwszy w najnowszych czasach państwo ukraińskie pod wodzą marionetkowej postaci hetmana Petra Skoropadskiego. Potem, w czasie wojny, Niemcy flirtowali z ukraińskim nacjonalizmem, by ostatecznie pójść na konflikt z UPA. Ale wszystkie te przejawy państwo- i narodotwórczej socjotechniki były domeną wyspecjalizowanych komórek sztabu generalnego i niemieckiej Abwehry. Dla Ukraińca problemem jest to, że w Niemczech większość mieszkańców nie postrzega Ukrainy jako narodu wyrażającego osobnego od Rosji.

Jak pisze niemiecki publicysta Klaus Bachmann: „W Niemczech każdy coś wie o Rosji i każdy ma jakąś opinię o Rosji. Często są to kalki historyczne, nieuporządkowane strzępy zaczerpnięte z filmu, folderów reklamowych agencji turystycznych, dziwna mieszanina przesądów, lęków, respektu i zwyczajnego kitu. Ale to podstawa, na której można budować. Rosyjska propaganda i Russlandversteher mają do czego nawiązywać. O Ukrainie nikt nic nie wie. Na jej temat nie ma ani wiedzy, ani narracji, a nawet kiczu”.

Temu brakowi szerszej wizji towarzyszą też niejasne wyrzuty sumienia za manipulowanie ukraińskim nacjonalizmem w czasie wojny. Znow zacytujmy Klausa Bachmanna: „To sprawiło, że po drugiej wojnie proukraiński nurt w niemieckiej polityce jest zdyskredytowany, a ukraiński ruch narodowy pojawia się wyłącznie w kontekście kolaboracji z nazizmem i udziału w Holokauście (odwołuje się to do innego, znacznie bardziej popularnego poglądu, zgodnie z którym Niemcy muszą okazać Rosji Putina wdzięczność, ponieważ Niemcy hitlerowskie kiedyś napadły na ZSRS, a ten wyzwolił Niemcy od nazistów, a potem zgodził się na zjednoczenie Niemiec)”.

Takie myślenie stało za argumentem, że RFN nie może sprzedawać Ukrainie broni ofensywnej, bo nie można dopuścić, by Rosjanie znow ginęli od uzbrojenia Rheinmetall. Na argument ten odpowiadali z oburzeniem ukraińscy intelektualiści, publikując mapki rozmieszczenia na okupowanej Ukrainie hitlerowskich obozów pracy oraz spalonych przez SS i policję ukraińskich wiosek. Gdyby nie popularność w Niemczech pary bokserkich braci Kliczko – Wołodymyr Zełenski miałby znacznie większe problemy z dotarciem ze swoim przesłaniem do zwykłych Niemców. Jednak sprzedaż transporterów bojowych Marder nadal blokowana jest przez kanclerza Olafa Scholza.

UKRAINA – GDZIE TO JEST?

National Gallery w Londynie niedawno ogłosiła, że zmienia nazwę obrazu Edgara Degasa, który dotychczas był znany pod nazwą „Rosyjskie tancerki”. Wielu krytyków sztuki już od dawna wskazywało, że strój odmalowanych tańczących dziewcząt jest ewidentnie ukraiński, a nie rosyjski. Skąd więc się wzięła myląca nazwa? Rzecz w tym, że Degas namalował tancerki z wyrazistych folklorystycz-

nych grup, które przyjeżdżały do Paryża na przełomie wieków XIX i XX z ówczesnego Imperium Rosyjskiego i były powszechnie uważane za „Rosjanki”. Gdy w Polsce pojawiły się informacje o decyzji National Gallery dotyczącej nazwy obrazu, wielu internautów skomentowało to jako dziwactwo politycznej poprawności. A przecież decyzja Anglików była swoistym zadośćuczynieniem za dziesięciolecie, gdy lekką ręką Anglosasi zaliczali Ukraińców do jednego z wielu szczepów narodu rosyjskiego. A na pewno nie uznawali go za w pełni ukształtowany naród.

Ostatnim przykładem takiego myślenia była słynna mowa prezydenta USA George’a Busha seniora 1 sierpnia 1991 r. w Kijowie nazwana złośliwie przez amerykańskich dziennikarzy „chicken kiev speech”. W swojej mowie prezydent Bush po spotkaniu z Michaiłem Gorbaczowem postanowił użyć swojego autorytetu do wezwania Ukraińców, by lekkomyślnie nie likwidowali Związku Sowieckiego. Dyplomacja amerykańska była wówczas opanowana lękiem, że ZSRS rozpadnie się na wzór Jugosławii na walczące ze sobą narody. Ukraińcy puścili mimo uszu gromkie wezwania gospodarza Białego Domu i trzy tygodnie po „chicken kiev speech” ogłosili niepodległość.

Dziś Ameryka i Wielka Brytania są w czołówce państw pomagających w dostawach broni dla Ukrainy, ale już np. we Francji, w Hiszpanii czy we Włoszech jest wielu publicystów, którzy piszą o tej wojnie jak o trudnym do zrozumienia sporze między dwoma niemal identycznymi narodami. Także dyskretne sugestie francuskiej dyplomacji, by ekipa Wołodymyra Zełenskiego zaakceptowała włączenie w skład swego państwa formalnie niezależnych republik Ługańskiej i Donieckiej, pokazuje, jak bardzo Paryż nie widzi większych różnic etnicznych na tym terenie.

ANTYUKRAIŃSKI GULASZ

Ostatnim przykładem stosunku do Ukraińców w czasie obecnego konfliktu jest postawa premiera Węgier Viktora Orbána. Polacy są zaskoczeni skalą dystansu, jaki zachowują zwykli Węgrzy wobec tragedii narodu bądź co bądź sąsiadującego z Madziarami. Bardzo często w Polsce przypisuje się to stanowisko jakiejś ogólnej polityce Fideszu skupionej na zdobywaniu życzliwości Kremla. Być może są w tym jakieś elementy takiej Realpolitik, ale przede wszystkim jest to wynik resentymentu wobec Ukrainy za

włączenie niegdyś węgierskiego Zakarpacia w obręb państwa ukraińskiego.

Przez ponad tysiąc lat Zakarpacie było integralną częścią Korony św. Stefana. W 1918 r. tereny te zajęła droga Węgrom Czechosłowacja, a w 1945 r. przejęli je Sowieci i włączyli do Ukraińskiej SRS.

Ukraińcy ze swej strony mają również rachunek w relacjach z Węgrami. W marcu 1939 r. na terenie Zakarpacia próbowano powołać minipaństwo ukraińskie, swoisty Piemont ukraiński, który miał być punktem wyjścia do jakiejś trwałej państwowości Ukraińców. Ten trwający dwa dni incydent historyczny zmiażdżyły wojska węgierskie, rozstrzelując wielu bojowników spod znaku ukraińskiego nacjonalizmu.

Ta historyczna hipoteka w pewnym stopniu wpłynęła na ostrość konfliktu między ukraińską większością Zakarpacia a węgierską mniejszością, która liczy 150 tys. ludzi. Kością niezgody stała się ustawa oświatowa, która likwidowała naukę w ukraińskich szkołach w obcym języku. Autorom tego prawa w Kijowie chodziło głównie o ograniczenie nauki w języku rosyjskim na terenach wschodniej Ukrainy. Jednak w warunkach Zakarpacia przepisy te uderzyły w Węgrów.

Wzajemne animozje odezwały się właśnie teraz, kiedy Ukraina walczy o przetrwanie. A emocje podkręciła jeszcze dodatkowo kampania wyborcza na Węgrzech. Dla Polaków cały spór jest o tyle zaskakujący, że to Polacy mają więcej powodów do niedobrych doświadczeń historycznych z Ukraińcami. A jednak to Węgrzy znaleźli się na wysokich pozycjach listy narodów, które Ukraińcy uważają za nieprzyjacie w obecnym konflikcie.

Ten krótki przegląd stosunku rozmaitych europejskich narodów do Ukrainy pokazuje, jak trudno jest się przebić do zbiorowej świadomości narodów świata nacjom, które uzyskały niepodległość po upadku komunizmu. Ekipa Wołodymyra Zełenskiego musi wykonywać o wiele większą pracę w dotarciu do światowej opinii publicznej, niż jest to w przypadku Polski czy nawet Czech. Ukraińcy mogą mieć tylko jedną nadzieję, że ich trwała walka pociągająca za sobą ogromne ofiary przy zatrzymywaniu inwazji Putina wbije nam Ukrainę w świadomość narodów świata. Nie ma bowiem lepszego dowodu na to, że jakiś naród istnieje, niż to, że w jego imieniu idą do walki i giną dziesiątki tysięcy ludzi.

A polska armia?

Zszoku, którym – mimo wszystkich wcześniejszych jego działań – była dla świata „pełnoskalowa” agresja Rosji na Ukrainę, i z tego, co stanowiło zaskoczenie chyba jeszcze większe, czyli z uporczywej i skutecznej obrony tej drugiej, wyciągnęliśmy dla siebie, na razie, głównie ten wniosek: „A widzicie, mieliśmy rację!”

A ponieważ w naszej polityce, o czym wielokrotnie pisałem, chodzi nie tyle o praktyczne korzyści, ile właśnie o to, by mieć rację i znajdować się we wszystkich sporach po stronie moralnie słusznej, satysfakcja wywołana tym sukcesem przysłoniła wszystko inne. Od ponad miesiąca skupiamy uwagę na każdym kolejnym artykule w zachodniej gazecie bądź stwierdzeniu tamtejszego polityka, że „trzeba było słuchać Polaków”, oraz konsumujemy politycznie przyznaną nam słusność, krytykując z pozycji moralnych kunktatorstwo i zdradę ideałów przez przywódców Niemiec czy Francji i oburzając się ich skandalicznymi reakcjami na naszą uzasadnioną krytykę.

WYRYWANIE ZASŁUG

Przyznanie nam przez świat racji wykorzystali też protagoniści naszej sceny politycznej do podgrzania eksploatowanych od lat emocji. Życie polityczne i przekaz medialny zdominowane zostały przez wyrywanie sobie zasługi przestrzegania świata przed Putinem oraz wciskanie sobie nawzajem tegoż Putina jako śmierdzącego



Rafał A. Ziemkiewicz

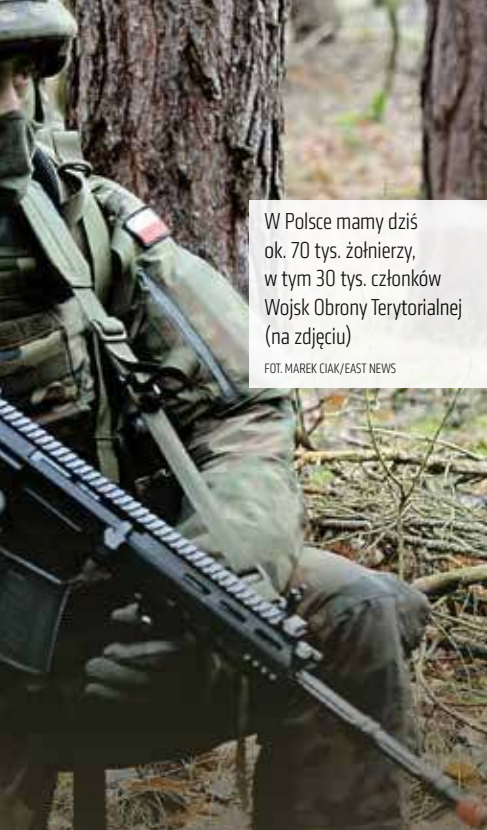
Zamiast zadawać sobie ważne pytania, jesteśmy dumni, że „Polska miała rację”, i oddajemy się politycznej młócce

jaja. Media państwowe w nieskończoność powtarzają obrazki Tuska ściskającego się z Putinem na molo w Sopocie i w Smoleńsku po katastrofie, opozycyjne odpowiadają na to równie natrętnym eksploatowaniem starych zdjęć Kaczyńskiego czy Morawieckiego z Orbánem i Le Pen. Przekaz opozycji sprowadzony został do młócenia na różne sposoby, że jest sojusznikiem Putina każdy, kto nie zgadza się z liderami Unii Europejskiej. Przekaz partii rządzącej zdominowała próba odgrzania emocji związanych ze Smoleńskiem i oskarżenie Tuska o współudział w „zamachu”. Jarosław Kaczyński, niegdyś ostrożnie mówiący, że „pewnie nigdy się nie dowiemy, co się stało”, ogłosił teraz zamach jako pewnik nie dlatego, żeby pojawiły się jakieś nowe, rozstrzygające dowody czy choćby dokonano reinterpretacji tych przedstawianych wcześniej, ale dlatego, że po ujawnieniu skali rosyjskich zbrodni na Ukrainie odsetek Polaków dopuszczających myśl, że Lech Kaczyński i polska delegacja nie zginęli wskutek wypadku, ale padli ofiarą rosyjskiego zamachu, wzrosła z nieco ponad 20 do prawie 50 proc. ankietyowanych.

W tle medialnego przekazu bulgoczą oskarżenia pomniejsze: która strona (rząd czy PO-wskie samorządy wielkich miast) naprawdę pomaga, a która nie pomaga lub za mało pomaga uchodźcom. Opozycja ujada na rzekomy rasizm władzy, która nie chce byczków nasyłanych przez Łukaszenkę uznawać za kobiety z dziećmi uciekające przed wojną – „Wiadomości” TVP pokazują codziennie Tuska mówiącego „für Deutschland”, ten rewanżuje się internetowym trollingiem o „strzelaniu korków szampana na Kremlu i Nowogrodzkiej”... Szkoda pisać dalej.

Wszystko to sprawia, że w chwili wielkich wyzwań geopolitycznych stojących przed Polską i wielkich szans politycy i liderzy opinii obu stron zamknęli się w swoim skłóconym grajdołku, nie próbując nawet rozmawiać ze społeczeństwem o tym, co się dzieje.

Żyjąc tą prymitywną młócką, Polacy kompletnie nie zadają sobie pytań. Nawet tych, które się wprost narzucają. Na przykład: Jakim cudem stało się coś na naszych oczach, czego nikt się nie spodziewał – Ukraina, postrzegana, nie bez



W Polsce mamy dziś ok. 70 tys. żołnierzy, w tym 30 tys. członków Wojsk Obrony Terytorialnej (na zdjęciu)

FOT. MAREK CIAK/EAST NEWS

zasadniczej służby wojskowej praktycznie nie ma żadnego systemu powszechnego szkolenia wojskowego, nie ma też systemu powszechnej mobilizacji – w razie potrzeby moglibyśmy liczyć tylko na ochotników, ale i ich nie wiadomo kto i jak miałby zorganizować, przygotować do walki i wyposażać. Jednocześnie zlikwidowaliśmy właśnie ostatecznie obronę cywilną.

Oczywiście w przeciwieństwie do Ukrainy jesteśmy w NATO. Lekcja ukraińska potwierdza jednak zasadę, z której każdy powinien sobie zdawać sprawę: żeby NATO mogło pomóc, trzeba być zdolnym obronić się samemu. Do tego nie wystarczą spektakularne jednorazowe zakupy dużej ilości amerykańskiej broni, nawet jeśli są one skutkiem trafnego oszacowania potrzeb i możliwości.

Przez wiele lat obronność traktowana była u nas przede wszystkim jako dziedzina, na której można zaoszczędzić pieniądze i w której wszelkie braki uzasadnić można argumentem: „Cóż, nie stać nas, jesteśmy biednym krajem”. W sporządzonym przez Forum Ekonomiczne w Davos rankingu, które państwa w ostatnich trzech dekadach dokonały największego skoku cywilizacyjnego, zajęliśmy przecież zaledwie drugie miejsce, z wyraźnym dystansem do pierwszych w nim Chin. Co innego Ukraińcy, ich najwyraźniej było na budowę silnej i nowoczesnej armii stać!

Ukraińska lekcja potwierdza zasadę, z której każdy powinien zdawać sobie sprawę: żeby NATO mogło pomóc, trzeba być zdolnym obronić się samemu

Pamiętam z lat 90. badania opinii publicznej, w których pytano: „Na co przede wszystkim państwo powinno wydawać pieniądze?”. Dominowały oczywiście roszczenia socjalne: podtrzymywanie nierentownych miejsc pracy, podwyżki świadczeń, podnoszenie jakości służby zdrowia etc. Obronność jako wartość ponoszenia kosztów wskazało zaledwie 8 proc. ankietowanych. Sposób, w jaki w ostatnich latach wydawali pieniądze przestrzegający świat przed rosyjskim imperializmem politycy, dowodzi, że od tamtego czasu społeczne oczekiwania niewiele się zmieniły.

A w każdym razie, że politycy, nawet jeśli uważają się za zatroskanych o dobro narodu, tak jego oczekiwania postrzegają.

WYTRESOWANI DO WSTYDU

Wynika to oczywiście z wielu przyczyn, ale nie ostatnią wśród nich jest zdominowanie społeczeństwa przez lewicowo-liberalne elity, tresujące je przez lata w duchu „pedagogiki wstydu”. Trudno zapomnieć zjadłość, z jaką polskie media, celebryci, pisarze i naukowcy przez wiele lat starali się obrzydzić Polakom samych siebie i wmówić im, że powinni zniknąć, rozpułnąć się w abstrakcyjnej „europejskości”, bo tylko przynoszą swym elitom wstyd i robią im obciach. „Europejczycy polskiego pochodzenia”, jak określili sami siebie, Putina dostrzegali tylko o tyle, o ile dawało się go użyć we wspomnianej już funkcji śmierdzącego jaja do zohydzania „polskiego nacjonalizmu” i „ciemnogrodu” – żyli jednak w absolutnym przekonaniu, że jako „Europejczykom” nic im z jego strony nie grozi. Jeszcze w ostatnich miesiącach przed wojną „Gazeta Wyborcza” prowadziła kampanię reklamową prezentującą jej targetowych czytelników jako „obywateli Europy”, mieszkających w tym czy innym polskim mieście.

Za symbolami idzie praktyka. Lewicowo-liberalna opozycja uporczywie podtrzymuje narrację, zgodnie z którą wojna na Ukrainie dowodzi, że powinniśmy się jak najszybciej wyrzec naszej niepodległości na rzecz organów Unii Europejskiej. Nie tylko podtrzymuje narrację, lecz także nie ustaje w staraniach, by Unia wymusiła na nas rezygnację z uprawnień suwerennego państwa, „zagładzając nas”, do czego przyjęcie pod polskie dachy milionów ukraińskich uchodźców stwarza niepowtarzalną okazję. Tak jakby to nie USA, ale Niemcy i Francja, w istocie najwięksi wspólnicy Putina, byli dziś oparciem i pomocą dla walczącej Ukrainy.

Z jednej strony elity, które suwerenności w ogóle sobie nie cenią, uważają ją za obciach, anachronizm i przeszkodę w cywilizacyjnym rozwoju, z drugiej – ogół społeczeństwa, które, by sięgnąć po określenie Piłsudskiego, wierzy, „że niepodległość może kosztować dwa grosze i dwie krople krwi”. I obóz rządzący, który – zdaje się – uwierzył, że wskrzesi patriotyzm, budując kult wokół katastrofy w Smoleńsku podniesionej do rangi męczeństwa.

Putin ma naprawdę pecha, że po drodze do Polski musiał najpierw zaatakować Ukrainę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

powodów, jako państwo biedne, słabe i skorumpowane, oparła się najazdowi sąsiada, którego potęgę, dopiero teraz widzimy, jak mocno nadpróchniałej, boi się cały świat? Najwięksi optymiści liczyli, że na Ukrainie rozwiną się opór, miejska partyzantka, że społeczeństwo nie pogodzi się z rosyjską okupacją. Ale że przez miesiąc Rosjanie nie zdołają zająć nawet całych obwodów donieckiego i ługańskiego ani lądowego połączenia z Krymem, a spod Kijowa zostaną odepchnięci?

Ukraina, prowadząc znakomicie wojnę także w sferze informacyjnej, pokazuje światu głównie lekką piechotę z ręcznymi pociskami przeciwpancernymi, ale fachowcy dostrzegają, że sukcesy zawdzięcza nie pospolitemu ruszeniu, ale sprawnym i dobrane uzbrojeniu wojskom operacyjnym. Zetknąłem się z szacunkami, że do chwili szykowanej przez Rosję napaści Ukraina zdołała zmobilizować (w znacznej części w trybie tajnym) 320 tys. żołnierzy i wciąż ma mniej więcej drugie tyle przeszkolonych rezerwy.

JAK SIĘ OBRONIMY?

Polska, tak bardzo dumna z tego, że przestrzegała cały świat przed rosyjską agresją, choć jej nie chciano słuchać, ma w tej chwili ok. 70 tys. żołnierzy w różnych stadiach gotowości bojowej, 30 tys. obrony terytorialnej i ok. 10 tys. przeszkolonych wojskowo Narodowych Sił Rezerwowych. I to wszystko. Od momentu likwidacji



Marek Jurek

Najlepiej definiował go dar, który sam najbardziej cenił u Jarosława Kaczyńskiego, virtù

Ludwik Dorn mówił, że „gdy ktoś jest politykiem, nie ma prawa się bać”, ale virtù to więcej niż sama odwaga, to zdolność podejmowania walki, gdy inni stoją z boku, i dostrzeżenia przesłanek zwycięstwa tam, gdzie większość w ogóle ich nie widzi. To zaś w społeczeństwie demokratycznym wymaga gotowości liczenia się z opinią publiczną (czasami wbrew dumie), a także zdolności przeciwstawienia się nastrojom zbiorowym (do czego duma bardzo się przydaje). Szczególnie wtedy, gdy większość nie tylko nie ma racji, lecz także nie wie, dokąd idzie. Virtù to inteligencja oraz poświęcenie, które chce i potrafi wygrywać.

REALIZM BEZ KOMPROMISÓW

Dwie sprawy i dwa żywioły streszczały najlepiej poglądy Ludwika Dorna – państwo i walka. Był na wskroś realistą. Dzięki świetnej znajomości twórczości le Carré (którego był też tłumaczem) napisał nawet esej o „realistycznym nurcie powieści szpiegowskiej”. Le Carré był oddechem od bieżącej działalności, ważniejsza była filozofia polityczna, w której Dorn opierał się przede wszystkim na Hobbessie, cenił też Carla Schmitta, co nas bardzo różniło. Zwracał mi uwagę, że dobro wspólne, dobro publiczne i interes publiczny to pojęcia zakresowo różne. Niedawno we „Francuskim przeznaczeniu” Zemmour podobnie chwalił Richelieu za to, że Wielki Kardynał przez rację stanu przeprowadził swój kraj od „średniowiecznego dobra wspólnego” do nowoczesnego publicznego interesu. O ocenę tego antyuniwersalistycznego procesu się spierał. Ludwik uważał go – i otwarcie o tym mówił – za nieuchronny.

Kiedyś zwróciłem mu uwagę, że w tej „realistycznej” filozofii nie ma w ogóle kategorii ładu społecznego. „Bo ładu nie ma” – odpowiedział. Uważał, że w chaotycznym świecie walki tylko państwo wprowadza minimum porządku, otwiera przestrzeń dla politycznej wspólnoty narodu, zapewnia jej istnienie. Sprawia, że naród i ludzie uzyskują społeczną

FOT. ROBERT GARDZISKO/FORUM

Dzielny Ludwik



sprawczość, stają się podmiotem zbiorowego losu. Jednak w odróżnieniu od większości „realistów” nie wyznawał tych poglądów dlatego, że akceptował władzę. Owszem, substancję władzy bardzo cenił, ale od młodości walczył, by Polska w ogóle ją miała. Po Czerwcu ’76 był opozycjonistą od pierwszej godziny. W niepodległej Polsce został marszałkiem Sejmu, wicepremierem, ministrem spraw wewnętrznych. Wobec większości rządów był jednak w opozycji, nie zgadzał się bowiem z kształtem Trzeciej Rzeczypospolitej. Swoje poglądy, wizję silnego państwa wspartego na politycznej wspólnocie narodu, mógł realizować tylko na prawicy. Dlatego tak ważny dla niego był jej kształt.

OJCIEC CHRZESTNY PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Partie polityczne uważał za konieczną podstawę państwa. Był ojcem chrzestnym Prawa i Sprawiedliwości, to on po narodzinach ruchu wypowiedział jego imię. Potem, po odejściu od PiS, mawiał, że wdzięczniejszej nazwy już w życiu nie wymyśli. Przede wszystkim jednak był współtwórcą politycznego założenia i kształtu partii. Po pierwszych wyborach Prawa i Sprawiedliwości przez cztery lata kierował naszym klubem parlamentarnym. Kiedyś, poirytowany zbyt swobodnym głosowaniem naszych posłów (to się wtedy jeszcze zdarzało), niemal krzyknął: „Co za cywilbando!”, „A co ma być – odpowiedziałem mu odruchowo – soldateska?”. „Lepsza soldateska niż cywilbando” – skwitował Ludwik.

Dwa doświadczenia prawicy utwierdziły go w tym nastawieniu: pierwszy Sejm po wolnych wyborach, który prezydent Wałęsa skwapliwie rozwiązał, gdy po półrocznych rządach Jana Olszewskiego upadł kolejny gabinet (Hanny Suchockiej), a kilka lat później chaotyczne rządy Akcji Wyborczej Solidarność. Dorn uważał więc, że bez zwartych ugrupowań nie ma konsekwentnej, celowej działalności publicznej.

Z pewnością był czas, gdy był zwolennikiem cezaryzmu, ale nie populizmu. Całkowicie zgadzał się z Jarosławem Kaczyńskim, że „działalność partyjna to co innego niż klubowa”, że należy nie tylko dyskutować plany, ale przede wszystkim podejmować i realizować decyzje. W przeciwnym wypadku same dyskusje zmieniają się w abstrakcję. Zasady dyskusji jednak zdecydowanie

bronił. W swej książce „Rozrachunki i wyznania” opowiadał, że to my dwaj, wspierani przez Kazimierza Ujazdowskiego, w pierwszych latach Prawa i Sprawiedliwości gwarantowaliśmy autentyczność debaty w Komitecie Politycznym. Kazik na klimat Komitetu kręcił nosem, nam obu formuła „*prince dans son conseil*” – przywódca decydujący w radzie – bardzo odpowiadała. Nie chodziło bowiem o polityczne targi, ale o to, by Jarosław Kaczyński podejmował decyzje po zważeniu przedstawionych mu racji i argumentów, by racje i argumenty naprawdę się liczyły.

Co go w końcu odepchnęło od Prawa i Sprawiedliwości? W pewnym sensie efekty takiego rozwoju partii, jaki postulował. Jako socjolog odróżniał „partię-rodzinną” od „partii wszystkich”. Pierwsza jest wspólnotą ideową, druga to próba narodowego zjednoczenia ponad podziałami, to, co – nawiązując do Seymoura Lipseta i René Remonda – określić można jako radykalną centroprawicę. Ludwik chciał, żeby PiS był właśnie „partią wszystkich”.

Idąc w tym kierunku, Prawo i Sprawiedliwość przybrało jednak, szczególnie po 2007 r., zupełnie inny kształt socjologiczny, niż miało na początku. Wtedy, po 2000 r., PiS był wielkomięską partią inteligentką. W wyborach w 2001 r. w wielkich miastach osiągnęliśmy wynik półtora razy lepszy niż w całym kraju, a na głębokiej prowincji – o połowę gorszy. Badania, które analizował Ludwik Dorn, wykazały, że nasz elektorat posiada duży kapitał społeczny, mocną wiarę w celowość i wartość zaangażowania politycznego. To był obóz sprawczy, nie zaplecze politycznej oligarchii. W tej partii czuł się świetnie, bo sam był na wskroś inteligentem, ale oczywiście pragnął dla PiS więcej.

SOCIUS ET AMICUS POPULI DEXTERAE

Gdy w partii pojawiało się coraz więcej ludzi, którzy nie tyle rozumieli, że „partia to nie klub dyskusyjny”, ile w ogóle nie odczuwali większej potrzeby osobistej odpowiedzialności – czuł się tam coraz bardziej obco. Zaproponował więc Jarosławowi Kaczyńskiemu, że może działać jako „*socius et amicus populi pisei*”, sfederowany, ale odrębny sojusznik PiS. Formuła okazała się tyleż efektowna, co nietrwała. Świetnie jednak charakteryzowała jego wizję własnej roli politycznej.

W 2010 r. Ludwik – co było ujmującą niespodzianką – poparł moją kampanię prezydencką. Po katastrofie smoleńskiej podjąłem ją wbrew sobie, przez solidarność wobec działaczy Prawicy Rzeczypospolitej, by potwierdzić nasz mandat i wagę naszych zasad, skoro nasi potencjalni sojusznicy nie chcieli tego uznać.

Ludwik Dorn zaangażował się w kampanię już w jej trakcie, mimo całej odmienności naszych filozofii politycznych. Łączyło nas jednak przekonanie, że trzeba powstrzymać rozpad politycznej wspólnoty narodu, że prezydent bezpośrednio zaangażowany w walkę dwóch wielkich partii jeszcze bardziej ten proces pogłębi. Ludwik uważał, że kandydat na prezydenta musi jednocześnie zapewnić Polakom „potrzebę bezpieczeństwa” i „zaspokoić potrzebę sensu”. Kampania poniosła fiasko i po katastrofie smoleńskiej nie mogło być inaczej. Dla prawicowych wyborców wybory były wielkim i zrozumiałym aktem solidarności z Jarosławem Kaczyńskim. Sam udzieliłem mu poparcia natychmiast po ogłoszeniu wyników pierwszej tury. Ludwik miał o to do mnie pretensje, uważał, że był jeszcze czas na „postkampanię”. Dla mnie jednak ten rozdział polityczny właśnie tam się kończył, decyzja, którą należało podjąć, była oczywista.

ŻYCIE W JARZMIE

Msza żałobna za duszę Ludwika Dorna została odprawiona w katedrze polowej, pochowany został na Powązkach Wojskowych. To dobre miejsce, mówił przecież, że chce prowadzić „życie w jarzmie”. Lubił prowokować, nawet szokować, a „jarzmo” brzmiało mniej uroczyście niż służba.

Po ludzku biorąc, żył za krótko. Jego śmierć jest jednak znakiem odchodzenia pokolenia ’76, które od początku, w kompletnej społecznej próżni, dało początek drodze do niepodległości. Dla tamtego pokolenia polityka w większym stopniu niż dla kolejnych była kwestią najzupełniej osobistych przekonań i decyzji, a nie – w najlepszym razie – kolektywnych emocji. Politykę Ludwik Dorn całe życie z sukcesem projektował, określając nie tylko jej kierunek, lecz także społeczną podstawę. To drugie nazywał polityką rozumienia. Potem jednak polityka poszła w swoją stronę, a rozumienia dla roli, którą spełniał, już nie miała. Dokąd idziemy? To pytanie zawsze było początkiem jego refleksji. Oby doszły do kolejnego pokolenia polskich polityków.

Tomasz Terlikowski opublikował niedawno na łamach tygodnika „Rzeczpospolitej” – „Plus Minus” artykuł „Cztery postulaty nowego konserwatyzmu”. We wstępnych paragrafach swojego manifestu odwołał się do postaci Edmunda Burke’a, który miałby być wzorem myślenia konserwatywnego Polaka.

Burke, jako filozof polityki, jest kojarzony z wczesną i w pewnej mierze trafną krytyką rewolucji francuskiej. Angielski myśliciel przeciwstawiał się takiej formie racjonalizmu politycznego, który w imię bieżących mniemań wynikających z krytyki społecznej jest gotowy obalać narastające nieraz od wieków instytucje. Burke uważał, że choć życie społeczne składa się z przesądów (prejudice, czasem tłumaczonych jako przedsady), to jednocześnie ich jądro ma charakter racjonalny i dlatego należy je zachowywać. Przesąd społeczny, szczególnie w momentach trudnego wyboru, powinien skłonić wahającego się obywatela, by „utrzymywał umysł na drodze mądrości i cnoty”.

Krytyka racjonalizmu w polityce ma jednak i drugą stronę medalu. Formą politycznego racjonalizmu był dla Anglosasów – szczególnie od schizmy Henryka VIII – także rzymski katolicyzm. Kościół bowiem – choć w inny sposób niż oświeceniowi pisarze – również nie tolerował tego, by w imię stabilności społecznej zgadzać się na praktykowanie przez ludzi przesądów i zabobonów, które z zasady prowadzą do złych skutków lub są oczywistą nieprawdą. Zatem w pewnej mierze zarówno dla rewolucjonistów, jak i katolików konserwatyzm Edmunda Burke’a musi być rozpoznawany jako rodzaj niebezpiecznego politycznego irracjonalizmu. Nawet jeśli historycznie Burke wciąż jest ceniony za swoją krytykę rewolucji, to dziś z całą mocą ujawnia się wewnętrzna słabość tego typu konserwatyzmu, a także jego niezgodność z polską tradycją prawniczą.

Tomasz Terlikowski, wybierając na patrona swojego tekstu Burke’a, wybrał siłą rzeczy drogę – rozwijaną przez XX-wiecznego ucznia Burke’a, Michaela Oakshotta, filozofa i doradcy konserwatywnych rządów brytyjskich – według której obyczaje mają całkowicie płynny charakter i służą przede wszystkim urabianiu społeczeństw na potrzeby aktualnego układu sił politycznych. Według Oakshotta konserwatysta może zgodzić się na przyzwyczajanie obywateli do



FOT. NATASZA MALUZYK/TWIP/EPAST NEWS

Nowy konserwatyzm Tomasza Terlikowskiego



Tomasz Rowiński

Rosyjska inwazja na Ukrainę skłoniła Tomasza Terlikowskiego do zaproponowania prawicy zreformowanego modelu postawy konserwatywnej. Warto przyrzeć się tej propozycji publicysty, który w ostatnich latach przeszedł zauważalną ideową ewolucję

opinii zupełnie przeciwnej od aktualnie dominującej, byle nie stało się to zbyt szybko i nie powodowało politycznej niestabilności. Aby nie być gołosłownym – w Zjednoczonym Królestwie to konserwatyści wprowadzili w krwiobieg

państwa agendę homoseksualnego ruchu politycznego czy multikulturalizm. Wszystko w imię „konserwatywnej” społecznej stabilności, której częścią stała się także normalizacja zjawisk cywilizacyjnego rozkładu. Paradoks

konserwatywnego irracjonalizmu polega na tym, że rewolucja, którą krytykował ich prekursor, dokonała się w „konserwatywnie” ostrożny i dogłębny sposób ich rękami.

Autor „Czterech postulatów” niestety bezbłędnie wpada w powyżej zarysowaną pułapkę nihilistycznego konserwatyzmu. Już punkt wyjścia u Tomasza Terlikowskiego jest rewolucyjny. Traktuje on wojnę na Ukrainie jako sytuację stanu wyjątkowego, która „zmusza” go do redefinicji polskiej tradycji. Gdyby Burke był Polakiem, zdecydowałby się raczej na wydobywanie z niej najlepszych elementów. „Wielu naszych myślicieli, zamiast obalać powszechne przesady, wykorzystuje swą inteligencję, by odsłonić ukrytą w nich mądrość” – pisał u schyłku XVIII w. Tomasz Terlikowski natomiast – zupełnie jak racjonalistyczni rewolucjoniści – przywołuje w swoim tekście rozmaite mity i utopie, ignorując wysiłek intelektualny współczesnych Polaków.

„ODWOŁAĆ SIĘ DO POLSKI JAGIELLOŃSKIEJ”

Rewolucja francuska miała swoje mity, np. anachroniczne odwołania do antycznego Rzymu. Ma je i publicysta „Rzeczpospolitej”, gdy przywołuje nam na wzór Polskę jagiellońską. Gdy Terlikowski pisze o wieloetnicznej, wieloreligijnej, republikańskiej Rzeczypospolitej, przywołuje tak naprawdę inny mit, który dał Polsce jagiellońskiej znaczną popularność także w III RP. Chodzi o tworzony przed dekadę ideał Rzeczypospolitej liberałów, w której konserwatyzm miałby tylko tym różnić się od głównego nurtu kultury, że czasem używałby słów takich jak „historia”, „religia” i „obyczajowość”.

„ZAWIESIĆ AGENDĘ OBYCZAJOWĄ”

„Obyczajowość” jest ważnym słowem w tekście Tomasza Terlikowskiego i służy – niestety – do relatywizacji zasad w Polsce uważanych za prawicowe. Jeśli fundamentalne kwestie dotyczące naturalnego ładu społecznego – jak ochrona życia czy rodziny – zostają sprowadzone do rodzaju obyczajowego przesądu, to ich znaczenie także redukuje się do drugorzędnych problemów z zakresu estetyki. Fałszywe hierarchie irracjonalnego konserwatyzmu powodują, że zagrożenie ze strony Rosji Putina czy instrumentalne wykorzystywanie przez niego postulatów cywilizacji życia szybko przywołują

postulat – podany przez Terlikowskiego – by „zawiesić agendę obyczajową”. Pisze: „Liberalna demokracja, nawet jeśli nie jest systemem idealnym (a nie jest), to w tej chwili jedyna alternatywa dla putinizmu”.

Abstrahując od tego, co rozumiemy pod hasłem liberalnej demokracji, widzimy tu postulat rewolucyjny, a nie konserwatywny. Mamy, w imię arbitralnie zdefiniowanej zasady wyższej konieczności, porzucić przesady-tradycje, które kształtują naszą narodową formę myślenia o polityce i przyjąć bezdyskusyjnie racjonalizatorską utopię, zaprzeczającą w wielu punktach naturalnym zasadom życia ludzkiego. Tomasz Terlikowski sam chyba nie zauważa, jak bardzo jego liberalny demokratyzm przypomina rewolucyjne marzenia radykałów z „Gazety Wyborczej”, którzy przemiany roku 1989 chcieli wykorzystać do budowy Polski odciętej od swoich korzeni.

„OTWORZYĆ SIĘ NA MIGRANTÓW”

Ten sam schemat myślenia znajdujemy także w argumentacji dotyczącej problemu ludzi napływających do Polski. Terlikowski ogłasza, że z powodu wojny należy zadekretować radykalne stanowisko migracjonistyczne. To kolejna propozycja, jak odrzucić, a nie „konserwować” wartościowe rozróżnienia osiągnięte w polskiej debacie. Publicysta – jak gdyby prowokacyjnie – od razu miesza migrantów ekonomicznych z uchodźcami wojennymi. „Obawy przed migrantami i silne emocje związane z etniczną spójnością narodu były jednym z istotnych komponentów tożsamości polskich partii prawicowych Zjednoczonej Prawicy” – pisze. Zupełnie pomija kwestię, która – jak pokazała trwająca wojna – jest dla większości Polaków oczywista: przyjęcia wymaga prawdziwy uchodźca zagrożony wojną w sąsiednim kraju, akceptowalna jest imigracja ekonomiczna osób gotowych do integracji, a nawet polonizacji, nieakceptowane jest prowadzące do politycznej destabilizacji naszego kraju przyjmowanie obcych kulturowo, a nawet wrogich wobec Europy migrantów.

Mówiąc językiem Burke’a – to są nasze przesady, skorygowane w rozumnej debacie, wynikające z chrześcijańskiej tradycji rozróżniania problemów. Tymczasem Tomasz Terlikowski pod płaszczykiem konserwatyzmu tu także

przychodzi z rewolucyjnym orędziem. Odrzucenie to wszystko, powaga chwili wymaga, by przyjąć multikulturalizm – koncepcję utopijną, nieprzystającą do naszej sytuacji historycznej, z perspektywy polskiej ubogą intelektualnie i destrukcyjną społecznie, ale – to teraz najważniejsze! – symbolizującą kontrę Zachodu wobec Putina.

Terlikowski posuwa się do tego, że przeciwstawia integrację przybyszów polonizacji. Gdy tymczasem łagodnie formy germanizacji czy romanizacji są rzeczywistym celem nawet tych krajów, które głoszą multikulturalizm. Polski pożytek z pojawienia się uchodźców i migrantów to możliwość budowania społecznego kapitału, budowania więzi sentymentalnych, kulturalnych i ekonomicznych, które przełożą się także na szerszą obecność polskich interesów na samej Ukrainie.

„ZREWIDOWAĆ SOJUSZE”

Powiedzmy jeszcze o ostatnim rewolucyjnym postulacie Tomasza Terlikowskiego, wedle którego polska „konserwatywna prawica powinna zerwać kontakty z proputinowskimi partiami populistycznymi i prawicowymi na Zachodzie”. Owszem, prorosyjskie wypowiedzi Le Pen czy Zemmoura były gorsze, ale nie zapominajmy, że prawdopodobnie najbardziej prorosyjską partią w Europie jest niemiecka SPD, podobnie kształtowała się polityka europejskiej chadecji, czyli EPL. W tym przypadku bardziej od słów trzeba widzieć konkretne działania polityczne, poczynając od NS2, a kończąc na polityce appeasementu i ignorowania ostrzegawczego stanowiska krajów Europy Wschodniej w kwestii rosyjskiej.

Ten fragment „Czterech postulatów” idealnie wpisuje się w politykę rewolucyjnego wyciszania głosów krytycznych wobec mitu liberalnej demokracji, która na poziomie europejskim jest coraz mniej liberalna i coraz mniej demokratyczna. Wojna to świetna przykrywką do tego, by w imię stanu wyższej konieczności moralnie dezawuować tych, którzy prawideł myślenia i działania upatrują w złożonych ścieżkach tradycji, a nie rewolucyjnych utopiach. Taką dezawuację naszej debaty proponuje nam Tomasz Terlikowski. Takiej postawie sprzeciwiał się Edmund Burke, którego publicysta wybrał sobie przecież na patrona.



Łukasz Zboralski

Polacy piją coraz mniej alkoholu. Najmocniej odstawili piwo, ale i wódka także rzadziej gości na stołach. Dlaczego?

Wyniki sprzedaży alkoholu w Polsce za ubiegły rok wyglądają jak marzenie terapeutów uzależnień i tych, którzy od lat podsuwają różne pomysły, które pomogłyby ograniczyć spożycie. Z kolei dla branży spirytusowej i piwowarskiej takie wyniki to ekonomiczna katastrofa.

Już podczas pandemii było widać, że niechętnie sięgamy po napoje wysokokawowe. Choć mogło się pozornie wydawać, że zamknięci w domach ludzie, pozbawieni jakichkolwiek rozrywek – przecież odwoływano imprezy, zamykano nie tylko kina, teatry, lecz także wszystkie sklepy poza spożywczymi – będą próbować rozweselić się alkoholem (albo topić w nim smutki). Realnie jednak trzeba było brać pod uwagę, że brak imprez oraz zamknięte restauracje i puby oznaczają raczej zmniejszenie spożycia. I tak się stało. W 2020 r., w którym wszyscy przestraszyli się COVID-19, Polacy kupili aż 51,4 mln litrów alkoholu mniej niż rok wcześniej. Najmocniej stracili liderzy rynku, czyli branża piwowarska. Rynek piwa skurczył się wówczas o 2,1 proc. To oznaczało, że sprzedano przez rok aż o 135 mln półlitrowych butelek mniej. Wódka – która jest drugim najczęściej kupowanym napojem alkoholowym – zanotowała spadek sprzedaży o 0,8 proc.

Należy odnotować, że widać było dalsze zmiany w strukturze tego, co pijemy. Coraz większą popularność zyskują nad Wisłą droższe, luksusowe alkohole. Jednym z liderów rosnącej sprzedaży jest whisky, której w pandemicznym 2020 r. sprzedano się 20 proc. więcej niż w roku 2019.

Na marginesie zauważmy, jak kończy się rozdmuchana nadzieja Polski na zostanie cydrową potęgą. Pamiętam nagłe pobudzenie sprzed kilku lat, gdy wszyscy uznali, że przy takiej produkcji jabłek – a jesteśmy trzecim producentem na świecie – ten rynek nie może się nie udać. Niecałą dekadę temu nagłówki

Alkoholowy



gazet krzyczały: „Polacy pokochali cydr”. Cóż, była to miłość przelotna. Od co najmniej pięciu lat rynek cydru stale się kurczy. A w 2020 r. zanotował spadek aż o 21 proc. Powody mniej więcej znamy – zamiast smacznego i relatywnie taniego napoju producenci chcieli nas uraczyć słabym smakiem za sporą cenę. I wygląda na to, że sami sobie przygotowali spiralę upadku.

AKCYZA I PODATEK CUKROWY

Dzisiaj już wiemy, że pandemia w tym zakresie utrzymała raczej jakiś większy trend – po prostu Polacy piją coraz mniej alkoholu.

Rynek alkoholi w 2021 r. jeszcze się skurczył. Znów najmocniej oberwało piwo. Już w 2020 r. konsumpcja piwa w Polsce wynosiła 93,6 l na jednego mieszkańca i była najniższa od deka-

dy. A w ubiegłym roku sprzedaż piwa jeszcze zmalała o 4 proc. Dla piwowarów to prawdziwy cios, bo nie tylko tak dramatycznie pogłębił się trend spadku sprzedaży, lecz także po raz pierwszy odnotowali oni też spadek wartości samej sprzedaży (o 0,9 proc.) – z 18 mld zł w 2020 r. do 17,8 mld zł w roku 2021.

Wiadomo, że spadek ten nastąpił w najpopularniejszym segmencie piwa – lagerach. A więc także w tych niewyszukanych, najtańszych. Te piwa w całości sprzedawanego piwa wciąż stanowią olbrzymią większość (80,3 proc.), ale od lat tracą po kilka punktów procentowych na rzecz piw bezalkoholowych i lagerów smakowych.

Lagery tapnęły na rynku najmocniej – aż o 5 proc. w porównaniu z rokiem 2020. Tak samo mocno obniżyła się sprzedaż piw mocnych – z większą zawartością alkoholu.

z podatku do budżetu. W 2021 r. do budżetu wpłynęło ok. 1,5 mld zł z tego podatku, a gdyby nie zmieniła się wartość sprzedaży, powinno wpłynąć dwa razy więcej.

Okazało się – i tu już wracamy do alkoholu – że podatek cukrowy uderzył też w „małpki”. Czyli wódki sprzedawane w małych objętościach. Te od dawna były na celowniku ekspertów od uzależnień. Przekonywali, że przez takie butelczki po alkohol ludzie sięgają częściej. Wymuszono na rządzie podniesienie akcyzy na wódkę w butelkach do 300 ml, ale jeszcze zanim weszła w życie, branża wypuściła na rynek butelki... 350 ml. To, czego nie załatwiła akcyza, załatwił jednak podatek cukrowy – czyli po prostu wyższa cena. W ubiegłym roku sprzedaż „małpek” gwałtownie spadła – aż o 30 proc. I to był największy spadek w segmencie wódki, który w ubiegłym roku wyniósł 11 proc. w porównaniu z rokiem wcześniejszym.

Dlaczego tak odrzuciliśmy alkohol, zwłaszcza piwo? – To splot kilku okoliczności – mówi „Do Rzeczy” Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie. I wylicza: – Mieliśmy pandemię, długotrwałe zamknięcia, brak okazji do spotkań towarzyskich, takich „wyjść na piwo”. No i zwyczajnie ludzie chyba trochę się przez pandemię zmieniły. Ponadto mamy wzrost cen. Inflacja powoduje, że i piwo drożeje, i ludzie muszą płacić więcej za energię, paliwo, zakupy spożywcze mniej mają już środków na rozrywkę i używkę. No i dołożyły się też podwyżki akcyzy na alkohol, które wzrost cen piwa przyspieszyły.

WIĘCEJ JUŻ NIE WYPIJEMY?

Przez lata uważano, że Polacy mają jakiś szczególnie problem z alkoholem. Bo u nas spożycie rosło, gdy na zachodzie Europy się raczej stabilizowało i malało. Ostatecznie (pisałem o tym w „Do Rzeczy” nr 19/2016 w tekście „Jak z Polaków zrobiono pijaków”) europejska średnia zaczęła oscylować wokół 10 l czystego alkoholu na mieszkańca rocznie.

Biorąc pod uwagę oficjalne dane Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, spożycie czystego alkoholu w Polsce na osobę dobiło do tej europejskiej średniej.

Jeśli więc nie ilość wypijanego alkoholu można było przedstawiać w Polsce jako problem, to mówiono o złym sposobie konsumowania – że pijemy

wciąż nie dla smaku, kurażu, uczczenia okoliczności, tylko na umór. To od dawna było też jednak nieprawdą. Już sprawozdania PARPA sprzed dekady pokazywały, że połowę całego alkoholu spożywanego w Polsce wypija zaledwie 7 proc. osób. To ci, którzy zapewne mają potężny problem, będący problemem społecznym, czyli nas wszystkich.

Jednak ogólnie Polacy alkoholu tak nie traktują. No i co też było widać dużo wcześniej, odchodziliśmy od mocnych trunków, głównie na rzecz piwa. Stawaliśmy się wręcz krajem piwoszy. I więcej od nas wlewali go w siebie już tylko Czesi, Niemcy i Austriacy (niektórzy wciąż dużo więcej – statystyczny Czech raczy się rocznie 144 l piwa, a Polak – 98 l).

W 2021 r. sprzedano w Polsce aż 135 mln półlitrowych butelek piwa mniej niż rok wcześniej, gdy wybuchła pandemia

Dane sprzedażowe za rok 2021 pokazują, że najwyraźniej punkt krytyczny mamy już za sobą i nie dogonimy w spożyciu napoju z pianką ani naszych południowych sąsiadów, ani zachodnich. Jednoczesny spadek sprzedaży mocnych trunków wskazuje, że nie powróciliśmy do stylu picia, o który wcześniej też trochę bezpodstawnie nas grupowo posądzano – czyli do napojów, które mają już tylko szybko uderzyć do głowy.

Jaka będzie przyszłość picia nad Wisłą? Wiadomo już, że w pierwszych miesiącach tego roku Polacy nadal ograniczali spożywanie wódki. Sprzedano jej o 10 proc. mniej niż w analogicznych okresach roku poprzedniego.

Branża piwowarska też widzi przyszłość w ciemnych barwach. – Nie spodziewam się odbicia sprzedaży, oby spadek wyhamował – mówi Morzycki. – Ale jak będzie, tego nikt nie wie. Żyjemy w niepewnych czasach i doświadczamy wielu destabilizacji: pandemia, szalejące koszty produkcji, dostępność surowców, dostępność opakowań. Dodajmy do tego niewiadomy wpływ wojny na Ukrainie i w końcu pogodę, bo od słońca latem zależy, jak wiele piwa się sprzeda.

FOT. ADRIEN STOCK

Znamy co najmniej jedną przyczynę tego, że Polacy piją mniej, jeśli chodzi o wódkę. To nieprzewidziany efekt wprowadzenia podatku cukrowego. Przypomnijmy – rząd obłożył nim słodzone napoje. Była o to wówczas w Polsce spora awantura. Wskazywałem w „Do Rzeczy” badania i dowody z krajów, w których taką regulację wprowadzono („Gorzka prawda”, „DRz” nr 5/2020), świadczące o tym, że ma to wpływ na zmniejszoną konsumpcję niezdrowych napojów. Pierwsze dane z Polski świadczyły, że dokładnie to samo zaczynało dziać się u nas. NielsenIQ przeanalizował dwa pierwsze miesiące obowiązywania regulacji w 2021 r. i okazało się, że cena napojów z cukrem wzrosła średnio o 10 proc. i jednocześnie ich sprzedaż spadła o 14 proc. A producenci zaczęli szybko zmieniać składy produktów tak, by cukru się z nich pozbywać. Po prawie roku widać było też to we wpływach

Posiłek od Bon Joviego



Agnieszka Niewińska

Słynny rockman wraz z żoną przekazał pół miliona dolarów na wyżywienie uchodźców z Ukrainy. W walkę z głodem para angażuje się od lat. W New Jersey prowadzi trzy restauracje, w których potrzebujący mogą zjeść, nie płacąc

Największa kuchnia polowa świata? Powstała w jednej z hal magazynowych na obrzeżach Przemyśla. Zupę gotuje się tu nie w garnkach, a w wielkich kotłach. Kiełbaski czy kurczaki rumienią się w kilkunastu dużych piekarnikach. Powstające każdego dnia kanapki liczy się w tysiącach. Potrawy z przemyskiej kuchni polowej (codziennie wychodzi stąd 10 tys. posiłków) trafiają do obywateli Ukrainy. Rozwożone są na przejścia graniczne, na dworce, do punktów recepcyjnych. Przy ich przygotowaniu uwijają się dziesiątki wolontariuszy międzynarodowej organizacji non profit – World Central Kitchen (WCK) – która od 2010 r. karmi ludzi w rejonach klęsk humanitarnych – w sytuacjach wojny, a także trzęsień ziemi, huraganów czy katastrofalnych pożarów.

Na polskiej granicy i w ukraińskich miastach WCK pojawiła się zaraz po rozpoczęciu rosyjskiej agresji. Dziś jest obecna w kilkudziesięciu miastach

Jon Bon Jovi na zmywaku



Ukrainy i w sześciu krajach, które przyjęły uchodźców. W Polsce WCK działa nie tylko w Przemyśle czy na przejściach granicznych. Wydaje posiłki m.in. dla uchodźców we wrocławskiej Czasoprzestrzeni (zajezdnia Dąbie), gdzie powstała kolejna duża kuchnia polowa. Firmy współpracujące z WCK dostarczają żywność, ciepłe napoje chociażby tym, którzy czekają w kolejce po PESEL na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Organizacja działa dzięki darowiznom. Jej założyciel, José Andrés, na dożywianie m.in. tych, którzy ucierpieli w wyniku wojny na Ukrainie, przeznaczył 100 mln dol. nagrody od Jeffa Bezosa, twórcy Amazona. Ostatnio do dobroczyńców organizacji dołączył znany muzyk Jon Bon Jovi. Wraz z żoną Dorotheą Bongiovi przekazali pół miliona dolarów na fundusz Together for Ukraine (Razem dla Ukrainy). Zebrane datki zasilą konto WCK, które będzie mogło dalej gotować dla uchodźców i Ukraińców pozostających w swoim kraju.

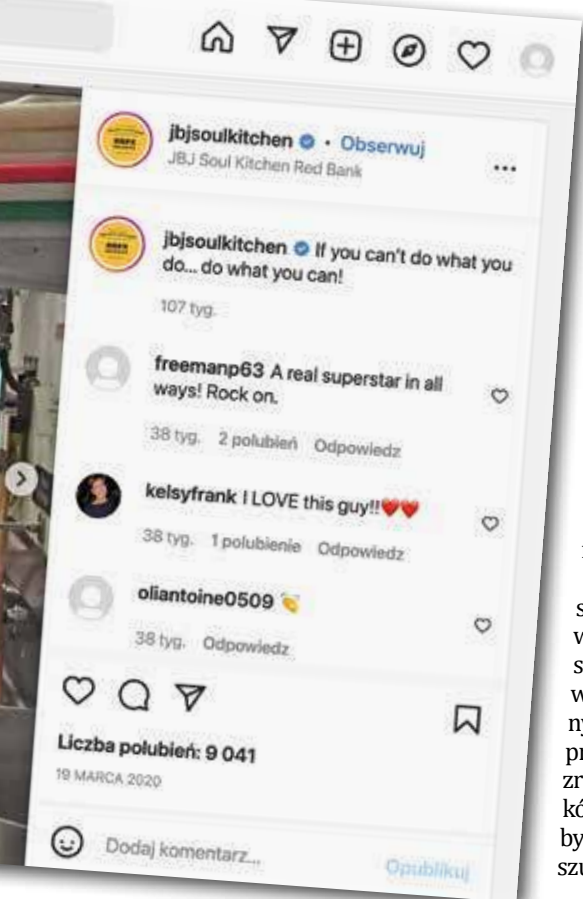
MENU BEZ CEN

Przelew od Bon Joviego i jego żony Dorothei Bongiovi to jednak nieprzypadkowy datek od celebrytów, którzy chcą okazać wsparcie. Para od lat walczy z głodem, ubóstwem i bezdomnością. Wydaje bezpłatne posiłki tym, którzy nie mogą sobie na nie pozwolić. I nie są

to stołówkowe dania w styropianowym opakowaniu. W 2011 r. państwo Bongiovi założyli pierwszą restaurację JBJ Soul Kitchen. To lokal różniący się od pozostałych. Założyciele mówią, że to „wspólnotowa kuchnia” i wszyscy są przy ich stole mile widziani.

W menu JBJ Soul Kitchen nie ma cen. Ci, którzy mogą zapłacić za swój posiłek, zostawiają darowiznę w sugerowanej wysokości 20 dol. Pokrywa ona koszt ich posiłku i jeszcze jednej osoby. Ci, których na jedzenie nie stać, też mogą przyjść ze swoimi bliskimi na bezpłatny obiad czy kolację. W ramach rekompensaty deklarują pracę przy zmywaniu naczyń, obieraniu warzyw, sprzątaniu albo pielęgnacji sąsiadującego z restauracją ogrodu warzywnego. W efekcie przy restauracyjnych stolikach zasiadają obok siebie ludzie z różnych klas społecznych, o różnej zasobności portfela. Jedni na obiad zarabiają, prowadząc własny biznes, inni

World Central Kitchen od 2010 r. karmi ludzi w rejonach klęsk humanitarnych wywołanych wojną, wielkimi pożarami czy huraganami



– pieląc sałatę czy pomidory w ogrodzie JBJ Soul Kitchen.

Na pomysł tak działającego lokalu wpadła żona rockmana, Dorothea Bongiovi. Z Bon Jovim znają się od czasów licealnych. Małżeństwem są od 1989 r. – Któregoś dnia pochyliła się nad kanapą, na której siedziałem, i powiedziała: „Mam pomysł” – wspominał Bon Jovi w wywiadzie dla CBS. Koncepcję żony od razu uznał za genialną.

Pomysł zaczęli realizować w Red Bank w New Jersey. Kupili budynek po zamkniętym warsztacie samochodowym i zmienili go w elegancki lokal z kelnerską obsługą. Goście jedzą przy udekorowanych stołach nakrytych obrusem. Wybierają dania z menu, w którym są potrawy z lokalnych, organicznych produktów. Część warzyw rośnie w wielkich donicach ustawionych na restauracyjnym patio, które latem zamienia się w klimatyczny, restauracyjny ogródek.

Klienci traktowani są w ten sam sposób niezależnie od tego, czy płacą za posiłek czy nie. Jak mówiła CBS Dorothea Bongiovi, zwykle połowa siedzących przy stolikach gości płaci za potrawy, a połowa nie. Wyjaśniała, że głód dotyka także tych, którzy na pierwszy rzut oka nie wyglądają tak, jakby mieli problemy z zakupem żywności.

Głód nie wygląda tak, jak sobie to wyobrażamy. Głód może dotykać ludzi z twojego kościoła, dzieci, z którymi twoje własne chodzą do szkoły. Myślę, że ta restauracja otworzyła oczy wielu członkom naszej społeczności. Uważali, że nie ma u nas bezdomnych, rozglądali się po restauracji, a ja im mówiłam, że mogłabym w tej chwili wskazać pięć osób w restauracji, o których wiem, że są bezdomne, a wcale nie wyglądały tak, jak stereotypowo postrzegamy bezdomnych – tłumaczyła żona rockmana.

Pomysł się sprawdził. Większość prac w restauracji wykonują wolontariusze, wiele produktów spożywczych wykorzystywanych w kuchni to darowizny. Profesjonalnym kucharzom, którzy nadzorują prace wolontariuszy, udaje się nawet zrekrutować spośród nich pracowników, wykształcić ich w zawodzie, tak by z nowymi umiejętnościami mogli szukać pracy na rynku.

Państwo Bongiovi poszli za ciosem i w New Jersey uruchomili jeszcze dwa lokale JBJ Soul Kitchen – w Toms River oraz na terenie kampusu Uniwersytetu Rutgersa w Newark. Ten ostatni powstał w 2020 r., bo – jak zwrócił uwagę Bon Jovi – wiele rodzin, wysyłając dzieci na studia, myśli w pierwszej kolejności o tym, żeby zapewnić im mieszkanie, książki, dać możliwość uczestniczenia w zajęciach. Mniej zastanawiają się nad tym, ile zostanie na jedzenie. W efekcie wielu studentów żywi się chińskimi zupkami. – Co, jeśli to jedyne, na co ich stać? – pytał Bon Jovi, tłumacząc motyw otwarcia restauracji na kampusie uniwersyteckim.

GWIAZDOR NA ZMYWAKU

Działalność charytatywną Bon Jovi zaczął w 2006 r., zakładając JBJ Soul Foundation. W wielu wywiadach opowiadał, że początkowo był trochę jak Robin Hood, przekazując pieniądze na wiele różnych celów. Często bywał w Filadelfii, bo był właścicielem drużyny piłkarskiej. Przełomem okazała się noc, którą spędził w jednym z filadelfijskich hoteli. – Gapiłem się przez okno hotelu, który był własnością mojego partnera biznesowego. Siedząc w tej złotej klatce, zobaczyłem bezdomnego śpiącego na ziemi. Powiedziałem sobie: to jest cel

naszej fundacji. Bo nie ma znaczenia, czy jesteś stary czy młody, czarny czy biały, czy jesteś republikaninem czy demokratą, kibicujesz Eagles czy Giants. To [bezdomność – przyp. red.] może dotknąć każdego w każdym czasie – wyjaśniał magazynowi „People”.

Od tamtej pory Bon Jovi angażuje się w walkę z bezdomnością i głodem. Dzięki wsparciu jego fundacji w 11 stanach stworzono prawie tysiąc niskokosztowych mieszkań dla ludzi w trudnej sytuacji – w tym młodzieży i weteranów. Państwo Bongiovi otworzyli także bank żywności, a ich restauracje JBJ Soul Kitchen wydały już ponad 141 tys. po-

Działalność charytatywną Bon Jovi zaczął w 2006 r. W wywiadach opowiadał, że początkowo był trochę jak Robin Hood

siłków. 47 proc. z nich zostało opłacone, reszta to dania, za którymi poszła praca w restauracji.

Są nie tylko dobrymi duchami lokali, udziałowcami, którzy w domowym zaciszu myślą o tym, co zrobić, by przychody i wydatki się bilansowały. Realnie pracując w założonych przez siebie lokalach. Kiedy Bon Jovi nie jest w trasie, nie nagrywa i nie komponuje, pomaga kucharzom, serwuje dania, wita się z gośćmi, a także pracuje na zmywaku. Podczas pandemii, kiedy koncerty trzeba było odwołać, Bon Jovi zmywał w Red Bank pięć dni w tygodniu. JBJ Soul Kitchen wydawała wówczas posiłki najbardziej potrzebującym. Wrzucone na Instagrama zdjęcie rockmana na zmywaku obiegło Internet. – Mam chyba najczystsze ręce w całym New Jersey, bo cały czas trzymam je w zlewie – żartował w wywiadach Bon Jovi.

Reporterka CBS, odwiedzając Bongiovi w restauracji w Red Bank, pytała rockmana, czy da się działalność charytatywną porównać do emocji, jakie towarzyszą występom na stadionach pełnych fanów. – Nie da się – przyznał Bon Jovi. – Mogę jednak powiedzieć, że kiedy wychodzimy stąd [z restauracji – przyp. red] wieczorem, mam takie samo poczucie spełnienia. Dlatego powtarzam: sposobem na to, żeby czuć się dobrze, jest czynienie dobra.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Proukraiński mural w Czechach
autorstwa kazachskiego artysty ChemiS
FOT. MARTIN DIVISEK/EPA/PAP



Wszystko inaczej



Piotr Gociek

Wojna na Ukrainie przypomina, że hollywoodzki panświnizm nie ma sensu, że współczesna popkultura niewiele rozumie ze świata i karmi się tematami zastępczymi

Dzwoni kumpel pisarz. W tych dniach nie rozmawiamy już o planach związanych z nowymi książkami, tylko szybko wymieniamy istotne informacje. Że zwolniło się mieszkanie dla osób z małymi dziećmi w Warszawie, bo poprzednia grupa uchodźców z Ukrainy dostała wizy do Kanady. Że jest pod Olsztynem facet, który ma pracę i miejsce dla następnej pięcioosobowej ukraińskiej rodziny, bo z pierwszej jest bardzo zadowolony (dlaczego pięcioosobowej? Bo mężczyźni z trojgiem lub większą liczbą dzieci wypuszczani są z Ukrainy i nie obejmuje ich mobilizacja). W pewnym

momencie Marcin mówi: „Zobacz, jakie to normalne. Kobiety z dziećmi wysyła się na tyły, a mężczyźni biorą do ręki broń i idą walczyć na front”.

Jakież to nienowoczesne: okazuje się, że prawda nie leży pośrodku! Że nie ma co rozdzielać włosa na czworo, trzeba bić się, żeby przeżyć. A przeciw komu? Czas na medialne debaty w stylu „musimy wyważyć wszystkie racje” minął. Bo przeciw szermierzom jakich racji idą walczyć obrońcy Ukrainy? W najprostszy możliwy sposób wyłożył to ukraiński pisarz Jurij Andruchowycz we wstrząsającym tekście „Po Buczy” napisanym,

gdy wyszło na jaw bestialstwo rosyjskich żołnierzy w Buczy, Borodziance, Irpieniu i innych miejscowościach.

STARCIE ŚWIATA Z ANTYŚWIATEM

„Rosyjska armia jest najbardziej rozgałęzioną ogólnonarodową organizacją terrorystyczną z setkami tysięcy członków, uzbrojonych nie tylko w bezgraniczne okrucieństwo, lecz także w wyjątkowy sadyzm. Rosja to państwo terrorystyczne. Siac ból, tragedię i śmierć – to jej przeznaczenie [Uwaga! Andruchowycz celowo pisze Rosja i Rosjanie małą literą – przyp. P.G.]. Dziś rano zła-pałem się na tym, że chciałbym, żeby byli tylko szabrownikami. Oznaczałoby to, że mimo wszystko pozostają ludźmi. Złymi, ohydny, ale nadal ludźmi. Natomiast to, co widzimy, świadczy o ich odczłowieczeniu. Ludność Rosji skutecznie sama siebie odczłowiecza. To antyświat. To część ludzkości, która dobrowolnie przeistacza się w antyludzkość” – pisał Andruchowycz.

W chwili starcia świata z antyświatem łatwiej odróżnić rzeczy istotne od nieistotnych. I dokonane w tym momencie spojrzenie na współczesną kulturę – ze szczególnym uwzględnieniem popkultury – ujawnia, że funkcjonuje ona w świecie równoległym. W jaki sposób antyświat i antyludźkość zagrzewają do boju swych poddanych, jaką wizję świata buduje popkultura Putina – o tym pisałem niedawno w tekście „Powrót szeregowca Iwana”. Dzisiaj o tym, jak to wygląda z naszej strony. Strony cywilizowanego świata. Otóż wygląda marnie.

Przekaz płynący z niezliczonych seriali, filmów, powieści sugeruje, że jeśli już pojawia się w niej postać silnego mężczyzny, to tylko po to, by udowodnić, że jest on oprawcą własnej rodziny, w najlepszym wypadku hamulcem ambicji kobiety. Jeśli pojawia się żołnierz, to głównie jako osobnik pokrecony psychicznie: weteran przemielony przez wojnę lub bezmyślny instrument w rękach złych generałów i polityków. Generałowie i politycy są źli z definicji, dobro wspólne nie istnieje, wszyscy kłamią, kradną i oszukują, maskując swe nieczne działania pustymi frazesami.

Tymczasem to, co dzieje się na Ukrainie, przypomina o tym, że głowa rodziny to nie jej kat, lecz obrońca. Że największym wrogiem kobiety, partnerki, matki nie jest ten, który chce ją pojąć za żonę, lecz ten, który przybywa ją zgwałcić i torturować. Że najlepszym opiekunem starca nie jest ten, kto chce go odesłać do domu spokojnej eutanazji, lecz ten, kto chce wysłać na tamten świat okrutników, którzy pozostawili bezradne pensjonariuszki domu opieki na śmierć z głodu i pragnienia – proszę poczytać relację reportera Pawła Reszki. Człowieka, który widział niejedno, a teraz nie może uwierzyć własnym oczom.

Współczesna popkultura to kultura zatamizowanego społeczeństwa dobrobytu, to kultura, która kwestionuje istnienie czegoś więcej niż kategorie osobistej wendety. Mściciel rusza do boju, gdy przeciwnik skrzywdzi kogoś z jego rodziny. Jak zatem wytłumaczyć działanie tysięcy ochotników, którzy wyruszyli na front wojny z antyświatem nie dlatego, że są Ukraińcami, ale dlatego że są ludźmi? Ludźmi, którzy nie mogą pozostać bezczynni, kiedy gdzieś daleko przedstawiciele antyświata znęcają się nad niewinnymi ofiarami, gwałcą matki na oczach dzieci, torturują niemowlęta, obcinają ręce 80-latkom, żeby dać prak-

tyczną lekcję „ruskiego mira” ich wnukom. Pytał niedawno prowokacyjnie w moim programie telewizyjnym prof. Włodzimierz Marciniak, czy wyznawczynie teorii gender zajmą się teraz na gruncie swoich nauk próbą odpowiedzi na pytanie: „Jak rosyjskie matki wychowują swoich synów?”. Tych uśmiechniętych 18-lletnich oprawców z Buczy i Borodzianki.

PUŁAPKA BEZ WYJŚCIA

Współczesna popkultura tonąca w otchłani postmodernizmu, zatopiona w płynnej postnowoczesności, która przekonuje, że tożsamości narodowe to zło samo w sobie, musi się dziś przejrzeć w zwierciadle rzeczywistości. A rzeczywistość uczy, pokazuje, przypomina: ojczyzna to coś więcej niż bezpieczny dom dla najbliższych. To coś, za co warto umrzeć i czasem trzeba umrzeć. Naród to wspólnota, która daje siłę obrońcom, a nie narzędzie opresji i relikw przeszłości.

Współczesna popkultura z radością wita w swoich szeregach papieża Franciszka z jego tezą „wszyscy jesteśmy winni”, bo doskonale pasuje ona do lansowanego przez nią przekonania, że wojna jest złem samym w sobie, jakąś metafizyczną wrogą siłą, która zniemacza opada jak całun trującej mgły na ludzi i każe im się nawzajem zabijać. Otóż nie, są wojny niesprawiedliwe i sprawiedliwe, są wojny łupieżcze i wojny obronne. Jeśli już tłumaczyć słowa Ojca Świętego, to w sposób oczywisty dla chrześcijanina: wszyscy jesteśmy dotknięci grzechem pierworodnym. Ale to nie są kategorie, którymi posługuje się współczesna popkultura. Sztuka wywodzi się z religii, kultura wywodzi się z religii; w naszym przypadku mówimy o cywilizacji judeochrześcijańskiej.

Odrzucenie tego dziedzictwa i tego fundamentu prowadzi do zakwestionowania istnienia dobra i zła. Jest znakomita scena w filmie „Stan zagrożenia” na podstawie powieści Toma Clancy’ego, kiedy przeciwnik głównego bohatera granego przez Harrisona Forda woła: „Myślisz, że świat jest czarno-biały! Nie, świat jest szary!”. To przekonanie – że świat jest szary, że wszyscy coś mają za uszami i są siebie warci niezależnie od tego, po której są stronie – jest we współczesnej popkulturze wszechobecne.

Ten świat okazuje się także pułapką bez wyjścia. Bo skoro krąg cywilizacji judeochrześcijańskiej odrzuci kategorię dobra i zła, grzechu, pokuty, kary i odkupie-

nia – to co właściwie pozostaje? Pustka, nicność, null, prywatna przestrzeń, w której można znaleźć chwilę ukojenia w miłosnym akcie z bliską osobą – i to w zasadzie wszystko. Poza murami domu rozciąga się ziemia jałowa, pełna oszustów i złodziei. A najwięksi z nich to oczywiście przedstawiciele władzy. Wszelkiej władzy: politycznej, militarnej, gospodarczej, religijnej. Zły prezydent, zły generał, zły biznesmen, zły ksiądz.

Wojna na Ukrainie przypomina, że ten hollywoodzki pańszwiniizm nie ma sensu, że wojny sprawiedliwe istnieją, że czymś jednak różni się przywódca, który ludobójstwo uważa za naturalne przedłużenie polityki, od przywódcy, który ryzykuje życie, organizując obronę swego kraju i swego narodu. Że nie ma znaku równości między umazanymi krwią weteranami z Czeczenii, Dagestanu i Syrii a ochotnikami z batalionów strzegących Kijowa. Zło i dobro istnieją, istnieją bohaterowie pozytywni i negatywni. I o naturze tej rzeczywistości więcej i celniej mówi metafora wyjęta z „Władcy Pierścieni” Tolkiena niż wszystkie seriale Netflix. Nie bez powodu w ukraińskim Internecie znaleźć możemy sformułowania o „orkach z Rosji”. Dobro i zło istnieją, warto oddać życie w obronie dobra, trzeba zdobyć się na najwyższy heroizm, by powstrzymać zło.

Tak, wolny świat stoi w obliczu inwazji Mordoru. Antyświata. To zło nie wzięło się znikąd, jest efektem pobłażliwości Zachodu wobec imperium Stalina, braku Norymbergii dla komunistycznych oprawców, braku zrozumienia dla prawdziwej natury rosyjskiego imperializmu, samobójczego przekonania o możliwości cywilizowania Rosji Putina przez wolny handel. Ukraina to dziś linia frontu nie tylko między NATO a Rosją, lecz także między światem Zachodu i antyświatem nowej hybrydy Stalina z Hitlerem. To także miejsce, gdzie toczy się wojna przeciw postmodernistycznemu pańszwinizmowi. Wspaniały symbol tej walki pojawił się na murach czeskiej Pragi. To mural, na którym dziecko osłania ukraińską flagą bohaterów znanych bajek. Twórcy zachodniej popkultury dekonstruują świat, bezmyślnie wyrzucając na śmietnik jego fundamenty. Ukraina walczy także w waszej obronie – prawo do wolności oznacza także prawo do głupoty i dekonstrukcji. Zamiast świata, w którym nic nie ma znaczenia, powraca nagle świat, w którym wszystko ma znaczenie.

Żartowniś z sąsiedztwa



Podczas ostatniej trasy schorowany Phil Collins śpiewał, siedząc na krześle

FOT. BAV MEDIA/SPLASHNEWS.COM/EAST NEWS



Grzegorz Brzozowicz

„Teraz będę musiał znaleźć prawdziwą pracę” – tymi słowami Phil Collins pożegnał się 26 marca z londyńską publicznością podczas koncertu wieńczącego światowe tournée zespołu Genesis

Phil Collins stał się supergwiazdą w latach 80. i to zarówno z zespołem Genesis, jak i jako artysta solowy. W latach 1984–1989 aż osiem piosenek śpiewanych przez niego (dwie w duetach, jedna z Genesis i pięć solowych) dotarło do pierwszego miejsca amerykańskiej listy przebojów.

We wrześniu ubiegłego roku, po 14 latach przerwy, brytyjska grupa wyruszyła na trasę zatytułowaną „The Last

Domino?”. Dziś już wiadomo, że tych 47 koncertów stanowiło ostatnią partię gry w domino w karierze utytułowanego, angielskiego zespołu. W wywiadzie dla BBC Phil Collins tłumaczył, że nie może już grać na perkusji. „Bardzo bym chciał, ale ledwo mogę utrzymać w dłoniach pałeczki”. Z tego powodu podczas światowej trasy miejsce za bębnami zajął 20-letni syn gwiazdora, Nicholas. „Jest mi przykro i czuję się sfrustrowany. Chciałbym usiąść na górze przy perkusji mojego syna, ale jest to niemożliwe – dodał 71-latek. Podczas ostatniej trasy schorowany muzyk śpiewał, siedząc na krześle.

W 2000 r. wokalista i perkusista Genesis przestał słyszeć na lewe ucho. Przyczyną utraty słuchu była infekcja wirusowa, która ustąpiła po zastosowaniu długotrwałego leczenia. Siedem lat później Phil przeszedł skomplikowaną operację kręgów szyjnych. Kolejna operacja, podczas której zainstalowano mu osiem śrub, spowodowała uszkodzenie nerwów w stopach Collinsa,

w wyniku czego zaczął chodzić o lasce. Trudności z poruszaniem były powodem jego upadku w 2017 r., w konsekwencji czego poważnie zranił się w głowę. Nie załamał się i kilka dni później dał koncert w Kolonii.

SPEKTAKULARNA KARIERA

Karierę perkusisty Collins rozpoczął jeszcze w latach 60. Wcześniej, w wieku 13 lat, występował w roli Artura Spryciarza w londyńskiej inscenizacji musicalu „Oliver!”. Po latach dziennikarze częściej jednak dopytywali się muzyka o zdjęcia do filmu „A Hard Day’s Night” Beatlesów. Phil był na widowni podczas kręcenia scen w telewizyjnym studiu.

W 1970 r. Phil dołączył do zespołu Genesis, a pięć lat później zastąpił Petera Gabriela w roli wokalisty. Brytyjska grupa była ceniona przez wielbicieli rocka progresywnego, ale nie odnosiła spektakularnych sukcesów komercyjnych. Dopiero pod koniec lat 70., kiedy zespół zaczął kierować się w stronę mniej wyszukanych

form muzycznych, został dostrzeżony za oceanem. Poczynając od dziewiątego albumu, „...And Then There Were Three...”, wydanego w 1978 r., wszystkie kolejne albumy Anglików osiągały w USA ponadmilionowe nakłady. Szczyt popularności Genesis nastąpił po premierze płyty „Invisible Touch” (1986), która rozeszła się na świecie w prawie 10-milionowym nakładzie, a pięć piosenek z albumu dotarło do Top 5 w USA.

Jeszcze bardziej spektakularna okazała się kariera solowa Collinsa. W latach 70. poza działalnością w Genesis był cenionym muzykiem sesyjnym i współtworzył jazz-rockową formację Brand X. Pierwszy solowy album, „Face Value”, nagrał w 1981 r., podczas przerwy w działalności zespołu. Piosenki odzwierciedlały depresyjny stan ducha Collinsa po rozstaniu z żoną („Miałem żonę, dwoje dzieci, dwa psy, a następnego dnia straciłem wszystko. Wiele z tych piosenek napisałem pod wpływem emocjonalnych zdarzeń, przez które przechodziłem”), i utrzymane były w różnych stylistykach muzycznych, dalekich od dokonań Genesis. Zapewne niespodziewanie nawet dla samego Phila płyta stała się przebojem i tylko w Stanach Zjednoczonych rozeszła się w pięciomilionowym nakładzie. Największe wrażenie robiła piosenka singlowa „In the Air Tonight”, która do dziś zachwyca swym perkusyjnym finałem. Został on opisany jako: „Najbardziej elegancki, najbardziej melodramatyczny break perkusyjny w historii”. Co więcej, sposób, w jaki została nagrana perkusja, stał się brzmieniowym wyznacznikiem dla nagrań w latach 80. Dodajmy, że miliony młodych ludzi na całym świecie wykonywało podczas słuchania piosenki solo na „powietrznej perkusji”. Dzięki temu bębny stały się drugim obok gitary elektrycznej instrumentem, na którym fani zawzięcie wili się przed lustrami.

Na kolejnych albumach solowych Collins rejestrował coraz bardziej melodyjne piosenki i ballady łamiące serce. W 1984 r. skomponował tytułową, patetyczną balladę do filmowego wyciskacza łez, „Against All Odds” („Przeciwko wszystkim”), która była jego pierwszym numerem jeden w USA. Oczarowany sukcesem podążył w stronę emocjonalnego, choć mało wyrafinowanego popu określanego w Ameryce jako adult-oriented rock (rock dla dorosłych). Zdobywał coraz liczniejszą rzeszę fanów, ale też jego płyty wywoływały coraz większe zniechęcenie wśród

krytyków. Jego trzeci album „No Jacket Required” osiągnął za Atlantykiem 12-milionowy nakład, a Collins jako jedyny muzyk wystąpił na koncertach Live Aid zarówno na stadionie Wembley w Londynie, jak i na stadionie JFK w Filadelfii.

Czwarty solowy album muzyka, „...But Seriously”, był najpopularniejszą płytą w Wielkiej Brytanii w 1990 r., gdzie rozszedł się w prawie trzymilionowym nakładzie. Lista zarówno komercyjnych sukcesów, jak i nagród, które przez lata zebrał Phil Collins, jest imponująca. Wystarczy wymienić, że nakłady jego solowych płyt przekroczyły 150 mln egzemplarzy i jeśli do tego dodamy sprzedaż płyt zespołu Genesis (ok. 100 mln), to staje się jasne, że Phil Collins jest jedną z najpopularniejszych postaci kultury popularnej.

CIENKA LINIA

Sukcesy komercyjne to jedno, a szacunek artystyczny to drugie. Niewątpliwie Collins kroczył po cienkiej linii między byciem tandeciarzem i wyrafinowanym artystą. Jego gigantyczna popularność w latach 80. ze słodko-ekliwymi piosenkami działała na krytyków jak płachta na byka. Na plus należy mu zaliczyć, że swoją popularność traktował zawsze z autoironią i dystansem. Dodatkowo każdy, kto się z nim zetknął, był zauroczony jego osobowością. Jego po prostu nie dawało się nie lubić. W mediach wykreowano wizerunek Collinsa jako serwującego dowcipy kumpla z sąsiedztwa. Jego postać sympatycznego żartownisia utrwaliły dodatkowo popularne filmy („Buster”, „Hook”), seriale telewizyjne („Miami Vice”, „The Two Ronnies”) i przede wszystkim role, które kreował w teledyskach. Współpracujący z nim muzycy, od Roberta Planta, do Briana Maya z Queen, twierdzą, że nie ma bardziej uduchowionego, pozytywnie nastawionego i wspierającego muzyka. Tim Chester z tygodnika „New Musical Express” opisał Collinsa jako: „Faceta, który miał momenty prawdziwego geniuszu, ale też stworzył kilka prawdziwych gniotów”.

Popularność Collinsa w latach 80. nie tylko była gigantyczna, lecz także miała wpływ na kariery innych artystów. W roli producenta Collins wystąpił na trzech albumach Erica Claptona, które wprawdzie wpłynęły na wzrost popularności geniusza gitary, ale dziś trudno ich słuchać. Pod wpływem „magii” nagrań Collinsa był David Bowie, który również w tamtym czasie cieszył się wielką popularnością. Po latach

wokalista określił ironicznie ten okres swojej twórczości jako „Phil Collins years”.

Co ciekawe, z czasem nastawienie krytyków przeszło od ataków do doceniania dorobku Collinsa. Alan McGee, założyciel wpływowej wytwórni muzyki alternatywnej Creation, komentując popularność Collinsa wśród zespołów hip-hopowych, stwierdził: „To nie jest zaskakujące. Collins jest światowej klasy perkusistą, którego utwory od razu nadają się do samplowania”. David Sheppard z BBC napisał: „Collins był czasem sam sobie winien, ale... ocenianie go jedynie jako wyniosłego dostawcy romantycznych ballad dla świata o średnich dochodach wydaje się krótkowzroczne”. W 2010 r. sam Phil Collins przyznał, że w latach 80. był zbyt „wszechobecny”. I dodał: „Postać, którą kreowałem na scenie, wynikała z mojego braku pewności siebie. Teraz wydaje się to żenujące. [...] Przykro mi, że tak się to wszystko potoczyło. Szczerze mówiąc, nie chciałem, żeby tak się stało!”.

DOKTOR COLLINS

Phil Collins jest drugim, po Ringo Starze, najbogatszym perkusistą na świecie. W 2018 r. oszacowano jego majątek na 120 mln funtów, co czyniło go 25. najbogatszą osobą brytyjskiego przemysłu muzycznego. Niestety, w życiu osobistym nie układało mu się już tak dobrze. W swojej autobiografii przyznał, że po trzecim rozwodzie zmagał się z problemem alkoholowym. Stwierdził również, że od trzech lat jest trzeźwy.

Dodam, że brat muzyka, Clive, jest cenionym rysownikiem. Phil pojawił się w pałacu Buckingham na ceremonii wręczenia bratu Orderu Imperium Brytyjskiego (MBE) za zasługi dla sztuki. Phil powiedział wówczas: „Kiedy byliśmy chłopcami, dzieliłem z nim sypialnię, a on zawsze rysował. Robił kartki świąteczne i urodzinowe dla całej rodziny”. On sam nie ma żadnego odznaczenia, ale otrzymał trzy tytuły doktora honoris causa. Ostatni z nich przyznał mu w 2012 r. Uniwersytet McMurry w Teksasie i to w dziedzinie... historii. Collins posiada bowiem setki artefaktów związanych z bitwą o twierdzę Alamo w 1836 r. Wynikiem tej pasji była napisana przez niego książka pt. „The Alamo and Beyond: A Collector's Journey”. Podobnie jak Rod Stewart, Eric Clapton i Neil Young Phil Collins jest wielbicielem modeli kolejowych, więc na emeryturze zapewne nie będzie się nudził. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO MAX

Dzień *yakuzy*



★★★★★

SEZON 1
„TOKYO VICE”
USA 2022

wyst. Ansel Elgort,
 Ken Watanabe,
 Rachel Keller

O siem lat temu („Do Rzeczy” 25/2014) rekomendowałem czytelnikom książkę „Zemsta yakuzy”, połączenie reportażu i wspomnień z Japonii autorstwa Jake’a Adelsteina. Dziś polecam wersję serialową. Adaptacji dla HBO Max dokonali pospołu znany dramaturg J.T. Rogers („Oslo”) i znany reżyser Michael Mann (jest jednym z producentów i reżyserem kilku odcinków, w tym pilota), dbałością o wiarygodność detali japońskich zajął się grający też jedną z głównych ról japoński aktor Ken Watanabe.

Adelstein dokonał rzeczy niezwykłej – zaliczywszy piekielnie trudne dla człowieka Zachodu egzaminy, podjął pracę jako reporter w jednym z wielkich japońskich dzienników. Co więcej, ciągnęło go

do spraw kryminalnych, więc po pewnym czasie stał się ekspertem od wszelkich spraw związanych z yakuzą. Ansel Elgort wydaje się chwilami za delikatny do tej roli, ale poczekajcie, aż ta stał się znacznie hartować. Już w pierwszych minutach pierwszego odcinka człowiek numer dwa w świecie japońskich gangsterów życzy sobie, podczas prywatnego spotkania, by reporter zrezygnował z publikacji materiału, nad którym pracuje. W trosce o życie własne i rodziny. (Adelstein zgromadził olbrzymią wiedzę na temat japońskiego półświatka, ale szczególnie dobrze rozpracowane miał wątki związane z prostytutką i handlem żywym towarem).

„Adelstein przeszedł długą drogę od naiwnego stażysty

do najbardziej ściganego przez gangsterów reportera w Japonii. Jego podróż była mroczniejsza, niż mógł przypuszczać na początku. I okazała się także przepełniona poczuciem winy” – pisałem, recenzując jego wspomnienia.

Pod ręką Michaela Manna książka zamieniła się w raso- wy współczesny kryminał noir z olbrzymim ładunkiem egzotyki. „Tokyo Vice” wygląda równie dobrze jak zapomniany „Black Rain” (1989) Ridleya Scotta, przynosi za to dużo więcej treści. W aktorskiej robocie nad resztą obsady zdecydowanie góruje Ken Watanabe. Na Zachodzie znany z „Ostatniego samuraja” czy odświeżonej franczyzy z Godzillą; w Japonii dostaje role dużo bardziej wymagające. Tu tworzy mocną kreację jako Hiroto Katagiri, doświadczony gliniarz pozbawiony złudzeń, ale wciąż stojący po właściwej stronie. Od chwili premiery w Polsce (8 marca) HBO Max zalewa nas nowymi produkcjami. „Tokyo Vice” jest z nich jak dotąd najciekawszą. ©



NOWE SERIALE: „KULAWE KONIE”

Ekraniizacja powieści Micka Herrona otwierającej cykl „Slough House” (polscy czytelnicy poznali książkę w ubiegłym roku). Klimat jak z późnych powieści Johna Le Carré – Slough House to czyścić, do którego trafiają agenci, którzy popadli w niełaskę. Cóż z tego, że wiele potrafią, przecież we współczesnej polityce (i tajnych służbach)

liczy się co innego. Więc kiedy pojawi się prawdziwe zagrożenie, to grupa wyrzutków będzie mogła uratować honor MI-5. Obsada gwiazdorska: Gary Oldman, Jonathan Pryce, Kristin Scott Thomas i sporo innych znanych twarzy. ©

Piotr Gociek
 • sezon 1 „Kulawe konie” („Slow Horses”), Wielka Brytania/USA 2022, Apple TV+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 2 „Russian Doll”, USA 2022

• sezon 2 „Stewardesa” („The Flight Attendant”), USA 2022

HBO MAX

• sezon 1 „Poza granicą” („Outer Range”), USA 2022

prime video

Czarny Iont

KINO

Wszyscy słyszeli o Bondzie, mało kto wie o istnieniu Huberta Bonisseura de La Bath. Oto miara upadku Francji. A przecież OSS 117 jako bohater literacki zadebiutował cztery lata przed Brytyjczykiem, a o jego przygodach nakręcono 11 filmów. Od pewnego czasu agentowi znad Sekwany twarzy i postury użycza Jean Dujardin, aktor o inklinacjach komediowych. Ma to swoje konsekwencje. 007 cierpiał w ostatnich latach na nadmiar powagi, jego koledze z drugiej strony kanału uśmiech rzadko schodzi z twarzy. Akcja rozgrywa się w roku 1981, więc punktem odniesienia są wybuchowe superprodukcje z Rogerem Moore'em. Hubert zostaje wysłany do Afryki, by pomóc

utrzymać władzę kacykowi będącemu marionetką Paryża. Więcej energii zabiera mu jednak rywalizacja z młodszym i dysponującym bardziej nowoczesnym sprzętem agentem OSS 1001. Francuski szpieg jest mistrzem gaf, oldskulowym kobieciarzem, homofobem, rasistą i zagorzałym patriotą. Startującego w wyborach prezydenckich Mitteranda uważa za komucha. Kpi z dwulicowości Anglików, język niemiecki zaś uznaje za przydatny do tresury zwierząt. Rosjan upokarza, nawet gdy straszą: „Mamy dość broni, by wysadzić cały świat!”. Scenarzysta może sobie pogratulować daru przewidywania przyszłości. Frankofilów ten film szczerze rozbawi, resztę świata niekoniecznie. © © **Wiesław Chełmiński**



★★★★★
REŻ. NICOLAS BEDOS
„AGENT SPECJALNY: MISJA AFRYKA”
FRANCJA 2021
wyst. Jean Dujardin,
Pierre Niney,
Fatou N'Diaye



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SIŁA AUTOSUGESTII

arte



wyst. Slavko Štimac, Ljiljana Blagojević,
Slobodan Aligrudić

★★★★★
REŻ. EMIR KUSTURICA
„CZY PAMIĘTASZ DOLLY BELL?”
(„SJEĆAŠ LI SE, DOLLY BELL”)
JUGOSŁAWIA 1981

„Towarzyski i towarzysze, obecna sytuacja jest złożona”. Słowa, od których zaczyna się kinowy debiut Emira Kusturicy, dziwnie pasują do niego samego. Tylko czekać, aż niegdyś ulubieniec europejskich krytyków jako rusofil i chwalcza Putina trafi na listę twórców wykłetych. Na razie, dla zabicia czasu, można obejrzeć komediodramat, który 41 lat temu wygrał festiwal w Wenecji i uczynił Bośniaka sławnym. Rzecz jest na wpół autobiograficzna i obrazuje młodość w jugosłowiańskim Sarajewie. Polityka dociera tu w groteskowej, biurokratycznej formie, największym zaś autorytetem cieszą się (jak to na Bałkanach) bandyci. W oczekiwaniu na przeprowadzkę do bloku bohater kursuje między lokalnym domem kultury a gołębnikiem, w którym zagnieździła się grzechu warta dziewczyna. Dino wierzy w hipnozę, jego ojciec – w komunizm. W jednym Kusturica na pewno miał rację: autosugestia pomaga żyć.

KOCIARZ ZNAD TAMIZY

KINO



wyst. Benedict Cumberbatch, Claire Foy,
Toby Jones

★★★★★
REŻ. WILL SHARPE
„SZALONY ŚWIAT LOUISA WAINA”
WIELKA BRYTANIA 2021

O człowieku, który dostał takiego hopla na punkcie sierściuchów, że w końcu je uczłowieczył. Louis Wain miał w domu babiniec, a w głowie chaos. Na chleb zarabiał jako rysownik, ale od ludzi wolął portretować zwierzęta domowe. Przełomem w egzystencji londyńczyka stał się romans z guwernantką jego siostr, o 10 lat odeń starszą (podwójny skandal!). Twórcy filmu z lubością wywołują ducha wiktoriańskiej Anglii z jej parowozami, hipokryzją i posępnym, neogotyckim czarem. Niestety, w wyspiarską tradycję wpisany jest też sentymentalizm, co odbiło się na scenariuszu bardziej, niż powinno. Wain od realizmu doszedł do psychodelii. Sharpe i spółka od szalonych konceptów stronią (chyba że za taki uznać pomysł, by Olivia Colman opowiadała z offu, co bohaterom chodzi po głowie). Cykl biografii artystów, których życie nie głąskalo po głowach, wzbogacił się o nową pozycję. © © **Wiesław Chełmiński**

GRA TYGODNIA: „CHOCOBO GP”

Z jednej strony „Chocobo GP” to dobrze zrealizowany, grywalny i bardzo ładnie wyglądający kart racer. Z drugiej – wypełniony mikropłatnościami produkt, który nie zawsze działa jak należy. Mam tu na myśli multi, które zniechęca długim oczekiwaniem w lobby i problemami ze skomple-

towaniem graczy. Pomimo tego wyścigi stworzeń z „Final Fantasy” warte są przetestowania, zwłaszcza że sprawdzić je możemy za darmo, a później zdecydować, czy chcemy odblokować pełną wersję gry. Jeśli jednak wasz budżet przewiduje tylko jedną pozycję tego typu w bibliotece,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

to zdecydowanie warto rozważyć zakup „Mario Kart 8 Deluxe”. © ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Wyścigi
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, dystrybutor PL:** Square Enix, ConQuest Entertainment a.s.

MOJA PÓŁKA

Prawda to nie nasza działka

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Nikt w tę wojnę tak naprawdę nie wierzył – mawiał jeden z bohaterów powieści Pierre'a Lemaitre'a „Lustro naszych smutków”, domykającej jego trylogię „Dzieci katastrofy”, pokazującą wojnę z Niemcami oczami zwykłych Francuzów, którym daleko było do bohaterstwa, ale nie dopuszczali do siebie myśli, by po prostu poddać się hitlerowcom. Zwłaszcza że karmieni byli – od wypowiedzenia wojny III Rzeszy we wrześniu 1939 r. – hurraoptymistyczną propagandą.

A nie działo się nic. Polska została zdobyta, tymczasem „maski gazowe rozdawane jesienią, które leżały teraz zapomniane, stały się przedmiotem kpin w humorystycznych rysunkach”. Żołnierze na uchodzącej za niezdobytą Linii Maginota nudzili się, „czekając, aż polegną za ojczyznę”. Z nudów najbardziej przedsiębiorczy z nich robili interesy, jak inny bohater tej powieści Lemaitre'a – laureata, przypominę, Nagrody Goncourtów. Natychmiast przypomina się inna klasyczna już postać światowej literatury – Milo Minderbinder z „Paragrafu 22” Josepha Hellera, ale to jednak całkiem inna bajka. Bo i inna jest ta wojna, która w końcu trafia do Francji, upokarza ją, ale po pierwszym szoku każe powstać z kolan.

Absolutnie kapitalną postacią „Lustra naszych smutków” jest skądinąd uroczy hołsztapler, który przed wojną wcielał się a to w adwokata, a to w pilota, to znów w lekarza, a w istocie był oszustem i złodziejem. I oto ktoś taki postanowił, korzystając ze spreparowanego życiorysu, zatrudnić się w ministerstwie informacji, absolutnie kluczowym od momentu, gdy wojna przestała być opowieścią o żelaznym wilku, a stała się faktem.

I co się wtedy stało, np. w szkołach? „Nauczyciele, których nie



FOT. WIKIMEDIA

zmobilizowano w 1939 r., dostali powołanie do wojska. Albo wyjechali. Tak czy inaczej, ciało pedagogiczne było nietypowo przerzedzone, przybyło sporo dzieci uchodźców, brakowało ławek, krzeseł, brakowało wszystkiego. Oprócz obelg. Wielu małych Francuzów, powtarzając to, co słyszeli w domu, przezywało małych Belgów Szwabami z Północy, wyśmiewano akcent Luksemburczyków, ale też dzieci z Pikardii czy Lille; wojna drogą naczyń połączonych dotarła na dziedzińce szkolne.

Dzienniki rozpisywały się o rozpoczętej dwa dni temu nagłej niemieckiej inwazji. A gen. Gamelin ogłosił: »Niemcy wydają nam walkę na śmierć i życie«. Brzmiało to wojowniczo, więc dawało poczucie bezpieczeństwa.

Czy to poczucie wzmacniał swoimi działaniami wspomniany wyżej, świetnie oceniany za swą gorliwość w wykonywanie poleceń, a i za okazywaną kreatywność, ministerialny propagandysta, a w istocie cenzor? Cóż, skwapliwie wykonywał polecenia przełożonych: „W czasie wojny informacja prawdziwa jest mniej istotna niż informacja podnosząca na duchu. Prawda to nie nasza działka. Nasza misja jest szczytniejsza, bardziej ambitna. My odpowiadamy za morale Francuzów”.

I w trosce o to morale na falach Radia Paris powstała „Kronika pana Duponta”, w której na wymyślone pytania słuchaczy, np. pana S. z Tulonu, odpowiadał dobrze poinformowany, rzekomy „zachowujący anonimowość eminentny członek francuskiej administracji”. I bredził tak, dajmy na to: „Dysponujemy niezliczonymi przykładami na to, czego w Niemczech brakuje. Dotkliwie odczuwalny jest na przykład brak węgla. Widziano matki, które prowadziły swoje dzieci na cmentarz, by te rozgrzały sobie ręce na piecach do kremacji zwłok. A że skóra zarezerwowana jest wyłącznie na potrzeby wojska, kobiety dla ochrony przed zimmem noszą skóry ryb. W kuchni nie mają już ani ziemniaków, które są jedynym pożywieniem oddziałów, ani masła, używanego wyłącznie do oliwienia broni”.

A co się działo w wojsku? Pewien oficer, może nadto szczerzy, wyjaśniał sytuację swojemu podkomendnemu: „Wyposażono nas w całkiem nowe automatyczne wyrzutnie rakiet, ale nikt w jednostce nie umie ich obsługiwać. A instrukcji obsługi nie ma”.

W powieści Pierre'a Lemaitre'a, dowodzącej, że epickość wcale nie zginęła, mamy jeszcze – co czytelnicy, a zwłaszcza czytelniczki lubią najbardziej – historię miłosną, i to bardzo dramatyczną, wiele – głównie czarnego – humoru, trochę – niestety – charakterystycznych dla literatury francuskiej ukłonów wobec komuny i, nie wiadomo po co, antykatolickich wtęgotów, niemniej absolutnie świetne sylwetki powieściowych bohaterów, ich perypetie, znakomity język całości (przekład Joanny Polachowskiej) – wszystko to sprawia, że „Lustro naszych smutków” polecam do lektury czytelnikom „Do Rzeczy” z głębokim przekonaniem.

Zwłaszcza dzisiaj, w czas wojny. Zupełnie innej i takiej samej. ©



★★★★★
PIERRE LEMAITRE
„LUSTRO
NASZYCH
SMUTKÓW”
ALBATROS,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kronika wojny zapowiedzianej

W ubiegłym roku minęło 15 lat od śmierci Aleksandra Litwinienki. Były agent FSB zmarł po niewyobrażalnych cierpieniach, otruty radioaktywnym polonem. Brytyjczy śledczy wskazali jako mocodawcę Władimira Putina, opatrując wnioski ostrożnym procesowo słowem „prawdopodobnie”. Putin miał powody do nienawiści. Litwinienko demaskował zbrodnie Moskwy i ujawniał sekrety swych dawnych pracodawców.

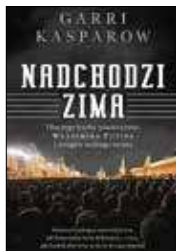
Z książki „Wysadzić Rosję” dowiadujemy się, jak doszło do prowokacji mającej usprawiedliwić drugą wojnę czeczeńską. Natomiast wznowieni „Przestępcy z Łubianki” to zapis wywiadów udzielonych dziennikarzowi Akramowi Murta-zajewowi. Układają się one w opowieść o życiu codziennym katów z antyświata, który dziś próbuje zmiażdżyć Ukrainę, o praktykach nowych właścicieli Rosji, którzy dziwnym trafem wywodzą się z dawnego aparatu bezpieczeństwa i największe sukcesy odnoszą, budując nowy. Litwinienkę zabito, gdy prowadził śledztwo w sprawie śmierci Anny Politkowskiej, niezależnej dziennikarki zastrzelonej w Moskwie.

I nne ważne wznowienie: Garri Kasparow „Nadchodzi zima”. Książka zwłaszcza dla czytelnika zachodniego, prosty kurs historii najnowszej Rosji (podtytuł: „Dlaczego trzeba powstrzymać Władimira Putina i wrogów wolnego świata”). Ukazała się w roku 2016. Napisana po haniebnych igrzyskach zimowych w Soczi, rosyjskim zaborze Krymu i agresji na Donbas. Dziś uwagę zwraca ostatni rozdział („Wojna i appeasement”), w którym szachowy arcymistrz nie tylko prorokował „Jeśli członkowie NATO nadal będą odmawiać wysłania śmiercionośnej pomocy na Ukrainę, będzie to jeszcze jedno zielone światło dla Putina”, lecz także tłumaczył, dlaczego politykę Putina można porównywać z polityką Hitlera.

Polska odpowiedź musi brzmieć: Jeśli nie nowy Hitler, to Stalin, czyli banda dyta jeszcze większy. Zbrodniarze w rosyjskich mundurach potraktowali mieszkańców Buczy czy Borodjanki tak jak Niemcy „nadludzie” czy sowieccy „wyzwoliciele” traktowali Polaków podczas okupacji. Serce Zachodu zostało poruszone. Nie mam wątpliwości, że raczej chwilowo. ©©



★★★★★
ALEKSANDER LITWINIENKO
„PRZESTĘPCY Z ŁUBIANKI”
REPLIKA/OW
VOLUMEN 2022



★★★★★
GARRI KASPAROW
„NADCHODZI ZIMA”
INSIGNIS 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książka legenda, która zrobiła więcej dla obrony Ameryki niż niejeden generał. Powstała w 1958 r., wielokrotnie wznawiana, w prosty i lekki sposób ukazuje teorię i praktykę komunizmu, wskazuje zagrożenia, obala kłamstwa.



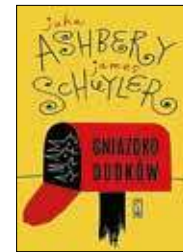
W. CLEON SKOUSEN
„KOMUNISTA OBNAŻONY”
ZYSK I S-KA

„Miejsca, z których wyrosło Śródziemie” – bogato ilustrowana opowieść ukazuje, jak krajobraz Wielkiej Brytanii kształtował literacką wyobraźnię autora „Władcy pierścieni”. Doskonałe uzupełnienie klasycznych biografii.



JOHN GARTH
„J.R.R. TOLKIEN I JEGO ŚWIATY”
ARKADY

Nikt nie potrafi streścić tej książki, choć wielu znajduje w jej lekturze przyjemność. Żart, eksperyment, badanie granic możliwości prozy – dwóch amerykańskich poetów napisało ją dla czystej przyjemności zabawy językiem.



JOHN ASHBERY, JAMES SCHUYLER
„GNIAZDO DUDKÓW”
PIW

Jak powstało pismo egipskie, co z dorobku dawnego Egiptu wzbogaciło cywilizację europejską, wreszcie ciekawy słownik hieroglifów – obficie ilustrowana opowieść zacieka nie tylko fanów historii starożytnej.



ANDRZEJ ĆWIEK
„HIEROGLIFY EGIPSKIE. MOWA BOGÓW”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

©© **poleca Piotr Gociek**

KOMIKS TYGODNIA: „KSIĄŻĘTA DEMONY”

Liczącą pięć tomów space opera Jacka Vance'a (powstała w latach 1963–1981) to dziś już tylko uroczą ramotką, ale w wersji komiksowej sprawdza się znakomicie i zyskuje nowe życie. Komiks stworzony jest do takich historii: pełnych pejzaży obcych planet, galaktycznych złoczyńców i przesadnie melodramatycznych fabuł. Kirth Gersen to gwiazdny mściciel, który tropi po całym



JEAN-DAVID MORVAN, PAOLO TRAISCI
„KSIĄŻĘTA DEMONY”, TOM 1
EGMONT 2022

wszechświecie ukrywających się wśród ludzi przedstawicieli obcej rasy zwanych „Książętami demonami”, odpowiedzialnych za niezliczone okrucieństwa i cierpienie na podbijanych hurtowo planetach. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Geniusz w Piwnicy

Nie ma aż tak wielu Polaków, którzy byliby opisywani we wszystkich najpoważniejszych encyklopediach technicznych świata. Jan Szczepanik zalicza się do tego elitarnego grona, a przydomki, jakimi się go określa – polski Edison czy polski Leonardo da Vinci – świadczą, że mamy do czynienia z postacią nieprzeciętną.

Szczepanik ma na koncie ponad 50 różnych wynalazków i setki patentów. Trudno go zaszkladkować, bo zajmował się tak odległymi materiałami jak tkactwo z jednej i aparaty będące protoplastami telewizorów z drugiej strony. Samouk, amator i hobbysta przyczynił się do stworzenia pierwszej kamizelki kuloodpornej i opatentował telekroskop, czyli de facto pierwszy telewizor.

13 czerwca minie 150 lat od narodzin Jana Szczepanika. Z tej okazji zorganizowana została wystawa „Jan Szczepanik. Geniusz, wynalazca, konstruktor”. Można ją oglądać w Piwnicy PodCieniami w Krośnie – w mieście, w którym przyszły geniusz rozpoczynał swoją edukację. ©©

GDZIE? Krosno, Piwnica PodCieniami

KIEDY? do 2 czerwca



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

NIEOCENZUROWANI

Reakcja twórców na wprowadzenie stanu wojennego przez komunistyczny reżim. Bojkot polityki kulturalnej władz, działanie, tworzenie w drugim obiegu. Wystawa „Nie ocenzurowano. Polska sztuka niezależna lat 80.” stara się ukazać szeroką panoramę artystycznych manifestów niezależności wobec komunistycznych władz. ©©

GDZIE? Warszawa, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski

KIEDY? do 5 czerwca

NA SŁUCH

Strach przed świtem



GRZEGORZ BRZozowicz

To pierwsza z dwóch płyt, które były lider The White Stripes nagrał podczas pandemii. Jack White, odkrywając istnienie zaburzenia nazwanego po grecku eosofobią (strach przed świtem i światłem słonecznym), stworzył kakofoniczną i mocno klaustrofobiczną płytę.

Aż trzy piosenki noszą nazwę tej fobii, a kolejne trzy („Into the Twilight”, „Dusk” i „Morning, Noon and Night”) jej dotyczą. Muzyka oparta na ciężkich, bluesowych wykopach, napływających falach gitarowych zniekształceń i maniackalnym zwożeniu wokalu jest według White’a dźwiękowym odpowiednikiem tego rodzaju szaleństwa.

Album „Fear of the Dawn” nie jest przyjemny w odbiorze. Rytmu zacinają się, a dźwięki

rozstrajają. To mroczna, muzyczna przygoda. Płyta stworzona po to, by prowokować i podsycać lęki, a nie je uspokajać. Jack skupia się w piosenkach na uchwyceniu nastroju, który doprowadza bohatera do paranoi. Przyspiesza i zwalnia głos zgodnie z jękami wydawanymi przez jego gitarę. Jej hałaśliwe, spłaszczzone brzmienie jest rodzajem oręża w dłoniach analogowego wojownika pogrążonego w cyfrowym szaleństwie.

Albom opiera się na efektach specjalnych i spreparowanych dźwiękach w wyszukany sposób rozmieszczonych w stereofonicznym spektrum. Dlatego śmiałość pragnący zgłębić ten przekaz powinien założyć słuchawki, rozsiąść się w fotelu i wyruszyć na osobiste powitanie świtu. ©©



★★★★★
JACK WHITE
„FEAR OF THE DAWN”
THIRD MAN RECORDS



★★★★★
PLACEBO
„NEVER LET ME GO”
RISE

Po prawie dekadzie przerwy zespół wydał jeden z najlepszych albumów. Brian Molko i Stefan Olsdal nagrali stylowy zestaw piosenek wskrzeszający mroczną alternatywę lat 90. Hedonistyczne hymny zastąpił egzystencjalnymi rozmyślaniami o zepsutym świecie.



★★★★★
FATHER JOHN MISTY
„CHLOE AND THE NEXT 20TH CENTURY”
SUB POP

Zasłynął z ociekających żółcią opowieści o zdeprawowanych bohaterach. Tym razem orkiestrowe aranżacje z lat 70. i lounge’owe tempo łagodzą jego cyniczne opisy uczuciowych związków. Skojarzenia z piosenkami Randy’ego Newmana i Harry’ego Nilssona narzucają się same. ©©

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY

Jamci Go po chlebie poznał

Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” na afiszu w teatrze dramatycznym!

Już samo podjęcie takiej decyzji jest świadectwem niemałej odwagi. Dlaczego? Primo: sam tekst misterium, napisany (i skompilowany) w XVI w., przechował stary język, piękny, ale i w wielu miejscach prawie niezrozumiały, oraz nieznaną dziś strukturę średniowiecznego widowiska religijnego. Secundo: wystawianie go w teatrze jest stawianiem do konkurencji z XX-wiecznymi odczytaniem poprzedników: Schillera, Dejmka, Cieplaka i Tomaszuka. Tertio: jest też mierzeniem się z najtrudniejszym może dziś zadaniem dla teatru, czyli pokazywaniem wartości, w sensie ogólnym – metafizyki, a w szczególnym – dogmatów katolickich. Bo jest tu jeszcze, quarto, dla twórców i widzów wierzących poziom najgłębszy: Jakże to mierzyć się z ostatecznym pięknem gorzkich żalów, ciemnych jutrzni i wreszcie wielkanocnej mszy rezurekcyjnej? A jednak się udało.

Jarosław Gajewski, aktor Teatru Narodowego, pedagog, reżyser, od wielu lat prowadzi prace u źródeł teatralnej polszczyzny mówionej. W różnych konfiguracjach wystawia stare teksty, pyta, czy jakąś moc jeszcze zachowały matryce tożsamościowe i eschatologiczne, na których są oparte. Z ideą wystawienia „Historia...” Mikołaja z Wilkowiecka w czasie wielkanocnym przyszedł do Re-



Grzegorz Kondrasiuk

„Historia...” jest wypowiedziana, wyśpiewana i wytańczona w przedziwnej konwencji, serio miesza się z buffo, aktorzy nie boją się śmieszności, mają prawo być aniołami, szatanami, świętymi i faryzeuszami. Nic nie jest na serio – a jednocześnie wszystko jest tak bardzo na poważnie

dbada Klynstry-Komarnickiego, dyrektora Teatru im. Osterwy w Lublinie. I tak zawiązał się ciekawy sojusz: zespół teatru repertuarowego, na co dzień grywający zgoła inne sztuki, plus zaproszony do współpracy zespół Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice”, plus zespół muzyki dawnej pod kierunkiem Marii Pomianowskiej.

Znajdujemy się we wnętrzu sakralnym, którego ściany pokryte freskami odnawia właśnie ekipa konserwatorów. I oto martwe obrazy zostają wskrzeszone, wbite w powrotem w ciała – prostym aktem wypowiedzenia uwag Mikołaja z Wilkowiecka, dawnego reżysera, przesłania ponad czasem, skierowanego „do tego, który by sprawował tę historią”. Misterium wielkanocne w swoim źródłowym założeniu było przecież teatrem dla wszystkich, formy najprostszej, unaoczniającej subtelności dogmatu. I tak właśnie, bez szukania na siłę prawdopodobieństwa, bez dopisywania scen i uzasadnień, bez ironii – rozpoczyna się gra o Pańskim

Zmartwychwstaniu i o chrześcijańskiej historii świata.

Sam scenariusz, jak to w teatrze średniowiecznym, jest rozwichrzony, eklektyczny, apokryficzny, pełen anachronizmów. Realizatorzy nie dążyli do jego uporządkowania czy uwspółcześnienia, tylko spróbowali oddać współczesnymi środkami tę cudowną archaikę świętej opowieści totalnej, w której zmieściły się i wydarzenia wokół pustego Grobu Pańskiego, i wizyta Zmartwychwstałego w piekle, jego rozmowy z Adamem, Ewą, Noem, Janem Chrzcicielem i kilka scen z Dziejów Apostolskich. Tę wielość udało się jednak zestroić, nadać jej spójność i klarowność. To zasługa dobrej adaptacji (skrótów w tekście i dodanie pieśni z epoki) i znakomitego umuzyycznienia spektaklu. Jest on krótki, kostiumowy, grany brawurowo, do niczego niepodobny. Ta niepowtarzalność wynika ze spotkania różnych tradycji ekspresji scenicznej: do porządnego warsztatu aktora dramatycznego gardzienicki aktorzy dodali ekspresjoni-

styczną drapieżność, kondensację teatralnej metafory w geście, śpiewie i tańcu. Mało tu głównych ról, to prawdziwy spektakl zespołowy, gdzie trzeba docenić wszystkich 18 wykonawców (alfabetycznie wymienionych na afiszu).

„Historia...” jest wypowiedziana, wyśpiewana i wytańczona w przedziwnej konwencji, serio miesza się z buffo, aktorzy nie boją się śmieszności, mają prawo być aniołami, szatanami, świętymi i faryzeuszami. Nic nie jest na serio – a jednocześnie wszystko jest tak bardzo na poważnie. Dziwna sprawa: grają nieświęci, w nieświętym, choć szacownym wnętrzu XIX-wiecznego teatru – a przywołują tęsknotę, nadzieję (a może i obecność) świętości, na którą nasze oczy, by sięgnąć do języka Mikołaja z Wilkowiecka, „są zatrzymane”. Są w spektaklu takie miejsca, np. kiedy Joanna Holcgreber przejmująco wykonuje pieśń pasyjną Maryi „Już cię żegnam” albo w pełnej prostoty scenie zbiorowej łamania się chlebem, teatralnym traktacie o ustanowieniu Mszy Świętej. Świętą decyzją obsadową było powierzenie roli Jezusa Wojciechowi Rusinowi, a doskonałą robotą – ściszenie jego nadekspresji i zadziorności. Zbawiciel jest z krwi i kości, jest silnym mężczyzną, ale to siła jedynie wyczuwana, przykryta spokojem i łagodnością. W takich momentach można sobie przypomnieć, że teatr rzeczywiście jest maszyną do odwracania, a przynajmniej zakłócania biegu czasu, że ma wspólne z rytmem sakralnym źródło, oparte na powtórzeniu i ponowieniu Przymierza. ©©

MIKOŁAJ Z WILKOWIECKA
„HISTORIA O CHWALEBNYM
ZMARTWYCHWSTANIU PAŃSKIM”
TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE
REŻYSERIA: JAROSŁAW GAJEWSKI
DRAMATURGIA: PATRYK KENCKI
OPRACOWANIE MUZYCZNE: MARIA
POMIANOWSKA
PREMIERA: 9 KWIEŹNIA 2022 R.



DODATEK SPECJALNY – część 12

Tęczowa rewolucja w kulturze

- Bez LGBT nie ma sztuki?
- Europejskie oblicze „tęczowej kultury”
- Kino najważniejszą ze sztuk?



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 9ab43e9c76



TOMASZ D. KOLANEK

WSTĘP

Superman, Supergirl, SuperLGBT?

Jakiś czas temu moja żona oglądała, i to dość regularnie, serial „Supergirl” – historię Kary Danvers, która przybyła na Ziemię z planety Krypton. Kara jest kuzynką Supermana i ma te same moce co on: ogromną siłę i szybkość, superwzrok i supersłuch, lodowy oddech, laser z oczu, potrafi latać etc. Razem z grupą przyjaciół oraz

bardziej ze skrótu LGBT pasuje do niej litera L czy B. Jak tłumaczyła mi żona – ileś odcinków wcześniej Alex rozstała się z inną kobietą, która była „miłością jej życia”, ale nie chciała mieć dzieci i bardzo długo dochodziła do siebie po tym zerwaniu. Gdy Alex nie do końca wyleczyła jeszcze złamane serce, nadarzyła się „okazja życia” – kobieta, która

Inny przykład: jeden z bohaterów przeniósł się setki lat w przyszłość, żeby coś sprawdzić. Jakie było pierwsze pytanie, które usłyszał, gdy wrócił do teraźniejszości? „Czy na Ziemi nie ma już dyskryminacji ze względu na płeć i rasizmu?”.

Dodam do tego wszystkiego, że serial kończy się lesbijskim ślubem, po czym nastaje sielanka i świat niemal idealny.

Serial „Supergirl” to tylko kropla w morzu propagandy LGBT, którą jesteśmy bombardowani przez największe ośrodki medialne, telewizyjne i kulturowe. Dzisiaj ze świecą szukać filmu, serialu, sztuki teatralnej, książki, wystawy, komiksu etc., w których nie ma ani jednej sceny, ani jednej wzmianki, ani jednej sugestii o „tęczowym podtekście”.

W przywołanym przeze mnie serialu pojawia się postać grana przez Nicole Maines, która ogłasza światu, że jest superbohaterką, a jej największą supermocą jest... transseksualizm.

W bestsellerowej książce Neila Gaimana pt. „Amerykańscy bogowie” czytelnicy są „uraczeni” opisem homoseksualnego stosunku mężczyzny z... dżinnem – arabskim bożkiem, który pod pozorem spełniania czyichś marzeń karmi się niczym wampir jego jestestwem.

Autorzy tego dodatku tygodnika „Do Rzeczy” pokazują więcej – jak i dlaczego agenda LGBT zdominowała współczesną kulturę na świecie i dlaczego nie zatrzymały jej ani pandemia koronawirusa, ani wojna na Ukrainie.

Życzę owocnej lektury! ©©

Autorzy tego dodatku „Do Rzeczy” pokazują, jak i dlaczego agenda LGBT zdominowała współczesną kulturę na świecie i dlaczego nie zatrzymały jej ani pandemia koronawirusa, ani wojna na Ukrainie

innych superbohaterów Supergirl pomaga ludziom i ratuje świat przed najróżniejszymi niebezpieczeństwami.

Nie wiem, czy trafiłem tak pechowo czy jestem przewrażliwiony, ale z niewinną opowieścią o superbohaterach miało to niewiele wspólnego. Mało tego: odniosłem wrażenie, że walka ze złem, które uosabiają czy to Lex Luthor, czy też Samantha, to tylko przykrywka dla czegoś zupełnie innego – promocji ideologii LGBT i ruchu Black Lives Matter.

W jednym z odcinków serialu Alex Danvers – „ziemska siostra” tytułowej bohaterki – odbiera telefon i dowiaduje się, że po wielu miesiącach oczekiwania w końcu będzie mogła adoptować dziecko. Alex to osoba, która bardzo długo nie wiedziała, jaka jest jej „orientacja seksualna” i czy

ma za trzy dni urodzić, nie chce dziecka! „Siostra” Supergirl musi zdecydować, czy chce je adoptować czy nie.

I tutaj się zaczyna: Alex bardzo chce adoptować, ale jest sama... Nie wie, co zrobić, nie wie, czy sobie poradzi... A co, jeśli dziecko będzie takie i takie... Na szczęście właśnie w tym odcinku poznaje inną kobietę, w której się zakochuje, i razem jadą po dziecko. Ostatecznie jednak Alex nie adoptuje dziecka, ponieważ... matka przed porodem rozmawiała z katolickim księdzem, który przekonał ją wraz z rodzicami, żeby go nie oddawała. Jakież był to dramat dla Alex i jej nowej towarzyszk: „zły” ksiądz odebrał im szansę na szczęście! U dwóch lesbijek żyłoby się takiemu dziecku jak pączkowi w maśle, ale niestety ksiądz wszystko udaremnił.

Niemal 60 lat temu bł. kard. Stefan Wyszyński w czasie rekolekcji wygłaszanych w Warszawie w sierpniu 1964 r. dla Instytutu Prymasowskiego nauczał, że „według wzoru Bożego powstają przez wieki miliony istnień ludzkich, które z przedziwną dokładnością odtwarzają odwieczny plan Boży w dziedzinie prokreacji. Oczywiście są pewne odchylenia od powszechnych norm naturalnego prawa, nazywamy je zboczeniami. Jednakże zasadniczy plan Boży w zakresie reprodukcji nowych istnień ludzkich jest przedziwnie dokładny i niezmienny”.

Przy tej samej okazji Prymas Tysiąclecia mówił też o wartości, jaką jest ustanowiona przez Stwórcę różnica między płciami: „Dzisiaj dużo mówi się o maskulinizacji współczesnych kobiet. Starają się one niekiedy zatrzeć cechy właściwe swojej istności, jak gdyby się ich wstydziły czy kępowały. W tym jest już jakaś nieprawda, sztuczność i nienaturalność. Bądźcie tym, czym zapragnął Was Stwórca w swojej przemądrej miłości i czym ustanowił Was w konkretnym czasie i miejscu, ze wszystkimi waszymi istotnymi cechami. Trzeba do nich stale nawiązywać i pozytywnie je rozwijać. To jest pole dla rzetelnej pracy osobistej. Nie wolno jednak przeprowadzać jakichś chirurgicznych zabiegów czy amputacji, aby się »przefasonować«, co kobiety współczesne, zwłaszcza te, które uważają się za postępowe, usiłują niekiedy czynić. I w naszej Ojczyźnie panował prąd maskulinizacji, zapożyczony ze stosunków anglo-francuskich. Gdy przeglądaliśmy stare fotografie i patrzymy na różne formy »przefasonowywania«, przynajmniej zewnętrznego, myślimy sobie: Jakże to wszystko zabawne. Jak śmiesznie wyglądają te panny z pękami krawatów pod szyją, w sztucznie wykrochmalonych kołnierzykach, sterczących po uszy. Dobrze się stało, że to wszystko przeminęło z wiatrem”.

Kiedy czytałem te słowa bł. Prymasa Tysiąclecia, nasunęły mi się dwie refleksje. Pierwsza: takie nauczanie byłoby niemożliwe w dzisiejszych czasach naznaczonych w moralnym nauczaniu Kościoła bezwzględna walka z „rygoryzmem” i niebiorącą jeńców „rewolucją miłosierdzia i czułości”, która wie, jak rozdzielić „suchą doktrynę” od „współczującego towarzyszenia”. Druga:

co by powiedział bł. kard. Wyszyński dzisiaj, gdy „przefasonowywanie” i „chirurgiczne amputacje” nie tylko dotyczą zmiany wyglądu, lecz także są wyrazem kulturowej rewolucji, która odrzuca niezmienną naturę ludzkiej ustanowionej przez Stwórcę.

„KOMUNIZM NIEOFICJALNY” W NATARCIU

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy prymas wypowiadał cytowane słowa, rozpoczął się zwycięski marsz przez instytucje świata zachodniego pokolenia, które chciało zrewolucjonizować świat, stosując recepty podane kilkadziesiąt

W oficjalnym, długomilowym, nas obowiązującym mówi się o przemianie świata przez przebudowę struktur gospodarczych, a tam się mówi zupełnie o czym innym – o przemianie człowieka. Jedni mówią: przemienimy człowieka, gdy przebudujemy całą bazę materialną, z której jak krokusy na halach z wypoczętej ziemi wyrosną piękne kwiaty: nowa kultura, nowa moralność i tak dalej. Inni mówią na odwrót – nie uda się realizować marksizmu, jeżeli się naprzód nie odmieni człowieka. [...] Tak uczy »nieoficjalny« komunizm marksistowski, w którym się dopełnia rewolucja młodych”.

Kultura i rewolucja



Grzegorz Kucharczyk

Zniszczenie „starego świata” miało się odbyć przez zrewolucjonizowanie świata kultury oraz wyrosłej z niej moralności

lat wcześniej przez Antonia Gramsciego i Wilhelma Reicha. Zniszczenie „starego świata” miało się odbyć przez zrewolucjonizowanie świata kultury oraz wyrosłej z niej moralności.

Błogosławiony kard. Wyszyński bardzo szybko dostrzegł ten marsz nowych rewolucjonistów i miał pełną świadomość, że jest to nowa odmiana starego komunizmu. Pod koniec kwietnia 1967 r. mówił o istnieniu „dwóch komunizmów – materialistycznego, oficjalnego i tego drugiego, nieoficjalnego: [...] Ciekawa rzecz, że w tym najbardziej oryginalnym »autentycznym« komunizmie ogłasza się prymat materii, a w tym drugim ogłasza się, na swój sposób rozumiany, prymat ducha.

Jeśli szukać odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że program rewolucji kulturowej (w naszych czasach najczęściej identyfikowany z „ideologią LGBT”) jest dzisiaj mainstreamem po obu stronach Atlantyku, można powiedzieć, że przyczyna leży w tym, iż zbyt mało hierarchów kościelnych było wyczulonych tak bardzo jak bł. prymas Polski na rozwój „nieoficjalnego komunizmu”, który zawładnął „rewolucją młodych” (pokolenie 1968 r.). Na naszych oczach potwierdza się stara prawda, że kondycja zachodniej cywilizacji jest warunkowana kondycją duchową oraz intelektualną Kościoła katolickiego – twórcy tej cywilizacji. Jeśli Kościół przeżywa kryzys, to źle się ma także



■ nasza cywilizacja. Ale czynne były (i są) też inne szatany.

HOMINTERN

W 1869 r. Fryderyk Engels pisał do Karola Marksa: „Pederastci zaczynają liczyć swoje szeregi i uważają, że stanowią siłę w państwie. Brakuje tylko zorganizowania, chociaż podobno istnieje już ono na sposób tajny. Guerre aux cons, paix aux trous – de – cul [wojna cipom, pokój odbytom] – oto obecne zawołanie. Całe szczęście, że my osobiście jesteśmy zbyt starzy, byśmy w razie zwycięstwa tej partii mieli się jeszcze obawiać, że każą nam ciałem płacić haracz zwycięzcom. [...] Ale poczekaj tylko, aż nowe północnoniemieckie ustawodawstwo karne uzna droit du cul [dosł. prawo

odbytu – stosunek homoseksualny], wówczas pójdzie całkiem inaczej. Nam biednym ludziom operującym frontalnie, z naszą dziecinną skłonnością do kobiet, niełatwo wówczas będzie żyć”.

Gdy 90 lat później ideowi uczniowie Marksa i Engelsa przejęli władzę na Kubie, jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobili po konfiskacie majątków zamożnych Kubańczyków i zaproszeniu na wyspę sowieckich „doradców” (wraz z rakietami), było założenie „obozów reedukacyjnych” dla „elementów klasowo niepewnych”. System kubańskich łagrów nadzorował towarzysz Che Guevara – do dzisiaj dla wielu ludzi na Zachodzie (od Mike’a Tysona do Angeliny Jolie) będący ikoną popkultury – szef bezpieczeństwa w reżimie Castro. Jako „elementy

podejrzane” kwalifikowano również homoseksualistów, których oskarżano o rozpowszechnianie „zdegenerowanej amerykańskiej kultury” albo wprost o działanie na rzecz CIA. Jeden z obozów był więc specjalnie przeznaczony dla pederastów. Napis umieszczony nad wejściem: „Praca uczyni was mężczyznami” ludzko przypominał inny obóz zlokalizowany na innej półkuli.

Ciekawe, czy towarzysz Che zostanie poddany w związku z tym procesowi „wygumkowania” („kancelowania”) ze zbiorowego imaginariusza nowej i najnowszej lewicy. Czy znikną tatuaże z jego podobizną z ramion wspomnianych gwiazd światowego boksu i Hollywood? Czy w końcu zrewidowane zostaną „zasługi”, które dla „postępowego świata” położył



FOT. JADRE STOCK

Fryderyk Engels? Przecież współtwórca tzw. socjalizmu naukowego nie tylko pogardliwie odnosił się do osób o „odmiennej tożsamości seksualnej”, lecz także był przekonany, że istnieje rozgałęziony spiszek, który ma na celu promowanie tego, co dzisiaj nazywa się „gejowską agendą”.

Engels nie jest „kancelowany”, ponieważ jego „zasługi” na rzecz promowania rewolucji kulturowej zostały docenione przez pokolenie idące tropem Gramsciego, Reicha i Spinellego. Jak pisze współczesny biograf autora „Traktatu o pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”, na tych i innych tego typu publikacjach najbliższego współpracownika Marksa „wychowały się całe pokolenia marksistowskich feministek. [...]”

Szkoła frankfurcka i jej kontynuatorzy poszli krok dalej, wskazując, że różnice między płciami to kwestia kultury, a nie ekonomii

Tym, co wiele feministek podziwiało u Engelsa, było jego podejście do różnic między płciami jako uwarunkowanych ekonomicznie, a nie zdeterminowanych biologicznie: patriarchyat był kolejnym wytworem burżuazyjnego społeczeństwa klasowego i oba należało znieść” (T. Hunt).

Szkoła frankfurcka i jej kontynuatorzy z kręgów „nieoficjalnego komunizmu”

poszli krok dalej, wskazując, że różnice między płciami to kwestia kultury, a nie ekonomii. Inny guru „rewolucji młodych” – Michel Foucault – słowem i czynem przekonywał, że najlepszą metodą wyrwania się z „oków systemu” jest oddawanie się perwersjom seksualnym.

ZMIANY W PRAWIE I W TOWARZYSTWACH NAUKOWYCH

Oscar Wilde na krótko przed tym, jak w 1895 r. trafił do angielskiego więzienia za praktykowanie pederastii, pisał w jednym ze swoich listów, że najważniejszą rzeczą z punktu widzenia dochodzenia do depenalizacji czynów homoseksualnych „nie tyle jest zmiana nastawienia opinii publicznej, ile nastawienia urzędników publicznych”.

■ Ci ostatni działają zaś w oparciu o przepisy prawa. Prawo zaś nie tylko reguluje zachowania społeczne (w tym urzędników), lecz także ma funkcję wychowawczą. Dla wielu ludzi to, że coś przestaje być zakazane i karalne, automatycznie oznacza, że jest właściwe, a nawet godne propagowania.

Jednym z dalekosiężnych skutków „rewolucji młodych” (rewolucja 1968 r.) była depenalizacja sodomii w latach 60. i 70. w większości krajów zachodnich. Równolegle szacowne gremia naukowe (medyczne) większością głosów – jak Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatryczne w 1973 r. – podejmowały decyzje o skreślaniu pederastii z listy schorzeń i mentalnych zaburzeń (mental disor-

„zboczeniem”, a z ambon ogłaszano „grzechem wołającym o pomstę do nieba”, jest „stylem życia” jak każdy inny, a tym, którzy go praktykują, należy się tolerancja. Przy czym to ostatnie słowo zaczęło w ostatnich trzech dekadach ubiegłego stulecia identyfikować coraz częściej z „szacunkiem” i „afirmacją”.

„DOBRY GEJ” W FILMIE

Jak wskazuje Gregory Woods, autor opublikowanej w 2016 r. książki „Homintern. Jak kultura gejowska wyzwoliła współczesny świat” (po tytule widać, że pisanej comme il faut), kluczową rolę w tym procesie „oswajania” zachodniej opinii publicznej odegrała tzw. kultura popularna. Jej

którzy nie wyciągnęli pomocnej dłoni do cierpiącego na HIV prawnika-geja.

W kolejnych 20 latach wypuszczono na rynek kolejne produkcje utrwalające wizerunek „dobrego geja” w różnych odcieniach (niezrozumiany, cierpiący, poszukujący, walczący o swoje prawa) – „Obywatel Milk”, „Moje Idaho” czy „Tajemnica Brokeback Mountain”.

Ten ostatni film wyprodukowany w 2005 r. i obsypany wszystkimi najważniejszymi nagrodami branży filmowej (w tym trzy Oscary) nie tylko odwoływał się do znanych wcześniej narracji, lecz także dołożył coś nowego. Bohaterami jest dwóch kowbojów, wprost wziętych z reklamy papierosów Marlboro. Uosobienie męskości nagle jawi się jako czuły gej. Kilkanaście lat przed cancel culture w ten sposób „dekodowano” świat amerykańskich symboli.

Przesadą byłoby twierdzić, że motywy „dobrego geja” jest wiodącym tematem w hollywoodzkich produkcjach. Próżno jednak w nich szukać innego konterfektu osób o homoseksualnej (czy jakiegolwiek innej z pokazniej listy sporządzonej przez WHO) orientacji. Nie znajdziemy tam geja psychopatycznego sadysty, nieudacznika, frustrata wyładowującego się na najbliższych. To wszystko od kilkudziesięciu lat jest zarezerwowane dla białych heteroseksualnych mężczyzn obsadzanych w hollywoodzkich filmach regularnie jako szanowani ojcowie i mężowie, a w rzeczywistości – mówiąc Witkacym – „ino ścierwo”.

CAŁE POKOLENIE INDOKTRYNACJI

Ponad 30 lat takiego kształtowania opinii publicznej musiało przynieść efekty. Dzisiaj nawet osoby i stronnictwa uważane za „skrajną, populistyczną prawicę” (np. Donald Trump czy Marine Le Pen) uważają za „trwałą zdobycz” legalizację tzw. małżeństw jedнопłciowych jako ukoronowanie starań o „równouprawnienie” ludzi LGBT. Równie wymowne są statystyki przytaczane przez Douglasa Murraya w jego książce „Szaństwo tłumów”, mówiące o tym, że w 1977 r. jedynie 10 proc. Amerykanów uważało, że ludzie rodzą się homoseksualistami. W 2015 r. wskaźnik ten wzrósł do 50 proc. Między 2001 a 2015 r. akceptacja Amerykanów dla zachowań homoseksualnych wzrosła z 40 do 63 proc. W tym samym czasie odsetek tych, którzy uważali ten „styl życia” za moralnie naganny, spadł z 53 do 34 proc.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ponad 30 lat kształtowania opinii publicznej musiało przynieść efekty. Dziś nawet osoby i stronnictwa uważane za „skrajną populistyczną prawicę” uważają za „trwałą zdobycz” legalizację tzw. małżeństw homopłciowych

ders). W 1992 r. taką decyzję podjęła również Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Komunikat był jasny: nauka przejrzała i zrewidowała swoje błędne twierdzenia i zupełnie nieważne było to, że za tymi decyzjami stały sfingowane badania „naukowe” w rodzaju raportów Alfreda Kinseya z lat 1948 i 1952.

HASŁA ROZTACZAJĄCE AURĘ PRYZWOITOŚCI

Podobna refleksja stała się udziałem świata zachodniej kultury, przez którego instytucje „pokolenie 1968 r.” dziarsko i bez przeszkód maszerowało w trzech ostatnich dekadach XX w. Kultura to przede wszystkim język, czyli słowo, które jest zawsze na początku. Jak pisał przed laty Gilbert K. Chesterton: „Ileż ktoś rozpoczyna wojnę przeciw temu, co normalni ludzie uznają za przyzwoite, tyleż ktoś pierwszy krok polega na tym, żeby ukuć hasło roztaczające aurę przyzwoitości”.

Takich hasła w odniesieniu do interesującego nas tematu było sporo. Równouprawnienie, emancypacja, tolerancja służyły do „oswajania” nie tylko urzędników, lecz także szerokich kręgów opinii publicznej na Zachodzie, że to, co przez lata w kodeksach karnych i podręcznikach medycyny nazywano

najbardziej wpływową instytucją było w całym XX w. Hollywood. W amerykańskiej fabryce marzeń środowisko gejów i lesbijek jeszcze przed drugą wojną światową było solidnie nadreprezentowane. To zdecydowanie ułatwiało zaangażowanie na rzecz promowania „tolerancji” dla odmiennych od normy „stylów życia”.

Pod koniec XX w. to Hollywood wykreowało „dobrego geja” – bohatera coraz liczniejszych produkcji filmowych, który był osobą wrażliwą, ciepłą, a mimo tych pozytywnych cech zmagającą się z nieprzyjaznym otoczeniem. Wybuch epidemii AIDS w latach 80. i fakt, że wirus HIV szczególnie mocno grasował w środowisku gejowskim, pozwoliły na odwoływanie się do motywu empatii dla bohatera niezrozumiałego i śmiertelnie chorego (ani słowem nie sugerowano nawet związku między „stylem życia” nieszczęślika a jego smutnym losem).

Prawdziwym game changerem pod tym względem była „Filadelfia” Jonathana Demme’a z 1993 r. Tom Hanks – odtwórca głównej roli – dostał Oscara, a piosenka „Streets of Philadelphia” Bruce’a Springsteena stała się światowym szlagierem. To dobrzy bohaterowie. Żli – to wszyscy ludzie (sugestywne przedstawienie w filmie) –



FOT. ADOBE STOCK

Europejskie oblicza „tęczowej kultury”



Bogdan Dobosz

Walec ideologii LGBT od lat rozjeżdża wiele norm społecznych i moralnych. Warto się zastanowić, na ile kraje stawiające tu jakikolwiek opór (Polska, Węgry) są rozjeżdżane na salonach unijnych właśnie z tego powodu. „Tęczowe” lobby ma już swoich przedstawicieli w rządach, ratuszach największych miast europejskich, europarlamencie, trybunałach, mediach, świecie celebrytów, nawet w Kościele. Już od dawna nie chodzi tu o jakąkolwiek „tolerancję”, ale o ekspansję i „ruszenie z posad bryły świata” w ramach rewolucji kulturowej

Sytuacje krytyczne, takie jak wojna na Ukrainie, pokazują nagle miałość budowanych przez lata „nowych wartości” i ideologiczne działania aktywistów „postępu”. Odsuwają na bok problemy, które przeważały do niedawna na unijnych salonach, a także język politycznej poprawności. Mamy niemal powrót do tradycyjnych przymiotów cywilizacji, jak np. męstwo, bohaterstwo, umiłowanie ojczyzny. Intelktualne konstrukcje, które miały je zastąpić – jak globalna ochrona klimatu, walka z patriarchalnym systemem społecznym czy troska o prawa mniejszości seksualnych – zostają odsunięte w cień. ■

■ Wielu aktywistów czuje się tu niemal zagubionych.

Działają tu jednak pewna siła inercji i szukanie „bohaterów”, którzy mogliby połączyć walący się nagle świat idei progresywizmu z nowymi wyzwaniem. Kiedy na Ukrainie ginęły dzieci, bohaterką mediów we Francji stała się np. rosyjska dziennikarka Owsiannikowa, która pokazała się z antywojenną planszą na Kanale Pierwszym publicznej telewizji rosyjskiej. Okrzyknięto ją „egerią walki o pokój”. „Ochronę konsularną” zaproponował jej sam prezydent Emmanuel Macron, a w jej obronie stanęła jego małżonka Brigitte, którą z kolei do pomocy dzieciom na Ukrainie musiała przywołać dopiero pierwsza dama Polski.

Nie jest to odosobniony przypadek próby kreacji nowych „bohaterów”, którzy połączyliby zmieniające się czasy z wcześniejszymi „postępowymi” imponderabiliami. W Belgii media publiczne zachwycaly się „bohaterstwem” pani Swietłany Krakowskiej, szefowej ukraińskiej delegacji na obrady IPCC (Międzynarodowy Zespół ds. Zmian Klimatu). Krakowska pozostała w Kijowie, co rzeczywiście jest rodzajem bohaterstwa. Nie o to jednak chodziło RTBF, ale o fakt, że dla tej Ukrainki wojna w jej kraju zatrzymała „wojnę o klimat”.

Stwierdziła: „Byłam zła, oczywiście byłam zła na wszystko, przede wszystkim dlatego, że mój kraj został zaatakowany, ale oczywiście także jako klimatolog, ponieważ zrozumiałem, że to opóźni wszelkie działania klimatyczne, takie jak ograniczanie emisji czy adaptacja energii odnawialnych, [...] wszystkie nasze plany zostały zrujnowane w ciągu minuty”. Belgijskie media cytowały też opinię Gonériego Le Cozanneta specjalisty nauk o Ziemi i współautora raportów IPCC. Ten też obawiał się przede wszystkim tego, że „kryzys może ostatecznie stanowić wymówkę do odroczenia działań na rzecz klimatu”.

Zagubienie tzw. elit dotyczyło nie tylko upadku idei pacyfistycznych „społeczeństw otwartych”, klimatyizmu, lecz także ideologii LGBTQ+. Szukano więc odpowiedniego „bohatera” spod znaku jakiejś literki ze skrótu LGBT. W Internecie pojawiły się np. zdjęcia homoseksualnego „queer”, specjalisty od „tańca na rurze”, które zestawiono z jego zdjęciem już w mundurze armii ukraińskiej. Kolportowano też informację, że rosyjscy żołnierze, którzy wpadli do jakiejś piwni-

cy w okolicach Kijowa, gdzie zbierali się geje, zostali przez nich... rozbrojeni.

FAŁSZYWE OFIARY WOJNY, CZYLI KLĘSKA PROPAGANDY LGBT

Inny przykład propagandowego zagubienia wytęsknionych do politycznej poprawności mediów dotyczy surrogacji, z której na Ukrainie korzystało wiele par homoseksualnych. Na początku wojny w mediach pojawiały się reportaże z „problemów” ludzi wykorzystujących tzw. macierzyństwo zastępcze w tym kraju. Ten sam temat pojawił się już w czasie pandemii koronawirusa, kiedy to np. „rodzice” z Europy dokonujący zakupów dzieci w USA zostali odcięci od tej możliwości. Wówczas mogło to jeszcze rodzić współczucie. Ten sam temat podjęto i teraz.

W czasie, gdy Ukraina ponosiła setki ofiar, zajmowano się „nieszczęściami” par, które nie mogły odebrać z klinik Kijowa zamówionych dzieci. We Francji pisano o „szczęśliwym zakończeniu” historii pięciu argentyńskich par, którym udało się opuścić z zakupionymi dziećmi walczącą już Ukrainę. Padły jednak pytania o los biologicznych matek pozostawionych w tym kraju. Tym razem zamiast współczucia reportaże tego typu wywołały oburzenie.

Francuska organizacja pro-life Manifa dla Wszystkich uznawała opisywanie problemów „klientów” firm zajmujących się biznesem surrogacji w czasach, gdy Ukraina płonie, za wyjątkowy cynizm. Jej prezes Ludovine de La Rochère mówiła: „Ból narodu ukraińskiego brzmi w naszych sercach tym mocniej, że nikczemny i nieludzki interes »macierzyństwa zastępczego« pokazał pogardę wobec kobiet-surogatek”. Pisała też o tym na łamach „Le Figaro” Céline Revel-Dumas: „W czasie potworności wojny macierzyństwo zastępcze ujawniło swoje prawdziwe oblicze, to szalony komercyjny oportunizm i ślepy egoizm. Gdy świat widzi Ukraińców stawiających opór rosyjskiemu najeźdźcy, gdy Kijów jest oblegany przez czołgi, gdy cywile uciekają lub chowają się w prowizorycznych schronach, pojawiają się na antenie TV BFM dwie Francuzki, które na Ukrainie oczekują na narodziny dzieci przez surrogatki i żądają, by państwo pomogło im w realizacji jak najszybszej repatriacji »ich dziecka«. [...] Nieprzyzwoitość”.

Ta para pań zaproszonych do francuskiej TV mówiła to, co zawsze. Zgodnie

z kanonem politpoprawności lesbijki wykazały się nawet dozą empatii i mówiły, że myślą także „o wszystkich Francuzach, o wszystkich mamach i tatusiach, którzy są we Francji, a za kilka dni urodzą się im dzieci i nie będą w stanie ich odebrać”...

Jednak tym razem zamiast współczucia pojawiły się niesmak i głosy oburzenia. Dwie stacje TV, które we Francji wykazywały w środku wojny akurat „troskę” o handel dziećmi (BFM i LCI), spotkały się ze społeczną krytyką. Rzeczywiście, w czasach, gdy zastanawiamy się nad „etycznością” kupowania rosyjskich ropy i węgla, zamożne pary z Zachodu z obsesją na punkcie własnych potrzeb i z egoistycznymi zachciankami nie są wcale lepsze od rosyjskich oligarchów...

EKSPERYMENTY LEWICY

Dość ekstremalna sytuacja wojny zakwestionowała, a przynajmniej zepchnęła chwilowo na margines, trwające od dziesięcioleci „postępy” ideologii LGBTQ. Jej aktywiści do tej pory twierdzą, że chodzi tu o „ludzi”, a nie o „ideologię”, ale już od dawna nie jest to żadna sfera ludzkiej prywatności, ale spirala rozmaitych rewindykacji niosących konkretne skutki społeczne i konsekwencje przede wszystkim dla instytucji rodziny. Mamy tu globalne scenariusze działań powtarzające się niemal we wszystkich krajach i różniące się tylko poziomem ich „etapowania”.

Taka ekspansja dotyczy bardzo różnych sfer – polityki, sądownictwa, organizacji międzynarodowych, oświaty, sportu, kina, mediów, ekonomii, biznesu. Chociaż kolebką LGBT są Stany Zjednoczone, to źródła tej ideologii tkwią w Europie i neomarksizmie kulturowym. Dobrym przykładem jest tu Francja, gdzie następowało przechodzenie od komunizmu, trockizmu, anarchizmu czy anarchosyndykalizmu do nowych form wdrażania neomarksizmu kulturowego, lewicowej postpolityki, feminizmu, genderyzmu itd.

Zacytujmy tu historyka i publicystę Jeana Sévillie, który w swojej książce pt. „Terroryzm intelektualny od 1945 r. do naszych dni” doskonale opisuje to zjawisko. Wspomina „kawiarnianych myślicieli” z lewego brzegu Sekwany, którzy byli dowodem na to, że „słowa mogą zabijać”, elity, które wchodziły w związki z każdą kolejną modną teorią: „W 1945 r. nauczali, że Związek Sowiecki jest rajem, i redago-

wali poematy na cześć Stalina. W 1960 r. utrzymywali, że dekolonizacja cudownie rozwiąże wszystkie problemy krajów zamorskich. W 1965 r. kłaniali się przed sprawiedliwą walką Fidela Castro, Ho Chi Minha i Mao. W 1968 r. proklamowali narodziny zniesienia wszystkich sprzeczności. W 1975 r. radowali się z dojścia do władzy w Kambodży Pol Pota. Po 1981 r. wierzyli, że nastąpi przejście z epoki nocy w epokę światła. Od 1985 r. byli za znoszeniem granic i przyjmowaniem nieszczęśników ze świata zewnętrznego. W 1992 r. ogłosili śmierć państw narodowych i dostrzegli w UE nową erę historii ludzkości. W 1999 r. twierdzili, że rodzina i moralność to już konstrukcje schyłkowe.

I tak weszliśmy w XXI w., gdzie pewne otrzeźwienie musiała przynieść dopiero kolejna wojna w Europie.

GLOBALNE SCENARIUSZE LGBT-IZMU

Początkiem wszystkich tego typu działań były zawsze hasła „tolerancji”, „zakazu wykluczania”, „inkluzywności”. Kończą się jednak już coraz częściej agresją wobec każdego myślącego inaczej, bo okazuje się, że nie ma „tolerancji dla osób nietolerancyjnych”. Wcześniej jednak społeczeństwa są poddawane zjawisku tzw. etapowania i metody są wszędzie podobne. Warto się przyjrzeć sprawie „małżeństw homoseksualnych” na przykładzie Francji.

Zaczął się od „niewinnych” postulatów prawa do odwiedzin partnera w szpitalu, prawa do dziedziczenia, posiadania wspólnego konta w banku itp. Takie postulaty dały alibi do wprowadzenia we Francji za rządów socjalisty Lionela Jospina w 1999 r. tzw. związków cywilnych solidarności (PACS). Był to rodzaj konkubinatu, otwartego także dla par jedнопłciowych. Miało to spełnić postulaty „tęczowego” środowiska raz na zawsze. Efekt był jednak przeciwny do zamierzonego.

PACS-y zdemolowały przede wszystkim instytucję małżeństwa. Parom heteroseksualnym konkubinatu zastąpił z wielu względów normalne śluby, których liczba zaczęła od tego czasu maleć.

Parom homoseksualnym, po pierwszym boomer publicznego „pacsowania” się, konkubinatu przestał już wystarczać. Nastąpił więc etap drugi. Żądanie udostępnienia homoseksualistom instytucji małżeństwa.

Żądanie jedнопłciowych ślubów cywilnych zrealizowano za rządów

kolejnego socjalisty, prezydenta François Hollande’a w roku 2013. Ustawa miała nazwę „małżeństw dla wszystkich” (warto tu zwrócić uwagę na sposoby manipulowania znaczeniami języka, czego przykładem może też być eutanazja, nazywana ostatnio we Francji „umową obywatelską o końcu życia” czy „prawem do godnej śmierci”). To już miało naprawdę zakończyć rewindykację lobby LGBT. Znaczna większość Francuzów jako barierę nie do przekroczenia widziała bowiem szlak posiadania przez „homomałżeństwa” dzieci.

Wystarczyło kilka lat „obróbki” medialnej, pojawienie się grających na emocjach filmów, reportaży, a za nimi sondaży, które już były coraz mniej kategoriyczne, i za rządów prezydenta Macrona lobby LGTB załatwiło sobie także prawo do posiadania dzieci. Na razie dotyczy to par lesbijskich („in vitro dla wszystkich”), ale już pojawił się front walki o „równość wszystkich małżeństw” i w ramach „walki o prawa LGTB” pojawia się żądanie legalizacji wynajmowania sobie do rodzenia dzieci surogatek przez pary homoseksualne (tzw. GPA). To już tylko kwestia kolejnego „etapowania”, chociaż prezydent Macron w swoim programie wyborczym taki postulat odrzucił, wiedząc, że jego rodacy nie są jeszcze do tego odpowiednio „przygotowani”. Ten walec nigdy się nie zatrzymuje...

IDEOLOGIZACJA MŁODYCH

Francuski dziennik „Le Figaro” opublikował niedawno serię artykułów o lewicowej ideologizacji młodzieży, która syczy się przez szeroko pojętą kulturę popularną (celebryci), sport, ofensywę na uniwersytetach. Chodziło o różne koncepcje antyrasizmu, dekolonializmu, klimatyizmu, a także ideologii LGBT+. Szkoła, która we Francji spełniała zawsze funkcje integracyjne, zamiast nauki historii, patriotyzmu, formacji obywatelskiej serwuje obecnie uczniom idee „różnorodności”, „inkluzywności mniejszości seksualnych”, „dekonstrukcji historii”. Lewicowe samorządy wydają instrukcje o „genderowych przestrzeniach otoczenia szkoły”, zezwolono na fanaberie uznawania dowolnej tożsamości płciowej uczniów, a nawet zaczęto likwidować podziały na toalety dla dziewczynek i chłopców czy likwidować „stygmatyzujące” pisuary.

Wychowanie w coraz mocniej zideologizowanej szkole wspierane jest podob-

nymi tezami obecnymi w kulturze popularnej (celebryci), Internecie, oficjalnych mediach, a nawet sporcie. „Le Figaro” opisywał zjawisko „francuskiego sportu pożeranego dziś przez współczesnego wirusa, jakim jest poprawność polityczna”. Sportowiec musi włożyć kostium „obywatela świata, ekoodpowiedzialności, zwolennika sprawiedliwości społecznej”. Ciekawostką jest, że np. „oduraczanie tęczowe” w tej domenie rozpoczęło od kojarzonego z „męskością”... rugby.

Metodą przyjęcia zasad politpoprawności są np. pieniądze. W przeszłości zyski finansowe były dzielone między zwycięzców, zgodnie z kryteriami czysto sportowymi, ale pojawiły się już inne aspekty – stwierdza „Le Figaro”. Wymaga się dodatkowo zaangażowania w komunikację społeczną umiejętnie sprofilowaną wokół pozornie pozytywnych tematów moralności, etyki i cnót wszelakich. Za treścią tych „cnót” stoją jednak konkretne projekty, w tym wsparcie dla różnych „mniejszości”. To już niemal warunek sponsoringu. „Le Figaro” pisał o „zmianie DNA sportowego bohatera”.

Można tu przypomnieć prowokacyjną okładkę gazety sportowej „L’Équipe” z całującymi się waterpolistami, która miała uczcić jakieś tam dni LGBT. „Le Figaro” twierdził nawet, że mamy tu do czynienia z „przekazem podprogowym, zgodnie z którym francuski sport jest ostatnią pozostałością starego świata, bastionem patriarchy i białych przywilejów, które muszą zostać wykastrowane i zdekonstruowane, aby odbudować bardziej sprawiedliwą, bardziej inkluzywną, wielokulturową i równościową Francję”.

W mniejszym lub większym stopniu podobna ideologizacja przez uniwersytety, szkoły, rozrywkę, modę, film, reklamę, globalne firmy ma miejsce we wszystkich krajach Europy. Tam, gdzie istnieje opór władzy ustawodawczej, wspierają ją władza sądownicza czy międzynarodowe organizacje i ich konwencje. Francuska filozof Chantal Delsol zwróciła uwagę, że takie procesy przyspieszają, a zmiany cywilizacyjne we Francji, które zajęły miejscowej lewicy długie lata, już np. w katolickiej Polsce przeszczepiono niemal błyskawicznie. Unia, do której należymy, to już niestety system naczyń połączonych ideologii. Być może przerażający aspekt wojny w tejsze Europy owe „postępowe” przepływy jednak zatrzyma i przywróci choćby podstawy aksjologicznej hierarchii.



Bez LGBT nie ma



Piotr Włoczyk

Aktywiści LGBT zyskali ogromny wpływ na kształt kultury masowej na Zachodzie. Największe firmy z tego sektora zrobią niemal wszystko, by zaskarbić sobie ich sympatię

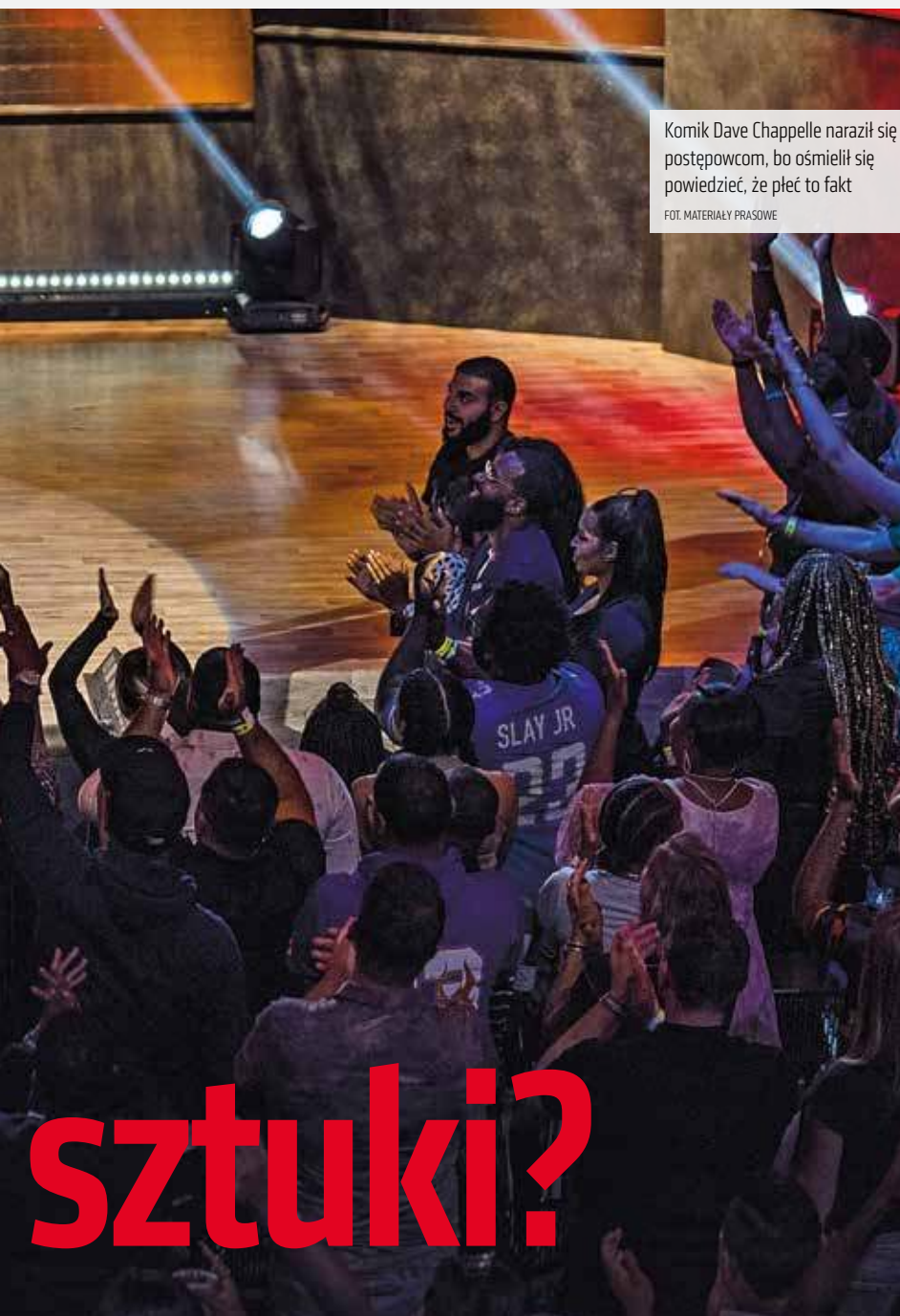
Płeć to fakt. Każda osoba w tym pokoju, każda osoba na Ziemi musiała przejść między nogami kobiety, by znaleźć się na Ziemi. To fakt – te słowa wystarczyły, by Dave Chappelle, słynny amerykański komik, znalazł się w samym centrum politoprawnościowego cyklonu, który unaoczniał, jak brutalnie amerykańska lewica stara się zadekretować postulaty ruchu LGBT.

Żart na temat osób próbujących „zmienić” płeć padł jesienią zeszłego roku w programie Chappelle’a pt. „The Closer”, emitowanym na platformie

Netflix. Sam komik oczywiście nie ma nic wspólnego z prawicą. Chappelle śmieje się dokładnie ze wszystkiego, również z domniemyanych przywar czarnych Amerykanów (sam jest czarnoskóry). Już wcześniej dał się we znaki tęczowym aktywistom, gdy zażartował, że obecnie w USA największą możliwą zbrodnią jest sprawienie, że osoba homoseksualna może się poczuć nieswojo.

CZERWONA GRANICA

Stwierdzenie „płeć to fakt” okazało się jednak przekroczeniem czerwonej linii.



Komik Dave Chappelle naraził się postępowcom, bo ośmielił się powiedzieć, że płeć to fakt

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kierownictwo Netflixa zostało dosłownie zalane żądaniami natychmiastowego wyrzucenia Chappelle'a z platformy. Wyglądało wręcz na to, że na kilka tygodni aktywiści LGBT skupili się głównie na próbie przymuszenia platformy streamingowej do potępienia komika i kompletnego odcięcia się od niego.

NOWY KAGANIEC

– Właśnie problem transseksualizmu jest dziś najważniejszy dla heroldów „postępu” – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” John-Henry Westen, katolicki publicysta, redaktor naczelny amerykańskiego portalu Life Site News. – Tematy gejowsko-lesbijsko-biseksualne są już „zgrane”, odkąd przeforsowano „małżeństwa” homoseksualne. Nie ma w nich już tak dużo „paliwa” do angażowania uwagi społeczeństw. Tymczasem „zmiana płci” to wciąż względnie nowa rzecz, szokująca, wzbudzająca dyskusje. Transseksualizm daje też dużo więcej możliwości do nakładania kagańca na ludzi, którzy nie życzą sobie rewolucji społecznej.

Westen podkreśla, że w takich działaniach chodzi o zmianę języka. – Jest to niewątpliwie zabójcze dla kultury, ponieważ język w ogromnej mierze ją determinuje. To taktyka rodem z podręcznika komunistycznych rewolucjonistów: przymusić ludzi do mówienia oczywistych nieprawd w stylu „wojna to pokój” lub do zwracania się do mężczyzny w sukience per „ona”. Powtarzane w kółko kłamstwa niszczą społeczeństwa. Tak działał komunizm, tak też działa mechanizm obecnej rewolucji. Na razie litera „T” jest zdecydowanie najważniejsza w alfabecie LGBT – mówi John-Henry Westen.

Centrala Netflixa błyskawicznie pokazała się za opublikowanie „transfobicznego” żartu Chappelle'a, podkreślając, że rozumie, iż te słowa zabrały wiele osób. Standardowym narzędziem ratowania reputacji w takich sytuacjach stała się obietnica uwzględnienia postulatów LGBT w polityce firmy i przeszkolenie pod tym kątem pracowników. I tak też się stało w tym przypadku.

Dodatkowo kierownictwo firmy podkreślało, jak mogło, że Netflix jest sojusznikiem środowiska LGBT, i powołało się na liczne swoje produkcje, w których afirmowane są przeróżne mniejszości. Rzeczywiście, wpisując „LGBT” w wyszukiwarkę Netflix, otrzymujemy bardzo pokaźny katalog filmów i seriali z tą

Wszystkie najważniejsze organizacje LGBT w USA zaczęły naciskać na Netflix, by pozbył się swojej gwiazdy. Dodatkowo pracownicy tej platformy streamingowej zorganizowali strajk, przekonując, że żartowanie ze „zmiany płci” może spowodować... wybuch agresji wobec osób transpłciowych. W trakcie protestu pracownicy Netflix'a twierdzili, że tolerowanie takich kpín prowadzi do pogorszenia ich poczucia bezpieczeństwa w pracy.

Magazyn „Forbes” uderzył w te same tony, relacjonując skandal wokół żartów Chappelle'a: „Kiedy jego publiczność

się śmiała, społeczność LGBTQ ze łzami w oczach patrzyła na wiadomości na temat najnowszych zabójstw transpłciowych Amerykanów”.

Swoją drogą, statystyki na temat zabójstw osób z zaburzoną identyfikacją płciową są bardzo dowolnie interpretowane przez aktywistów LGBT. Dziesiątki ofiar rocznie (w samej Ameryce) wyglądają niepokojąco, ale ciężko rozróżnić zabitych ze zwykłej nienawiści z powodu odmienności i tych, którzy zostali zamordowani w zupełnie innych okolicznościach.

■ tematyką w roli głównej. Kierownictwo platformy szczególnie podkreślało znaczenie bardzo popularnego serialu „Sex Education”, opowiadającego o tym, jak nastolatki odkrywają wszelkie możliwe aspekty seksualności, wliczając w to całe spektrum kolorów tęczy (Netflix malował w polskich miastach wielkie murale promujące „Sex Education”).

Chappelle powtarzał jednak, że nie ma za co przepraszać i – choć może spotkać się z ludźmi, którzy poczuli się dotknięci jego żartami o transpłciowości – aktywiści LGBT nie powinni zbyt wiele oczekiwać od niego po takim spotkaniu. „Nie ugnę się przed żądaniami” – zapowiedział komik. I dodał: „Słyszcie, co do mnie mówicie, oj, uwierzcie mi, że dobrze to słyszę. Jakże mógłbym nie zwrócić na to uwagi? Mówicie, że chcecie bezpiecznego środowiska pracy w Netflixie. Ale wygląda na to, że to ja jestem jedynym człowiekiem, który nie może iść normalnie do roboty”.

Kierownictwo Netflixu robiło karkołomne szpagaty, próbując ukoić gniew tęczyowych lobbystów, i deklarowało, że stoi po ich stronie, by mimo wszystko nie odcinać się ostatecznie od swojej gwiazdy. W kolejnych tygodniach i miesiącach aktywiści LGBT nagłaśniali wszelkie przypadki kontaktu między szefami Netflixu a Chappelle’em, piętnując m.in. sytuację, gdy prezes Netflixu Ted Sarandos podawał rękę komikowi podczas uroczystych gali amerykańskiej branży filmowej. Ewidentnie ich zdaniem Chappelle stał się ideologicznie trędowaty.

Akurat tym razem szalenie popularny gwiazdor, który znalazł się na celowniku LGBT, przetrwał nagonkę (na razie), ale – jak podkreśla John-Henry Westen – szeroko pojęte Hollywood coraz częściej jest w stanie ulec nawet najbardziej absurdalnym naciskom tęczyowych aktywistów, byleby tylko sprostać wyśrubowanym normom ich politpoprawności.

– W niektórych przypadkach narzucenie poglądów jest ważniejsze od samego biznesu. To w istocie coś na kształt religii. Ci ludzie wiedzą też, że mogą liczyć na siebie nawzajem w forsowaniu tych skrajnie lewicowych postulatów. Hollywood do mistrzostwa opanowało technikę miażdżenia wolności – mówi John-Henry Westen. – Nie jest już tajemnicą, że rządząca tam klika narzuca treści pro-LGBT niemal w każdej nowej produkcji, która stamtąd wychodzi. Weźmy choćby „Impersonalnych” (ang. „Per-

J.K. Rowling po raz pierwszy podpadła aktywistom LGBT w 2020 r., gdy stwierdziła po prostu, że płeć jest czymś stałym, niepodlegającym wyborowi człowieka

son of Interest”), szalenie popularny serial, w którym grał m.in. Jim Caviezel (w 2004 r. wcielił się w rolę Jezusa Chrystusa w „Pasji” Mela Gibsona). Otóż okazało się, że jego twórcy zostali zmuszeni, by dodać homoseksualną postać... Tę zależność widzi chyba każdy, kto śledzi to, co wychodzi z Hollywood.

SKASOWANA ROWLING

Postać Chappelle’a łączy się w tym kontekście z J.K. Rowling, autorką serii książek o „Harrym Potterze”, która obecnie jest bodaj najbardziej znaną ofiarą nagonki aktywistów LGBT.

„Wygumkowali J.K. Rowling. A ona tylko powiedziała, że płeć to fakt. Środowisko trans wściekło się jak cholera, zaczęli wyzywać ją od »TERF-ów«. A w sumie ja sam należę do drużyny »TERF« – mówił Dave Chappelle w październiku zeszłego roku podczas jednego ze swoich stand-upów.

Skrótowiec TERF oznacza Trans-Exclusionary Radical Feminist (Trans-Wykluczająca Radykalna Feministka). Aktywiści LGBT ukuli taki termin wobec tych feministek, które nie godzą się na pomysł, że płeć jest kwestią płynną.

Rowling po raz pierwszy podpadła aktywistom LGBT w 2020 r., gdy stwierdziła po prostu, że płeć jest czymś stałym, niepodlegającym wyborowi człowieka. Dla pełnej jasności – Rowling to feministka, która promuje najważniejsze postulaty tego ruchu, wliczając w to wolną aborcję, ale akurat w kwestii płci uważa, że mężczyźni nie mogą przekraczać granicy między płciami (to głównie w tę stronę skierowana jest jej krytyka. Rowling uważa po prostu, że obecność biologicznych mężczyzn w miejscach zarezerwowanych jedynie dla kobiet zagraża tym ostatnim).

Autorka „Harry’ego Pottera” była coraz bardziej napiętnowana przez lewicę na Zachodzie, aż w końcu w zeszłym roku show-biznes, który wcześniej tak bardzo ją uwielbiał (i tyle jej zawdzięcza), kompletnie się od niej odciął. Najbardziej widomą oznaką tego było

wygumkowanie jej ze specjalnego programu nagranego na 20-lecie premiery pierwszej części tego hollywoodzkiego hitu. Wyglądało na to, że Rowling nigdy nie istniała, a dodatkowo niemal cała obsada filmu (na czele z samym filmowym Harrym) w ostrych słowach potępiła brytyjską autorkę.

– Chodzi o to, żeby wszyscy dokoła to uznali i „celebrowali”. I dlatego ta rewolucja jest tak agresywna i zmierza do przymuszania ludzi do uległości wobec mainstreamu – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” Sohrab Ahmari, amerykański konserwatywny publicysta z magazynu „Catholic Herald”. – Dla liberalnych elit tematyka LGBT ma status parareligijny. Jeżeli już ktoś narzeka na nachalną promocję tej ideologii, to robi to tak cicho, że nic nie słychać. Dla tego segmentu amerykańskiego społeczeństwa tęczyowa flaga jest już właściwie ważniejsza od amerykańskiej flagi. Ta ostatnia to dla nich coraz częściej symbol opresji. Jak widać, jesteście w środku gwałtownej rewolucji kulturowej. Pytanie tylko, czy to wszystko jest wypaczeniem oryginalnego liberalizmu.

Zdaniem Ahmariego zmiany te nie są wcale zaprzeczeniem liberalizmu, ale jego naturalną konsekwencją. – Jestem tu po stronie polskiego filozofa prof. Ryszarda Legutki, który twierdzi, że walka z Kościołem, z naturą kobiety i mężczyzny stworzonych na podobieństwo Boga to właśnie konsekwencja liberalizmu – mówi Ahmari. – Jeżeli dziś wynosimy na piedestał ludzką autonomię, to nie wystarczy samo ogłoszenie, że mężczyzna uważa się za kobietę. To zdecydowanie za mało. Chodzi o to, żeby wszyscy dokoła to uznali i „celebrowali”. I dlatego ta rewolucja jest tak agresywna i zmierza do przymuszania ludzi do uległości wobec mainstreamu.

Zmianom w kulturze masowej na Zachodzie z niepokojem przygląda się Walt Heyer, amerykański działacz na rzecz ucywilizowania leczenia zaburzeń tożsamości płciowej, człowiek, który sam padł ofiarą ruchu transpłciowego. Heyer

w latach 90. uwierzył, że operacja „zmiany płci” będzie najlepszą odpowiedzią na jego problemy z identyfikacją płciową, i zdecydował się – za namową lekarzy-aktywistów LGBT – okaleczyć swoje ciało. Po latach, gdy zrozumiał, że jedynie profesjonalna pomoc psychiatryczna jest w stanie wyeliminować źródło jego problemów, postanowił wrócić (na ile to było możliwe) do swojej naturalnej postaci. Od lat przestrzega podobnie zagubionych ludzi, że forsowana przez mainstream narracja o wspaniałych skutkach interwencji chirurgicznej to droga donikąd. Heyer alarmuje przy tym, że kultura masowa wyrządza ogromną krzywdę młodym ludziom, którzy zamiast skorzystać z prawdziwej pomocy, pochopnie wchodzą na drogę polecaną przez aktywistów ruchu transpłciowego.

– Na końcu tej drogi jest jeszcze więcej samobójstw. Ludzie z zaburzeniami psychicznymi, którzy uważają, że są zamknięci w „złej płci”, nie mają się gdzie zgłosić po prawdziwą pomoc, bo wmawia się im, że to przecież nie wynika z zaburzeń psychicznych, że „zmiana płci” to normalna procedura medyczna – powiedział Walt Heyer w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Często piszą do mnie ofiary operacji „zmiany płci”, które myślały o samobójstwie. Ideolodzy LGBT to grupa świętych manipulatorów. Mamy tu jeszcze oczywiście wielkie pieniądze George’a Sorosa, który finansuje całą tę lewacką rewolucję społeczną i napędza modę na traktowanie tego wszystkiego jako rzeczy zupełnie naturalnej. Chcę dać ludziom nadzieję na odzyskanie życia. Wspieram ich psychicznie, pokazuję, że nie są z tym wszystkim sami, że nie tylko oni dali się zwieść zgubnej ideologii LGBT. Zachęcam ich, żeby zwrócili się po pomoc do dobrych specjalistów, którzy pomogą im odzyskać zdrowie psychiczne. A wtedy wszystkie problemy z identyfikacją płciową nagle znikają... Oczywiście najlepiej, jeżeli do wyleczenia dojdzie przed okaleczającą operacją, a nie po niej. W mojej ostatniej książce pt. „Trans Life Survivors” opisałem historie ludzi, którzy przez to wszystko przeszli i przezwyciężyli swoje problemy. Z tego naprawdę da się wyjść, tylko trzeba przestać słuchać aktywistów LGBT.

HETEROCEZURA W OSCARACH

Miarą przejścia Hollywood przez skrajną lewicę spod sztandaru LGBT są nowe zasady przyznawania Oscarów,

które ogłoszono w 2020 r. Aby zwiększyć „różnorodność” w amerykańskim przemśle filmowym, zrzeszenie twórców filmów zadekretowało, że film, w którym będzie zbyt dużo białych heteroseksualnych postaci, nie będzie miał szans na nagrodę. Celem jest nie tylko wybić wątków LGBT, lecz także pokazywanie jak największej liczby postaci reprezentujących mniejszości etniczne. Nawiasem mówiąc, nowe zasady to efekt skutecznej kampanii koalicji połączonych sił: Black Lives Matter oraz aktywistów LGBT. Wielokrotnie już ten sojusz dawał znać o swojej sile, żądając daleko idących zmian nie tylko w sektorze prywatnym, lecz także m.in. w amerykańskiej armii (efektem jest afirmacja historii „tęczowych” żołnierzy, a także wprowadzenie specjalnych pogadanek z żołnierzami na temat problemu „toksycznej białości”).

Miarą przejścia Hollywood przez lewicę spod sztandaru LGBT są nowe zasady przyznawania Oscarów. Zrzeszenie twórców filmów zadekretowało, że obraz, w którym będzie zbyt dużo białych heteroseksualnych postaci, nie będzie miał szans na nagrodę

Walt Heyer przestrzega przede wszystkim przed zagrożeniami dla najmłodszych, nawet kilkuletnich dzieci. Część rodziców bowiem, szczególnie tych, którzy obracają się w najbardziej liberalnych kręgach i są szczególnie podatni na miękkie działanie przekazu ruchu transpłciowego, może błędnie odczytać sygnały płynące od ich pociech.

– To szaleństwo narasta, bo niestety zaczyna to być modą. W najbardziej „postępowych” kręgach naszego społeczeństwa, jeżeli rodzic mówi swoim znajomym, że jego dziecko jest najprawdopodobniej transpłciowe, to jest to – choć ciężko w to uwierzyć – uznawane za objaw mądrości – mówi Walt Heyer. – „To ci mądrzy, otwarci rodzice, którzy zauważyli, że ich syn to tak naprawdę dziewczynka, i pozwalają dziecku podążać w kierunku wolności”. Jeżeli dasz dziecku klapsa, to przyjedzie do twojego domu policja i może się to skończyć aresztem. Ale jeżeli pozwolisz okaleczyć swoje własne dziecko, to jesteś uznawany – na szczęście nie wszędzie – za wspaniałego i tolerancyjnego rodzica.

Na niepokojące trendy w kulturze masowej, ugruntowujące fałszywe

przekonanie o charakterze tożsamości płciowej, zwraca też uwagę Ryan T. Anderson, amerykański filozof, szef waszyngtońskiego think tanku Ethics and Public Policy Center. „Kiedy Harry stał się Sally. Przemyślenia w czasach transpłciowości” to książka Andersona, którą od momentu wydania niezwykle brutalnie zwalczała amerykańska lewica (doszło nawet do tego, że Amazon czasowo ją zablokował).

– Wiele osób, które dokonują tranzycji, a potem żałują tego, nie chce rozmawiać z badaczami, a co dopiero z mediami. Z kolei ci, którzy decydują się na takie publiczne wyznania, są atakowani przez aktywistów LGBT – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” Ryan T. Anderson. – Istnieje obawa, że im więcej nieletnich popychanych jest do dokonywania tranzycji, tym więcej dorosłych

będzie dokonywało detranzycji. Ich historie rozdzierają serca. Wielu opowiada, jak duże mieli problemy w szkole średniej czy na studiach, by się „wpasować”. Tymczasem „eksperci ds. płciowości” obiecywali im, że np. zastrzyki z testosteronu czy podwójna mastektomia przyniosą upragnione szczęście. Pięć czy dziesięć lat później, kiedy orientują się, że hormony czy operacje nie usunęły prawdziwych przyczyn ich cierpienia, zaczynają żałować tranzycji i starają się odzyskać swoje życie. Najlepsze terapie koncentrują się na pomocy ludziom w akceptacji ich ciał. Zamiast próbować dokonać niemożliwego, czyli „zmienić” płeć, by zaczęła ona odpowiadać fałszywym myślom i uczuciom – powinniśmy starać się robić to, co jest możliwe: pomagać ludziom, by ich myśli i uczucia były skorelowane z rzeczywistością, przede wszystkim z rzeczywistością cielesną. W przypadku dzieci często nie wymaga to żadnej poważnej interwencji. Wystarczy dać im czas, by mogły dorosnąć i lepiej zrozumieć to wszystko, co oznacza bycie chłopcem lub dziewczynką, mężczyzną lub kobietą.

Kino najważniejszą ze



Paweł Ozdoba

Twórcy kinematografu – bracia Lumière – dokonali epokowego odkrycia i całkowicie zmienili bieg historii. Kto by pomyślał, że wiele lat później ta już unowocześniona technologia będzie służyła za narzędzie do kształtowania poglądów i promowania rewolucyjnych teorii?

Auguste i Louis Lumière uważali, że ich wynalazek i film jako technologia nie mają przyszłości. Jak bardzo się mylili! Udowodniły to nam następne dekady, kiedy następo-

wała profesjonalizacja kina i filmu jako elementu kultury. Nie trzeba było długo czekać, aby kino stało się jedną z najważniejszych i najciekawszych rozrywek. Kształtowało umysły i wywierało wpływ

na społeczeństwo do tego stopnia, że już w 1921 r. Włodzimierz Lenin miał przyznać, że „kino jest najważniejszą ze sztuk”. Ówczesni czerwoni rewolucjonisci mocno wzięli sobie do serca słowa ideowego przywódcy i rozwijali swój aparat propagandowy także w oparciu o kinematografię. Dziś, pomimo upływu wielu lat, film i kino wciąż są używane do promowania „postępowych idei”. Tyle że czerwony komunizm zastąpiono „tęczową subkulturą LGBT”.

TO TYLKO „NIEWINNE SCENY”?

Wątek relacji homoseksualnych pomiędzy bohaterami w filmie nie jest no-

sztuk?



Film „Tajemnica Brokeback Mountain” z 2005 r. zrewolucjonizował przedstawianie homoseksualnych relacji

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wym zjawiskiem. Jeśli wierzyć źródłom internetowym, to pierwsza odnotowana próba przedstawienia motywu LGBT na ekranach filmowych miała nastąpić już 1895 r. Wówczas przygotowano swego rodzaju „próbkę operatorską” pt. „Dickson Experimental Sound Film”, która występowała również pod tytułem „The Gay Brothers”. Krótkie nagranie przedstawiało dwóch trzymających się za ręce mężczyzn, tańczących w rytm muzyki. Brakuje jednak dowodów, aby wprost stwierdzić, jaką relację pomiędzy mężczyznami chciał przedstawić twórca nagrania. Wydaje się więc, że twierdzenie o pierwszym wątku LGBT w kinema-

tografii może być naciągane, ponieważ żadne źródła nie pozwalają potwierdzić tej wersji jako w pełni wiarygodnej. Pozostaje to zatem sferą domysłów i sugestii padających dziś – a jakże! – ze strony środowisk związanych z subkulturą LGBT.

O wiele więcej danych mamy na temat ekranizacji z lat 20. i 30. XX w., ponieważ w tamtym czasie popularnym wątkiem było umieszczanie w gronie bohaterów „zniewieściałych mężczyzn”, czasami przebranych w damskie ubrania. Motyw ten był wykorzystywany jako element rozrywkowy i forma gagu, który miał rozbawić widownię. Pojawiały się jednak również postacie odgrywane przez kobiety. Warto odnotować, że jedną z pierwszych „kontrowersyjnych” scen w poważnych ekranizacjach odegrała słynna Marlene Dietrich w filmie „Maroko” z 1930 r. W produkcji, w której wystąpiła u boku nie mniej znanego Gary’ego Coopera, w jednej ze scen ubrana była w męski frak i pocałowała w usta inną, siedzącą przy stoliku kobietę.

Także Greta Garbo miała swój niewielki „wkład” w promowanie wątków LGBT w kinematografii. Miało to miejsce w filmie „Królowa Krystyna” z 1933 r., gdzie dwuznacznie przedstawiono relację pomiędzy królową a pokojówką.

Powoli rozwijający się trend zamieszczania subtelnych wątków homoseksualnych w filmach, a także w sposób bardziej dosadny przedstawiania relacji damsko-męskich zatrzymało wprowadzenie w Stanach Zjednoczonych tzw. kodeksu Haysa. Dokument ten zobowiązywał do przestrzegania norm moralnych i etycznych w produkcjach amerykańskich. Zakładał m.in. zakaz przedstawiania intymnych relacji pozamałżeńskich, a także dwuznacznych zmysłowych tańców czy relacji homoseksualnych. Kodeks był nieformalnym wyznacznikiem kierunku, w którym miała podążać kinematografia, i był respektowany przez wielu ówczesnych twórców i producentów. Idea „kodeksu Haysa” upadła jednak w latach 60. XX w., kiedy wskutek rozwijającej się rewolucji obyczajowej zapisy dokumentu postanowiono w pełni odrzucić.

GEJ – WESOŁEK – PRZESTĘPCA

Lata 60. XX w. i następująca po nich dekada to „moment założycielski” rewolucji kulturowej, której „duchowe dzieci”

zaszczepiają dziś w społeczeństwie idee queer, gender i LGBT. Był to również dobry czas na rozwijanie kinematografii, w której coraz odważniej zaczęły pojawiać się wątki LGBT. Obecne wówczas w przestrzeni publicznej prądy pacyfistyczne, a także szeroko rozumiane postulaty hippisowskie odcisnęły poważne piętno na produkcjach filmowych. Mimo wszystko większość filmów przedstawiających relacje emocjonalne pomiędzy osobami tej samej płci traktowała to jako motywy drugo- lub trzecioplanowy.

Niektóre filmy tamtej epoki wykorzystywały wątek LGBT, aby przedstawić postaci w niekoniecznie dobrym świetle. Tak było w dramacie „Pieskie popołudnie”, gdzie jeden z głównych bohaterów – grany swoją drogą przez Alę Pacino – jest biseksualnym złodziejem. Bohater popełnia przestępstwo i napada na bank, aby zdobyć fundusze na przeprowadzenie operacji zmiany płci u swojego partnera. Z kolei w „Znikającym punkcie” z 1971 r. dwóch homoseksualistów było przedstawionych w sposób nieco karykaturalny. Jeden z bohaterów odgrywał również postać – znaną ze współczesnych „parad LGBT” – drag queen, która ostatecznie okazała się mordercą.

A zatem kreacje filmowe tamtej epoki przedstawiały homoseksualistów jako osoby głównie przebiegające się w damskie ubrania, mające „zwichrowaną” osobowość czy problem z samooceną.

OD „WESOŁKA” DO „DYSKRYMINOWANEGO”

Zauważalnym przełomem, jeśli chodzi o tworzenie filmów zawierających wątki LGBT, które nie były już drugorzędną historią i nie przedstawiały homoseksualistów w karykaturalny sposób, były lata 80. i 90. XX w. Ważnym obrazem w tym kontekście był melodramat Jamesa Ivory’ego pt. „Maurycy”, ukazujący dwóch przyjaciół żyjących w platonicznej miłości. W filmie opartym na powieści Edwarda Morgana Forstera głównym problemem obu mężczyzn jest to, że żyją w środowisku i czasach niechętnych związkom homoseksualnym. A zatem obraz homoseksualnych bohaterów zmienia się diametralnie i przybiera postać tych, którzy są prześladowani i dyskryminowani przez społeczeństwo. Postacie homoseksualne pojawiały się wówczas na łamach filmów z gatunku romantycznych czy obyczajowych. Trudno odnaleźć je w kinie akcji.

■ Szczególną uwagę należy zwrócić na film pt. „Filadelfia” z 1993 r., w którym wystąpiło dwóch hollywoodzkich supergwiazdorów – Tom Hanks oraz Antonio Banderas. Obaj zresztą zagrali parę, a ich relację przepełniono „romantyzmem”. Teoretycznie głównymi wątkami i centralnym problemem przedstawionym w filmie są choroba AIDS i próba prowadzenia „normalnego życia” przez bohatera zarażonego wirusem HIV. Główny bohater – ceniony prawnik – wskutek choroby traci pracę i musi radzić sobie ze zmieniającą się sytuacją. Postanawia oskarżyć byłego pracodawcę o bezpodstawne zwolnienie, a pomoc w walce sądowej ma mu Joe Miller (w jego roli Denzel Washington), który pierwotnie odmawia, ponieważ „nie lubi gejów”. Mądrość etapu w Hollywood sprawia, że się do nich ostatecznie przekonuje i pomaga głównemu bohaterowi. „Filadelfia” miała wielki wpływ na kształtowanie nowego, globalnego podejścia do postulatów LGBT. Produkcja trafiła do prawdziwego „głównego nurtu” i obsadzona gwiazdami kina zdobyła dwie statuetki Oscara, a także osiem innych nagród i 11 nominacji.

NOWA EPOKA KINA LGBT

Jednak prawdziwą „nową epoką” w „kinematografii LGBT” były lata dwutysięczne. W 2005 r. swoją premierę miał film pt. „Tajemnica Brokeback Mountain”, który zrewolucjonizował sposób przedstawiania homoseksualnych relacji. W rolach głównych wystąpili Heath Ledger i Jake Gyllenhaal, których relacja stała się clou filmu. Obaj młodzi mężczyźni poznają się podczas wypasu owiec u stóp góry Brokeback, a ich sympatia przeradza się w namiętne i głębokie uczucie, które nie mija pomimo tego, że po pewnym czasie znajdują sobie kobiety i zakładają własne, normalne rodziny. Jednak po kilku latach mężczyźni spotykają się ponownie i stwierdzają, że nie mogą bez siebie żyć.

W filmie duży nacisk położono na ukazanie współczesnego, nietolerancyjnego i opresyjnego społeczeństwa, które nie akceptuje szczęśliwego związku dwóch „kochających się” mężczyzn. Ostatecznie właśnie wskutek „homofobicznego” podejścia relacja się rozpada i doprowadza do rozstania, a finalnie do tragedii.

Warto odnotować, że film spotkał się z licznymi protestami, w tym m.in.

z zakazem dystrybucji w amerykańskim stanie Utah, a także w Chinach czy Maledezji. Przeciwni promocji filmu protestowali również Amerykanie, tworząc specjalną petycję do członków Amerykańskiej Akademii Filmowej. Podpisało się pod nią ponad 60 tys. osób, ale mimo tego film został okrzyknięty najlepszym oscarowym filmem, który podejmował temat LGBT.

Milowym krokiem w kinematografii anglosaskiej promującej LGBT jest z pewnością „Obywatel Milk” w reżyserii Mike’a Millsa, z główną rolą odegraną przez Seana Penna. Film opowiada historię autentycznej postaci – Harveya Milka – aktywisty homoseksualnego działającego w San Francisco w latach 70. Film przedstawia burzliwe lata rewolucji seksualnej i szeroko rozumianego „wyzwolenia”, a zarazem ukazuje życie Milka jako działacza i samorządowca, który „walczył” z „homofobią” i „zaściankiem”. Ważnym elementem jest przedstawianie Milka jako człowieka zmieniającego epokę i wprowadzającego nową jakość do życia homoseksualistów. Jako działacz i samorządowiec inicjuje uchwały zakazujące wszelkiej dyskryminacji homoseksualistów.

Harvey Milk ostatecznie zostaje zamordowany, co doprowadza do okrzyknięcia go mianem „męczennika walki o prawa osób LGBT”. Staje się swego rodzaju „mitem założycielskim” nowoczesnego ruchu homoseksualnego, który zaczyna dominować w przekazach medialnych już nie jako ten uciśniony i domagający się szacunku i „tolerancji”. To nowy ruch, który przejmując narrację i domaga się przywilejów, w tym m.in. pełnej legalizacji nie tylko tzw. związków partnerskich, lecz także tzw. homomałżeństw. Rości sobie też prawdę do decydowania o tym, co nosi znamiona tolerancji, a co nie.

ZAGROŻENIA CZYHAJĄ NA DZIECI

Na problem promowania wśród dzieci subkultury LGBT za oceanem zwraca uwagę Mattea Merta, publicystka i szefowa organizacji Vote Family z Kanady. – Filmy są głównym elementem całego ekosystemu indoktrynacji. Ponieważ dzieci w dzisiejszym świecie regularnie spędzają czas przed ekranami telewizorów czy komputerów, pokazywane im programy są tak zmodyfikowane, aby pasowały do agendy LGBTQ – mówi Mattea





Greta Garbo promowała wątki LGBT w filmie „Królowa Krystyna” z 1933 r.

FOT. MGM

kach – mówi Nowak. – Środowiska LGBT ukształtowały młodych ludzi według schematu, że norma są wszelkie preferencje seksualne, i wpoili im świadomość, że płeć i orientacje seksualne są płynne – dodaje. Podkreśla, że dzisiejsze „bombardowanie dzieci” celebrytami, filmami, serialami czy odpowiednio przygotowanymi scenariuszami gier jest nastawione na „hodowanie człowieka, który nie akceptuje praw naturalnych”.

FILMY NOŚNIKIEM KULTURY I POGLĄDÓW

Na problem celowości promowania wątków LGBT w kinematografii zwraca także uwagę psycholog Agnieszka Marianowicz-Szczygieł z Instytutu Ona i On. Podkreśla, że filmy i seriale są swego rodzaju nośnikami poglądów. – Zamieszczanie tego rodzaju wątków z pewnością służy nagłośnieniu tematyki LGBT. Jednak celem o wiele bardziej ukrytym jest przedstawianie homoseksualizmu czy transseksualizmu jako wrodzonego, zastanego i niepodlegającego zmianom – co jest sprzeczne ze stanem wiedzy naukowej – wskazuje. Jej zdaniem znajdujemy się już w zupełnie innym miejscu niż kilkadziesiąt lat temu i lata promocji subkultury LGBT odpowiednio uformowały społeczeństwa Zachodu. Zauważa także, że obecnie „tematykę LGBT pokazuje się wyłącznie w korzystnym świetle, nie ukazując choćby ryzyka zdrowotnego”.

REWOLUCJA ZBIERA ŻNIWA

Omówione pokrótce produkcje filmowe to tylko niewielka część z szeroko zakrojonej akcji „promocji LGBT” w kinie. Ich zbiór pokazuje jednak pewien proces, który postępował przez ostatnie blisko 100 lat. Od „niewinnych” sugestii aż do komunikowania widzom: „Ta jedynopłciowa para zasługuje na prawo do miłości; jeśli tego nie rozumiesz, to jesteś homofobem”. Nietrudno zauważyć, jakie konsekwencje przyniosła wieloletnia działalność aktywistów LGBT i wprowadzanie tych wątków do kultury masowej.

Po 2008 r., kiedy premierę miał „Obywatel Milk”, wiele krajów Zachodu decyduje się na legalizowanie nowych form związków. Tak się dzieje m.in. w Norwegii i Szwecji („homomałżeństwa” w 2009 r.), Portugalii i Islandii (2010), a także Danii (2012), we Francji (2013), w Wielkiej Brytanii (2014), Luksemburgu i Irlandii (2015) oraz w Finlandii, na Maltzie i w Niemczech (2017). Do

tego warto odnotować, że tzw. związki partnerskie zostały zalegalizowane na Węgrzech (2009), w Austrii (2010), Chorwacji i Andorze (2014), na Cyprze i w Grecji (2015), a także w Estonii i we Włoszech (2016).

Konieczne należy odnotować, że w awangardzie krajów LGBT znajdują się Stany Zjednoczone i Kanada. Decyzją amerykańskiego Sądu Najwyższego, która zapadła w 2015 r., poszczególne stany nie mogą zakazywać tzw. małżeństw tej samej płci. Podobnie jest w Kanadzie, która już w 2005 r. zalegalizowała „homomałżeństwa”.

Po 2008 r., kiedy premierę miał „Obywatel Milk”, wiele krajów decyduje się na legalizowanie nowych form związków

Trudno nie odnieść wrażenia, że ostatecznie wiele lat – ośmielę się powiedzieć wprost – propagandy wreszcie przyniosło skutek na Zachodzie, gdzie w wielu krajach zrównano małżeństwo z homoseksualnym związkiem. Z pewnością kultura masowa i narzędzie, jakim były kino i film, miały na te decyzje polityczne i przemiany społeczne przeogromny wpływ.

Do tego dochodzi kwestia akceptacji społecznej postulatów zwolenników ideologii gender i LGBTQ, która w niektórych krajach coraz częściej przybiera formę swego rodzaju „prawdy objawionej”. Tu pojawia się oczywiście pojęcie tzw. mowy nienawiści, a więc jakiegokolwiek krytyki LGBT, która w wielu krajach Unii Europejskiej czy świata kończy się surową karą. Także powszechna akceptacja dla tzw. homomałżeństw jest z pewnością konsekwencją wielu lat indoktrynacji za pomocą mass mediów – w tym filmu i seriali. To z pewnością w szczególności zagraża dzieciom, które zresztą stały się głównym celem „tęczowych rewolucjonistów”, dążących do ukształtowania nowego człowieka, w pełni oderwanego od zasad cywilizacji chrześcijańskiej. Czy zatem na tytułowe pytanie „Czy kino jest najważniejszą ze sztuk?” możemy odpowiedzieć twierdząco? Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Centrum Życia i Rodziny.

Proroctwo Mearsheimera



Piotr Zychowicz

Profesor John Mearsheimer wywołał oburzenie tezą, że za wojnę na Ukrainie winę ponosi Zachód. Jakie są jego argumenty?

John Mearsheimer to żywa legenda. Profesor Uniwersytetu w Chicago. Jeden z najwybitniejszych na świecie znawców geopolityki i relacji między mocarstwami. Twórca szkoły realizmu ofensywnego, guru realistów i pragmatyków.

25 września 2015 r. wystąpił z wykładem na swojej macierzystej uczelni. Z jego ust padły wówczas słowa, które obecnie cytowane są w światowych mediach i przekazywane przez użytkowników portali społecznościowych. „Zachód prowadzi Ukrainę po zwoźniczej ścieżce – powiedział. – Ostatecznym tego efektem będzie zdemolowanie Ukrainy”.

Przepowiednia Mearsheimera właśnie się spełnia na naszych oczach. Ukraina od ponad miesiąca jest demolowana. Rosja obraca w gruzy ukraińskie miasta, niszczy rakietami infrastrukturę, zabija tysiące Ukraińców. Nawet jeżeli Ukraina ostatecznie obroni się przed agresją, to odbudowanie zniszczeń wojennych zajmie lata, jeżeli nie dekady.

W jednej części swojej wypowiedzi słynny amerykański naukowiec miał więc rację. A co z drugą częścią? Dlaczego Mearsheimer uważał, że to Zachód prowadził Ukrainę po drodze do destrukcji? Odpowiedź znajdą państwo w książce „Wielkie złudzenie”, której polskie

tłumaczenie wydały właśnie Universitas i Nowa Konfederacja.

UKŁAD SIŁ

Mearsheimer wskazuje w książce, że Rosjanie rozumują w kategoriach klasycznej geopolityki i realizmu. Uważają, że relacje między państwami determinuje układ sił. W latach 90., po upadku Związku Sowieckiego, w epoce Borysa Jelcyna, Rosja była słaba. Pograżona w permanentnym kryzysie, leżała na deskach. Zachód wykorzystał ten moment słabości. Wypchnął Rosję z jej „strefy wpływów” w Europie Wschodniej i przyjął państwa byłego Układu Warszawskiego do NATO. Mało tego, do paktu północnoatlantyckiego przystąpiły nawet trzy były sowieckie republiki – Litwa, Łotwa i Estonia. Słaba, bezradna Rosja musiała przełknąć tę gorzką pigułkę.

Dwie dekady później Rosjanie doszli jednak do wniosku, że globalny układ sił się zmienił. Putin uznał, że Federacja Rosyjska nie jest już takim słabeuszem jak w latach 90. A co za tym idzie, nie będzie z założonymi rękami przyglądać się dalszemu rozszerzeniu NATO na wschód. Dalszemu przybliżaniu się paktu północnoatlantyckiego do jej granic. „Kłopoty zaczęły się na szczycie NATO w Bukareszcie w kwietniu 2008 r. – pisze Mearsheimer w »Wielkim złudzeniu«.

– Deklaracja końcowa szczytu zawierała wiadomość, że „NATO z zadowoleniem przyjmuje euroatlantyckie aspiracje Ukrainy i Gruzji do członkostwa w NATO. Uzgodniliśmy dziś, że kraje te staną się członkami NATO”.

Reakcja Moskwy była natychmiastowa i gniewna. Wiceminister spraw

zagranicznych Rosji ostrzegł, że „członkostwo Gruzji i Ukrainy w sojuszu to ogromny błąd strategiczny, który miałby niezwykle poważne konsekwencje dla bezpieczeństwa ogólnoeuropejskiego”. Putin utrzymywał, że przyjęcie tych dwóch państw stanowiłoby „bezpośrednie zagrożenie” dla Rosji.

Jedna z rosyjskich gazet podała, że Putin, zwracając się bezpośrednio do Busha, „bardzo czytelnie zasugerował, że jeśli Ukraina zostanie przyjęta do NATO, to przestanie istnieć”. Rosja w jasny sposób przedstawiła więc swoje stanowisko. Za słowami poszły czyny. W sierpniu 2008 r. rosyjska armia pobiła armię gruzińską. Czołgi z czerwonymi gwiazdami na pancerzach dotarły niemal na przedmieścia Tbilisi. NATO-wskie aspiracje Gruzji zostały zdławione przez Rosję przy pomocy siły.

ZABLOKOWANIE AMBICJI UKRAINY

W 2014 r. sytuacja powtórzyła się na Ukrainie. Gdy w Kijowie zwyciężyła „korolowa rewolucja” i Ukraina przyjęła kurs prozachodni, Rosjanie natychmiast zajęli kluczowy z punktu widzenia strategicznego Krym (stacjonuje tam Flota Czarnomorska) i uwikłali Ukrainę w konflikt terytorialny w Donbasie. Chodziło oczywiście





Profesor John Mearsheimer udzielił wywiadu „Do Rzeczy” w lutym 2020 r. fot.jan

Według prof. Johna Mearsheimera Federacja Rosyjska postąpiła niemoralnie, ale zgodnie ze swoimi interesami narodowymi

o destabilizację Ukrainy i zablokowanie jej NATO-wskich ambicji. Realizm jest sposobem myślenia, który oddziela emocje od polityki. Według prof. Johna Mearsheimera Federacja Rosyjska postąpiła więc niemoralnie, ale zgodnie ze swoimi interesami narodowymi. Dwa lata temu przeprowadziłem wywiad z prof. Mearsheimerem w Warszawie (ukazał się w „Do Rzeczy” 3 lutego 2020 r.) „Żadne mocarstwo – mówił profesor – nie może sobie pozwolić na to, żeby sojusz militarny, który został stworzony jako jego śmiertelny wróg, znalazł się tuż przy jego granicach. Amerykanie, zachodni Europejczycy i Polacy okazali się niebywale naiwni, licząc na to, że Ukraina i Gruzja znajdą się

w NATO. Efektem tych iluzji jest poważny kryzys w Europie Wschodniej.

– Zaraz, zaraz – oponowałem – ale co z Ukraińcami i Gruzinami? Co z ich opinia? Mieszkańcy tych państw chcą być w NATO, a nie pod rosyjskim butem. Nie mają prawa o tym sami decydować?

– Gruzini i Ukraińcy muszą zrozumieć, że żyją tuż obok mocarstwa. A jeżeli żyjesz tuż obok mocarstwa, to w twoim interesie nie jest jego antagonizowanie. Bo mocarstwo – jeśli je sprowokujesz – może zachować się wobec ciebie bezwzględnie. Czy nam się to podoba czy nie, tak działa świat. Tak działają mocarstwa. Gdy ich interesy są zagrożone, przystępują do akcji i robią to brutalnie. To dotyczy wszystkich mocarstw.

– Stanów Zjednoczonych też?

– Oczywiście. Stany Zjednoczone nie są żadnym wyjątkiem. Gdyby Meksyk i Kanada chciały przystąpić do antyamerykańskiego sojuszu wojskowego i zaprosiły do siebie chińskie oddziały, to reakcja Ameryki byłaby taka sama jak reakcja Rosji na Ukrainie i w Gruzji.

Identyczna. Opinia publiczna w USA odebrałaby to jako ruch całkowicie zrozumiały. Jako obronę konieczną.

Tyle wywiad z profesorem sprzed dwóch lat. Wróćmy do „Wielkiego złudzenia”. Według Mearsheimera Zachód chciał wcielić Ukrainę do strefy liberalnej demokracji i globalnego kapitalizmu. Stąd wszechstronna pomoc, której udzielał prodemokratycznym żywiołom w Kijowie. Zachód chciał to jednak zrobić, nie antagonizując Rosji. To zaś było niemożliwe.

Władców Kremla nie interesują bowiem opowieści o „demokracji” i „prawach człowieka”. Liczą się konkrety. Dla Putina sprawa była więc prosta. Stany Zjednoczone chcą wyrwać Ukrainę ze strefy wpływów Rosji i przenieść ją do własnej strefy wpływów. Sukces takiej operacji oznaczałby zaś NATO-wskie rakiety i czołgi niemal na przedpolach Moskwy.

Oczywiście zachodni politycy zapewniali, że integracja Ukrainy z zachodnimi



**JOHN
MEARSHEIMER**
**„WIELKIE
ZŁUDZENIE”**
**UNIVERSITAS/
NOWA
KONFEDERACJA**

■ strukturami nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Rosjan. Problem jednak w tym, że – jak podkreśla prof. Mearsheimer – „o tym, co jest dla nich zagrożeniem, decydują sami Rosjanie, a nie Zachód”.

„Każdy, kto ma elementarne pojęcie o geopolityce – pisze Mearsheimer – powinien być to przewidzieć. Zachód wkraczał na podwórkę Rosji i zagrażał jej kluczowym interesom strategicznym. Ukraina, ogromny płaski obszar, który po drodze do Rosji przebyły napoleońska Francja, cesarskie Niemcy i nazistowskie Niemcy, pełni funkcję niezwykle ważnego strategicznego przedpoła. Żaden rosyjski przywódca nie zgodziłby się na przystąpienie Ukrainy do sojuszu wojskowego z udziałem byłego wroga. Żaden rosyjski przywódca nie siedziałby z założonymi rękami, gdyby Zachód brał udział w instalowaniu w Kijowie rządu zdecydowanego dołączyć do tego sojuszu. Waszyngtonowi stanowisko Moskwy może się nie podobać, ale powinien zrozumieć logikę, która się za nim kryje. Mocarstwa zawsze są wyczulone na zagrożenia w pobliżu swojego terytorium”.

Tak – w znacznym skrócie – wygląda wizja Mearsheimera. Jego interpretacja genezy wojny na Ukrainie. Czy amerykański realista ma rację? Czy jego argumenty są logiczne i spójne? To musi ocenić każdy czytelnik.

BŁĄD UKRAINY

Na tezy prof. Mearsheimera chętnie powołuje się rosyjska propaganda. To z kolei sprowadza na niego ostrą krytykę. Niektórzy radykałowie nazywają nawet naukowca „pożytecznym idiotą Kremla”.

Zwolennicy Mearsheimera odrzucają te oskarżenia. Dowodzą, że zabiegi rosyjskich propagandystów – na które profesor nie ma wpływu – nie przekreślają słuszności jego tez. Podkreślają, że Mearsheimer – w przeciwieństwie do jego adwersarzy – nie opowiada się po żadnej ze stron. Po prostu w chłodny i obiektywny sposób analizuje sytuację.

Wskazują, że gdyby Ukraińcy słuchali Mearsheimera i zachowali neutralność, oszczędziłoby im to wielu cierpień i upokorzeń. Oszczędziłoby im to wojen w latach 2014 i 2022. I nie chodzi tu wcale o „uleganie szantażowi Putina”. Tylko o realistyczne i trzeźwe traktowanie gwa-

rancji, które Ukrainie składali Amerykanie i Brytyjczycy.

To jest właśnie sedno problemu, którego zdają się nie dostrzegać krytycy Johna Mearsheimera. Otóż Anglosasi po 1991 r. ochoczo składali Ukraincom rozmaite obietnice. Snuli przed nimi wizję wspaniałych korzyści, które otrzymają, gdy porzucą Rosję i zwrócą się na Zachód. Narazili więc w ten sposób Ukrainę na ryzyko wojny z Moskwą, ale

jednocześnie nie byli w stanie zapewnić jej realnej ochrony. Wynikało to z idealistycznej naiwności.

„Liberałowie – pisze Mearsheimer – poświęcali tak mało uwagi rozszerzeniu NATO m.in. ze względu na swoje założenie, że sojusz nigdy nie będzie musiał honorować prezentowanych nowych gwarancji bezpieczeństwa, ponieważ natura »polityki międzynarodowej«, przynajmniej w Europie, uległa istotnej zmianie. Wojnę wypalono w Europie gorącym żelazem.

Z perspektywy realistycznej wprowadzanie Ukrainy do NATO byłoby szczytem głupoty, skoro członkowie sojuszu nie mają zamiaru jej bronić. Liberałowie uważali jednak, że w świetle obrazu współczesnego świata nie ma potrzeby martwić się o obronę Ukrainy. Byli więc gotowi dać gwarancje bezpieczeństwa krajowi, którego koniec końców nie chcieli bronić”.

**W 1994 r. Ukraińcy
– ku uciesze Rosji – sami
się rozbroili i oddali broń
nuklearną. W zamian
dostali papierowe gwarancje**

W słowach tych jest wielki tragizm. Przypomniał mi się 15 marca 2022 r., gdy prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski odbył telekonferencję z przywódcami 10 państw Europy Północnej, które tworzą Wspólne Siły Ekspedycyjne (JEF). Zełenski znajdował się w bombardowanym Kijowie, a europejscy politycy – w wytwornej sali konferencyjnej w Londynie.

Był to jeden z najsmutniejszych epizodów wojny. Zełenski apelował do państw Zachodu, aby wprowadziły strefę

zakazu lotów i zaangażowały się bardziej w obronę Ukrainy przed rosyjską agresją. Na próżno. „Ukraina – powiedział gorzko na zakończenie konferencji Zełenski – musi przyjąć do wiadomości, że drzwi NATO są dla niej zamknięte”.

Tak, niestety to prawda... Tytułowe wielkie złudzenie prysnęło w zderzeniu z brutalną rzeczywistością. Nikt – w obronie peryferyjnej Ukrainy – nie pójdzie na zderzenie z atomowym mocarstwem. Ukraińcy biją się sami.

Warto przypomnieć dyskusję z początku lat 90. Amerykanie i Brytyjczycy nakłaniali wówczas Ukrainę do oddania kolosalnego arsenału nuklearnego, który odziedziczyła po Związku Sowieckim. W zamian oferowali gwarancje ukraińskiej niepodległości i integralności terytorialnej.

Profesor John Mearsheimer był jednym z niewielu amerykańskich ekspertów, który ostrzegał, że w długoterminowej perspektywie dla Ukrainy będzie to czyn samobójczy. I stanowczo odradzał to Kijowowi. Dowodził, że Ukraina – jeżeli chce odstraszyć Rosję od przyszłej agresji – nie może się pozbywać pocisków jądrowych. Musi być silna, a nie słaba.

Niestety, Ukraina popełniła największy błąd w swojej historii i zgodziła się na amerykańską propozycję. Propozycję sformalizowano w 1994 r. w postaci memorandum budapeszteńskiego. Ukraińcy – ku uciesze Rosji – sami się rozbroili i oddali broń nuklearną. W zamian dostali papierowe gwarancje.

Jak się to skończyło, wiemy wszyscy. Ani w 2014, ani w 2022 r. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie podjęły czynnej obrony Ukrainy. Ograniczyły się tylko do nałożenia sankcji na Rosję i dostaw broni dla Ukraińców. Według tych ostatnich to zdecydowanie zbyt mało.

Rozczarowanie w Kijowie jest kolosalne. Trzeźwo myślący Ukraińcy zdają sobie sprawę, że gdyby w 1994 r. posłuchali Mearsheimera, dziś byłiby bezpieczni. Gdyby w ich posiadaniu było nadal kilka tysięcy ładunków jądrowych, Putin bałby się nawet zbliżyć do granicy Ukrainy i pstryknąć w jej stronę wykałaczką.

W całej tej ponurej historii jest jedno pocieszenie: Mearsheimer, podobnie jak wielu innych ekspertów, przecenił siłę Rosji. I wygląda na to, że Rosja – w wyniku tej wojny – również zostanie zdemolowana. Kto wie, czy nie bardziej niż Ukraina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS !

Jacek Bartosiak – Wnioski z rosyjskiej agresji
Steve Lee Myers – Od kagebisty do prezydenta
Mikołaj Iwanow – Putin w butach Stalina
Piotr Zychowicz – 2014: Rosjanie na Krymie
Arkadiusz Karbowski – Jątka w Czeczenii
Jakub Ostromęcki – Uwaga! Wagnerowcy
Tomasz Stańczyk – Pakt Piłsudski-Petlura
Maciej Rosalak – Wojny Polski z Rosją
Rafał A. Ziembkiewicz – Czy Polska będzie mocarstwem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. ADRIEN STOCK

Były amerykański dowódca NATO w Europie, gen. Wesley Clark, który w 1999 r. dowodził operacją powietrzną sojuszu atlantyckiego nad Jugosławią, pytany w marcu przez belgijski dziennik „De Morgen” o możliwość wykorzystania przez Rosję broni jądrowej w ramach obecnej wojny odpowiedział: „Jest zupełnie możliwe, że Putin użyje taktycznej broni nuklearnej. To jest świat, w którym żyjemy, i musimy zmierzyć się z rzeczywistością; nie uciekniemy od tego. Musimy działać przeciw Putinowi poprzez sankcje, prawo międzynarodowe, ONZ oraz niosąc wsparcie Ukrainie”. Poproszony następnie o doprecyzowanie tej myśli na antenie telewizji CNN stwierdził: „Po pierwsze, trzeba antycypować to, co Putin mógłby zrobić. [...] Jeśli naprawdę chce odstraszyć NATO od jakiegokolwiek zaangażowania i sądzi, że mógłby skruszyć NATO, wówczas, być może, użyłby broni jądrowej niskiej wydajności. A gdzie by jej użył? Prawdopodobnie nie na Ukrainie, rzuciłby ją na magazyny bądź tereny zamieszkałe w Polsce. Taki wariant często pojawia się w rosyjskich ćwiczeniach: jeśli Rosja zaczyna przegrywać z powodu wsparcia, którego NATO udziela jej przeciwnikom, wówczas uderzają pociskiem nuklear-

Opcja atomowa



Wojciech Golonka

Czy w przypadku wojny na Ukrainie należy rzeczywiście z góry bagatelizować możliwość użycia broni atomowej przez Rosję?

nym. NATO odpowiada wtedy: »O rany, przecież nie chcemy wojny nuklearnej, to oznaczałoby trzecią wojnę światową. Skoro tak wam na tym zależy, to się cofniemy«. Tak właśnie Rosjanie formowali swój sposób myślenia na wypadek tego typu okoliczności. I dlatego ze strony amerykańskiego rządu i przywódców NATO zachodzi tak duża obawa – bo wszyscy o tym wiemy”.

Wprowadzie emerytowany generał uwarunkował swe przypuszczenia wieloma „gdyby”, niemniej podkreślił, że obawy co do opcji atomowej są duże i poważne. Z drugiej strony mijają już dwa miesiące

od wybuchu wojny, państwa NATO aktywnie wspierają Ukrainę nie tylko dostawami broni i coraz cięższego sprzętu, z czołgami włącznie, lecz także zapewne istotnymi dla ukraińskiej armii informacjami wywiadowczymi, a oba te czynniki przyczyniają się do zadawania pokaźnych strat siłom zbrojnym Federacji Rosyjskiej (w sprzeczce, w ludziach, wizerunkowo) – tymczasem żadne taktyczne uderzenie nuklearne ze strony Rosji, dzięki Bogu, miejsca nie miało. Czy nie należałoby zatem wnioskować, że wspomniane przez amerykańskiego wojskowego obawy są na wyrost, a Kreml, który zarówno przez swych przedsta-

wicieli, jak i reżimowe media insynuują możliwość wykorzystania w pewnych warunkach opcji atomowej, po prostu blefują? Otóż nie mając dostępu do szklanej kuli odkrywającej meandry przyszłości, naszej refleksji pozostają zdania ekspertów oraz wnioskowanie na podstawie dostępnych faktów.

Osoby w tej kwestii najbardziej kompetentne to przede wszystkim doświadczeni oficerowie wyższego stopnia, obeznani zarówno z zasadami samej sztuki wojennej, jak i doktryną oraz strategiami wojennymi rosyjskiej armii. Wobec nagminnej trywializacji problemu („opcji atomowej nie będzie, bo jest nierealna”) warto spytać, czy wykłady dotyczące taktycznej broni jądrowej (którą cytowany gen. Clark nazywał również „bronią jądrową niskiej wydajności”) tudzież programy obliczające lokalny zakres skażenia radioaktywnego omawiane w krajowych akademiach sztuki wojennej, również w Warszawie, rzeczywiście wynikają z braku pomysłów wykładowców na inne, bardziej przydatne przyszłym sztabowcom tematy zajęć. Innymi słowy – czy to, że trudno nam osobiście – co akurat jest jak najbardziej zrozumiałe – rozpatrywać możliwości rosyjskiej doktryny wojennej w kategoriach realizmu, z góry przesądza o tym, że są one nierealne i niemożliwe?

SPRAWA KUKLIŃSKIEGO

Dla uzmysłowania sobie tych kwestii z pewnością warto przypomnieć sobie postać, która z perspektywy czasu urosła w Polsce do rangi bohatera narodowego, mianowicie płk. Ryszarda Kuklińskiego, bardzo zdolnego sztabowca Ludowego Wojska Polskiego, który na początku lat 70. podjął współpracę z amerykańskim wywiadem. Przez ponad dekadę współpracy – aż do 1981 r., kiedy to, wobec nieuchronności jego zdekonspirowania, w przededniu wybuchu stanu wojennego Amerykanie spektakularnie ewakuowali go z Polski wraz z rodziną – przekazał on CIA dziesiątki tysięcy dokumentów umożliwiających precyzyjny wgląd w strukturę, plany, uzbrojenie etc. Układu Warszawskiego, za co w 1984 r. został zaocznie skazany na karę śmierci.

Dlaczego Kukliński ryzykował życie, zresztą nie tylko swoje, lecz także swych bliskich? (Jego dwóch synów, jak wiadomo, zginęło w USA w latach 90. w nietypowych, lecz tragicznych okolicznościach, prawdopodobnie w ramach aktu zemsty

ze strony służb rosyjskich). Czy zważywszy na osobistą stawkę, której z pewnością był świadom, wychodząc sam z inicjatywą współpracy, jego motywacją do działalności agenturalnej mogły być głównie pieniądze? Jak wynika z jego zeznań dla polskiej prokuratury wojskowej w ramach procesu rehabilitacyjnego (mimo dużych oporów wewnątrz polskiego państwa został zrehabilitowany dopiero w 1996 r., na skutek amerykańskiej presji, w ramach rokowań przystąpienia Polski do NATO), a przede wszystkim z dokumentów przekazanych amerykańskiemu wywiadowi, zasadniczy impuls do współpracy Kuklińskiego wynikał ze świadomości nabytej w ramach obcowania, jako sztabowiec, z planami wojskowymi i rozmowami z generalicją Układu Warszawskiego, również w Moskwie. Wynikało z nich, że Polska w razie konfrontacji zbrojnej Układu Warszawskiego z Zachodem stanie się atomowym pogorzeliem. Nie bez powodu zatem poświęcona mu przez Sławomira Cenciewiczza obszerna fascynująca biografia nosi tytuł „Atomowy szpieg”. Choć kwestia nie jest pozbawiona polemik, to historycy wskazują, że współpraca i analizy Kuklińskiego dały USA informacyjną przewagę, która umożliwiłaby uderzenia w kluczowe punkty dowodzenia Układu Warszawskiego, a przede wszystkim mogła stanowić bardzo istotny atut w ramach rozmów dyplomatycznych prowadzonych z przywództwem Związku Sowieckiego – „znamy wasze plany, konfrontacja zbrojna nie ma sensu”.

Otóż morał płynący z historii Kuklińskiego jest taki, że wykluczanie a priori użycia przez Rosję w pewnych warunkach opcji atomowej jest nonsensem. Rodziłoby to także poważną niespójność w naszej percepcji, jeśli na każdym szczeblu, czasem na siłę, dostrzegalibyśmy we wszystkim związek między obecną Rosją a Związkiem Sowieckim, a jednocześnie zbywalibyśmy opcję atomową jako standardową propagandę Kremla, czysto werbalny straszak.

DLACZEGO USA SIĘ POWSTRZYMUJE?

Nasza refleksja dotycząca rzeczy możliwych winna również uwzględniać obecne fakty, nawet jeśli nie są one szerzej naświetlane. Faktem zaś jest, że od początku tej wojny Stany Zjednoczone nie podejmują pewnych działań, tak aby nie eskalować konfliktu zbrojnego na Ukrainie do poziomu, który oznaczałby

dla Rosji stopień poczucia zagrożenia egzystencjalnego – a pocucie to bynajmniej nie musi być postrzegane w taki sam sposób przez Rosjan jak przez zewnętrznych obserwatorów. Jeśli bowiem równowaga i wzajemne odstraszenie nuklearne polegają na tym, że żadne z mocarstw nie zamierza użyć swej strategicznej broni jądrowej jako pierwsze, to każdy ma świadomość, że oznaczałoby to początek wojny atomowej, czyli armagedonu, którego nikt wygrać nie potrafiłby – Niemniej Rosjanie niejednokrotnie deklarowali – zarówno w przeszłości, jak i obecnie – że przyparciu „egzystencjalnie” do muru rezerwują sobie możliwość wykorzystania broni nuklearnej – mowa tu właśnie o mniej wydajnych ładunkach, czyli tzw. taktycznej broni jądrowej, niemniej jak najbardziej śmiertelnej i o znacznie większym potencjale niszczycielskim niż konwencjonalne pociski rakiętowe.

Nie bez powodu, jak donosił Reuters, celem „zmniejszenia napięcia nuklearnego” USA najpierw wstrzymały, a ostatecznie zrezygnowały z zaplanowanych corocznych testów swych międzykontynentalnych rakiet zdolnych przenosić pociski jądrowe. Jakkolwiek by to zabrzmiało dziwnie, mocarstwa nuklearne mogą z sobą walczyć na przedpolach, za pośrednictwem sił zastępczych, jak ma to również obecnie miejsce na Ukrainie, nigdy jednak nie dojdzie do próby znokautowania przeciwnika, o czym wspominał w 2015 r. George Friedman, założyciel prywatnej amerykańskiej wywiadowczej Stratfor, komentując cele amerykańskiej geopolityki na Ukrainie.

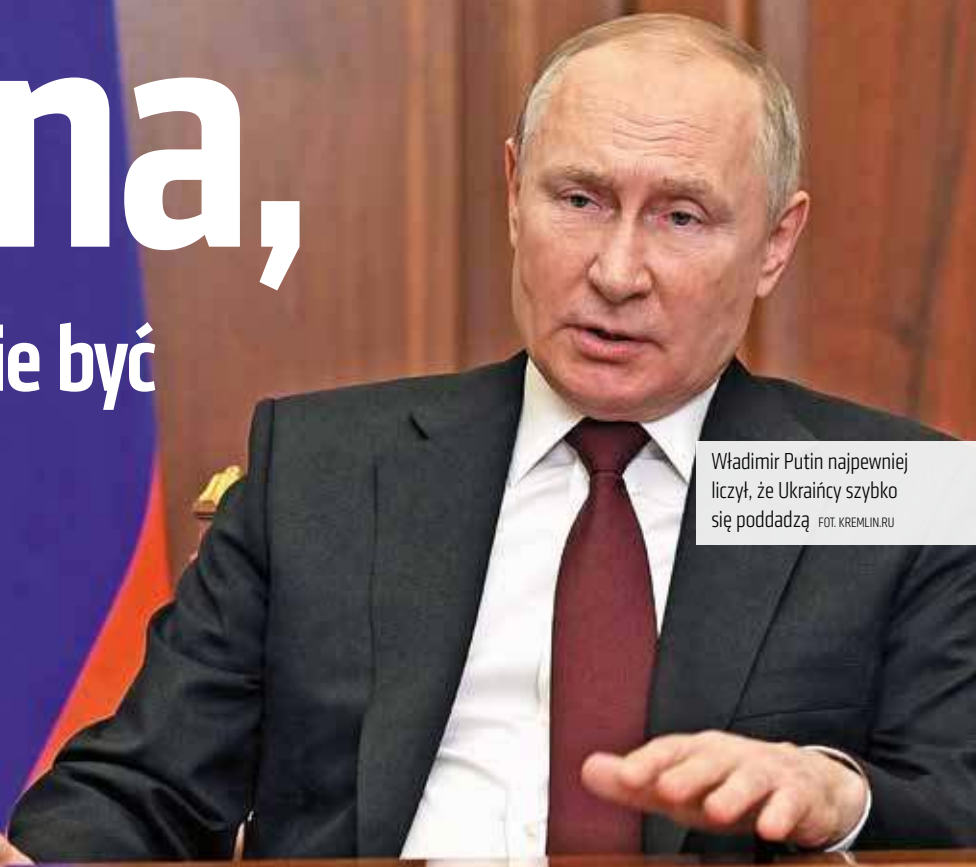
Sądząc, że opcja atomowa jest w obecnym konflikcie nierealna, mamy jednak w zasadzie rację, tyle że podobne twierdzenie po prostu zakłada u wszystkich stron tego konfliktu – i tych oficjalnych, i tych nieoficjalnych, a zwłaszcza u Rosjan – myślenie racjonalne. Dlatego jakkolwiek silne emocje z naszej strony towarzyszyłyby toczącej się za naszą granicą wojnie, trzeba w podejściu do niej kierować się stale rozumem. Mimo zniszczeń, cierpień i możliwych zbrodni ta śmiertelna wojna toczy się mimo wszystko według pewnych pisanych i niepisanych zasad, o czym trzeba pamiętać, angażując się na rzecz walczącej Ukrainy. Do bezapelacyjnej troski o bezpieczeństwo polskiej ziemi i narodu winien nas zobowiązywać przykład płk. Kuklińskiego.

Wojna, której miało nie być



Romuald Szeremietiew

Wszystko wskazuje na to, że Putin uznał, iż wystarczy zastraszyć Ukraińców. Przeliczył się i wywołał wojnę, której nie chciał



Władimir Putin najpewniej liczył, że Ukraińcy szybko się poddadzą. FOT. KREMLIN.RU

Gdy słuchało się wypowiedzi ekspertów i znawców spraw wojskowych wygłaszanych przed wybuchem wojny na Ukrainie, można było usłyszeć, że Putin nie odważy się na inwazję. Sam zresztą też uważałem, że Putin nieposiadający środków do prowadzenia tzw. pełnoskalowej wojny nie powinien jej wywołać. Upewniał mnie w tym przekonaniu fakt, że na granicy z Ukrainą zgromadził siły dalece niewystarczające, aby myśleć o podboju tak dużego państwa. Do takiego zamiaru musiałoby być jakieś pół miliona żołdatów, czyli cztery razy więcej niż Putin zgromadził.

Zresztą nawet gdyby udało mu się okupować Ukrainę i Ukraińcy podjęliby działania w podziemiu, nieregularne, to Moskwa musiałaby skierować miliony okupantów, aby taki opór zdusić.

Nie ma dokładnych danych, jakie straty ponieśli Czeczeni w trakcie dwóch wojen z Rosjanami – szacuje się od 160 tys. do nawet 250 tys. ludzi. Przyjmując te liczby, widzimy, że Rosjanie zabili co szóstego, co czwartego Czeczena i wtedy dopiero opawali małutki kraj liczący ponad milion mieszkańców.

Ukraina jest dużym państwem, jej ludność liczy ponad 44 mln. Rosja, chcąc zastosować „czeczeński” model opano-

wania Ukrainy, musiałaby wymordować kilkanaście milionów Ukraińców. Wojska rosyjskie mogą zabić tysiące ludzi, i to właśnie robią, ale inaczej niż za czasów Stalina Putin nie ma „technicznych” możliwości mordowania milionów na Ukrainie. Tak więc oceniając od takiej strony sytuację, wydawało się, że Putin nie zaatakuje.

TYLKO „OPERACJA WOJSKOWA”

24 lutego 2022 r. Putin w wystąpieniu telewizyjnym oznajmił: „Podjąłem decyzję o operacji wojskowej”. Celem tej „operacji” miała być „demilitaryzacja” Ukrainy, a więc uczynienie jej bezbronną, oraz „denazyfikacja” (rosyjska propaganda twierdzi, że Ukrainą rządzą jacyś „naziści”). I najważniejsze – zmuszenie Kijowa do rezygnacji ze starań o członkostwo w NATO.

Putin oznajmił, że zarządził „operację” w obliczu „zagrożenia ekspansją NATO” i chodzi mu o to, aby zmienić ukraiński rząd, który prowadzi wrogą politykę, na rząd przyjazny Moskwie. Jednocześnie zapewniał, że nie zamierza okupować Ukrainy.

Prezydent Rosji nie krył się z tym, że gromadzi wojska na granicy z Ukrainą. Wywołał na Zachodzie silne obawy przed wybuchem wojny. Wydaje się, że nie tylko chciał postraszyć Zachód, lecz także

sondował, na ile może sobie na Ukrainie pozwolić, czyli co Zachód zaaprobuje, chcąc uniknąć wojny.

Na Zachodzie zaraz pojawiły się liczne porady, aby nie prowokować wojny z Rosją, uwzględniać jej żądania. Były i są ośrodki polityczne przyjmujące argumentację Moskwy o tym, że Ukraina powinna być strefą rosyjskich wpływów. Przywódcy NATO oświadczyli, że w żadnym wypadku nie skierują wojsk sojuszu północnoatlantyckiego na Ukrainę.

Na konferencji prasowej 19 stycznia prezydent USA Joe Biden powiedział, że „jeśli Rosja wkroczy na Ukrainę, to Putin słono za to zapłaci”. Dodał też jednak, że może zapłacić dużo mniej, jeśli to będzie jakiś „mniejszy najazd”.

Jak wiadomo, dotąd Putin był takim właśnie „mniejszym najeźdźcą” wyrwującym sąsiadom kawałki ich terytoriów – Abchazję, Osetię, Krym. Rosyjski prezydent wyraźnie nie chciał wielkiego konfliktu z Zachodem, w którym Rosja mogłaby wszystko stracić. Można założyć, że gromadząc wojska, drażnił Amerykanów, podniecał opinię światową, strasząc, że stanie się nie wiadomo co, a naprawdę chciał zająć kolejny kawałek terytorium Ukrainy i powiedzieć: „Tyle, więcej nie chcę”, licząc na to, że na Zachodzie

wszyscy odetchną z ulgą i zaaprobuja jego zachowanie.

Minął ponad miesiąc walk na Ukrainie. „Operacja” Putina za sprawą broniących się Ukraińców stała się wojną Rosji z Ukrainą, czyli tym, czego Putin chciał właśnie uniknąć. Widać wyraźnie kierunki działań rosyjskich wojsk – Kijów, wschodnia Ukraina (Charków), tereny położone nad morzami Azowskim (Mariupol) i Czarnym (Odessa). Dowództwo rosyjskie podjęło jednocześnie działania na siedmiu różnych kierunkach operacyjnych. Rosjanie nie odnoszą sukcesów, ponieważ trudno o nie, gdy podejmuje się chaotyczne natarcia w różnych miejscach, nie dysponując dużą przewagą. W boju armii regularnych, aby zwyciężyć, trzeba mieć trzykrotną przewagę w ludziach i uzbrojeniu. Sowiecki marszałek Gieorgij Żukow nie rozpoczynał natarcia, jeśli nie miał dziesięciokrotnej przewagi, atakował, nie licząc się z własnymi stratami (ludzie u nas mnogo) i był z tego powodu nazywany „rzeźnikiem”. Prezydent Biden, będąc w Polsce, też nazwał Putina „rzeźnikiem”, ale Rosja nie może rzucić do walki milionów żołnierzy, bo ich nie ma. Nie może zastosować metody Żukowa.

Teoretyk wojny gen. Clausewitz zalecał, „aby zawsze być dość silnym, przede wszystkim w ogóle, a następnie w punkcie decydującym”. Rosja jest „w ogóle dość silna”, ale jaki jest „punkt decydujący” w operacji zarządzanej przez Putina, nie wiadomo i zdaje się, że sam Putin tego nie wie. Rosjanie atakują bez ładu i składu, mszcząc się na cywilach i bombardując ukraińskie miasta.

29 marca wiceminister obrony Rosji Aleksander Fomin powiedział, że Rosja „radykalnie zmniejszy” aktywność wojskową w okolicach Kijowa i Czernihowa, co oznacza, że „naczelstwo” na Kremlu zaczęło myśleć. Zapewne Rosjanie, odstępując spod Kijowa, ograniczając liczbę kierunków operacyjnych, skoncentrują wysiłki na podboju całych obwodów donieckiego i ługańskiego, żeby je potem anektować i ogłosić swoje zwycięstwo (artykuł złożyłem w redakcji „Do Rzeczy” 12 kwietnia).

ZASADNICZY BŁĄD

Dowództwo rosyjskie, planując operację na Ukrainie, popełniło zasadniczy błąd – zlekceważyło możliwości i gotowość obronną Ukraińców.

W swoim orędziu do narodu 24 lutego Putin pogardliwie wyrażał się o Ukraińcach, mówił o Ukrainie jako o państwie

upadłym, pogrążonym w korupcji i rozprężeniu, rządzonym przez pozbawione legitymacji władze, wysługujące się obcym mocarstwom, zwłaszcza USA. Prezydent Federacji Rosyjskiej chyba uwierzył w to, co głosiła jego propaganda, a żołnierze rosyjscy – zdaje się – uważali, że będą wyzwalać Ukraińców spod władzy „nazistów” i ratować rosyjskojęzyczną ludność na Ukrainie przed grożącym jej „ludobójstwem”.

Bez wątplenia Putin, podejmując decyzję o zaatakowaniu Ukrainy, zakładał, że Ukraińcy nie są zdolni do stawienia liczącego się oporu i wystarczy urządzić „solidną” demonstrację zbrojną, aby ich przestraszyć i zmusić do uległości. Liczył, że samo wkroczenie rosyjskich czołgów sparaliżuje władze Ukrainy i ośmieli do działania zwolenników Rosji, którymi mieli być rosyjskojęzyczni Ukraińcy.

Operacja miała trwać krótko. Ambasadorka Ukrainy w Berlinie Andrija Melnyk w dniu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji zwrócił się o pomoc w uzbrojeniu i sprzęcie wojskowym. Usłyszał od niemieckich ministrów: „W naszej ocenie pozostaje wam, Ukraińcom, kilka godzin. Teraz nie ma w ogóle sensu, żeby wam pomagać”. Generał Erich Vad, były doradca kanclerz Angeli Merkel, powiedział w telewizji ZDF, że Putin wygra dzięki rosyjskiej armii, gdyż jest ona „nowoczesna”, „dobrze wyposażona”, a operacja na Ukrainie potrwa kilka dni i „nie więcej”.

Okazało się, że armia rosyjska nie jest aż tak nowoczesna i wyposażona, aby nie można było się jej przeciwstawić. Ukraińcy stawili opór i chcą zwyciężyć.

Wychodząc z fałszywych założeń przeprowadzenia demonstracji siły, Putin podzielił siły własne na kilka zgrupowań, kierując je na kilka odległych kierunków. Miały zająć rejonu istotne dla planów Rosji: Kijów, wschodnią Ukrainę (Charków), wybrzeże nadmorskie (Mariupol, Odessa). Putin nie wyznaczył jednego dowódcy, postanowił sam dowodzić z odległej Moskwy poszczególnymi jednostkami z wysłanych zgrupowań wojsk.

No i to, co najdziwniejsze – Putin nie określił celu strategicznego operacji, dowódcy rosyjscy nie wiedzieli, co mają osiągnąć, angażując się w walkach z armią ukraińską.

Agresorowi nie tylko nie udało się opanować Kijowa, lecz także nawet nie potrafił w pełni okrążyć stolicy Ukrainy. Nie nastąpił też zapowiadany desant na Odesę i Rosjanie nie przerwali linii frontu

w Donbasie. Charków, drugie największe miasto Ukrainy po Kijowie, wciąż się broni.

Putin i jego generałowie najwyraźniej nie dostrzegli, że od 2014 r. nastąpiło wzmocnienie potencjału sił zbrojnych Ukrainy, odbudowa statusu armii, likwidacja różnych posowieckich patologii, a także modernizacja i remonty sprzętu wojskowego, zasilenie jednostek żołnierzami mobilizowanymi, rozbudowa strukturalna armii, wdrożenie nowych procedur szkolenia. Dodajmy, że dzięki pomocy armii NATO-wskich, w tym polskiej, przeprowadzono szkolenie żołnierzy ukraińskich. Rezultaty tych procesów widzimy na polach bitewnych.

Ukraińskie siły koncentrują się na opóźnianiu działań agresora i obronie miast. Najważniejsze jednostki wojsk ukraińskich zachowują swobodę operacyjną, mogą np. wycofywać się w stronę stolicy, wzmacniając jej obronę. W atakach na rosyjskie wojska Ukraińcy wykorzystują otrzymaną z Zachodu broń przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Istotną rolę odgrywają artyleria oraz drony i amunicja krążąca. Działaniom tym sprzyja wysoka mobilizacja społeczeństwa ukraińskiego, wypełnianie poleceń władz oraz przekazywanie przez ludność cywilną danych o ruchach kolumn przeciwnika. Działania wojsk operacyjnych wspierane są przez obronę terytorialną, dzięki temu udaje się też likwidować rosyjskie próby prowadzenia działań dywersyjnych w dużych miastach.

Dyskusyjne może być założenie, że wojna Rosji z Ukrainą będzie trwać długo, nawet latami. Byłby to wariant dotychczasowych, trwających kilka lat walk z tzw. separatystami na wschodzie Ukrainy, tylko o wiele bardziej intensywnymi i z udziałem rosyjskiej armii regularnej. Można też wyobrazić sobie sytuację patową, gdy Rosja nie zdoła złamać ukraińskiej obrony, a Ukraińcy nie będą mieli siły, aby wyprzeć najeźdźców ze swego terytorium. Zapewne dlatego prezydent Zełenski domaga się dostarczenia samolotów i czołgów, zdając sobie sprawę, że samą bronią „defensywną” Rosjan nie da się przepędzić.

Tymczasem mamy morderstwa, gwałty, rabunek, które w normalnej armii są ścigane i surowo tępione. Popełniający takie przestępstwa żołnierze trafiają przed sądy polowe, grozi im kara śmierci. W armii Putina zbrodnicze działania nie są ścigane, są straszną normą postępowania Rosjan na Ukrainie. A zakończenie wojny jest ciągle opatrzone dużym znakiem zapytania.



Leszek Żebrowski

Wizja wojny i okupacji w polskiej historiografii jest wykrzywiona. Stąd łatwo propagować kłamstwa o naszej przeszłości

Przez ponad trzy dekady Polska nie zdobyła się na wypracowanie w miarę jednolitej polityki historycznej. Podziały z okresu tzw. Polski Ludowej trwają nadal i mają się dobrze. Gdy dla jednych Wojsko Polskie we wrześniu 1939 r., polskie organizacje niepodległościowe, Polskie Państwo Podziemne to kanon etosu narodowego, inni nadal tkwią mentalnie w epoce szkalowania i deprecjonowania patriotyzmu. Są też tacy, którzy równolegle do orientacji sowieckiej lansują – i to coraz bardziej natarczywie – tzw. orientację niemiecką. Czyli Polska w 1939 r. (a właściwie już znacznie wcześniej) powinna stać się sojusznikiem III Rzeszy i liczyć na związane z tym profity, czyli rzekome zdobycze na wschodzie. I za to warto im było oddać tereny dawnych zaborów pruskich, a nawet jeszcze więcej... Takie rozumowanie to propagandowe chciejstwo, a nie rzetelna analiza. Niemcy nie mieli szans wygrania tej wojny mimo początkowych faktycznie oszałamiających sukcesów. Należy brać pod uwagę zasoby i potencjał przemysłowy walczących stron. Po samobójczym wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym 11 grudnia 1941 r. wynik wojny został przesądzony, zwycięstwo Zachodu stało się kwestią czasu. Niemców zaś doświadczenie pierwszej wojny światowej niczego nie nauczyło.

Co mogliby zyskać Polacy, wchodząc w sojusz z III Rzeszą? Początkowo zapewne nie byłoby wobec nas polityki ludobójczej, ale o zgodę na eksterminację Żydów Hitler by nas z pewnością nie pytał. Nawet gdybyśmy chcieli być bierni wobec „kwestii żydowskiej”, to naszego rozszerzającego się udziału nie moglibyśmy uniknąć w sytuacji, gdy sojusznicze dla III Rzeszy Wojsko Polskie biłoby się gdzieś daleko na wschodzie.

Orientacja niemiecka i nasze wojsko jako mięso armatnie miałyby podobną rolę do spełnienia jak Włosi. Gdy chcieli się z sojuszu z Niemcami wycofać, sami



Białorusin Sergiusz Bobko, komendant obozu koncentracyjnego w Kołdyczewie, został złapany i skazany, ale wyszedł po odbyciu dwóch trzecich kary FOT. ARCHIWUM AUTORA

Gnębienie pamięci

padli ofiarą ludobójstwa. Do tego należy pamiętać, że taki „sojusz” Polski z III Rzeszą i tak musiałby być okupiony utratą Wielkopolski, Pomorza i Śląska oraz związanymi z tym deportacjami stamtąd ludności polskiej na rzecz enigmatycznych nabytków na wschodzie.

Polska od początku skierowana była politycznie na zachód, co było uwarunkowane m.in. postawą tamtych państw podczas pierwszej wojny światowej i rolą, którą one odegrały (głównie Francja i USA) w odzyskaniu przez nas niepodległości. Historia nie jest jednak doświadczeniem powtarzalnym i wszystko wyszło inaczej.

Pozostaje nam teraz kształtować postawy i oczekiwania wobec sojuszników jako bardzo ostrożne i niesklaniające nas do uległości za wszelką cenę. Kolejne roczniki, które wypuszcza polska szkoła, są nieprzygotowane do jakichkolwiek ocen i są pozbawiane – w toku nauczania – elementarnej faktografii. Ale kto miałby ich uczyć? Dawna kadra PRL-owska i jej następcy przez nią ukształtowani? To nie problem tylko podręczników, lecz także nauczycieli.

To, co się stało z Polską po wrześniu 1939 r., słusznie jest nazywane IV rozbiorem. Agresja niemiecka, a w ślad za nią sowiecka odebrały nam niepodległość i nastąpił podział łupów, czyli naszego terytorium i jego zasobów. Ale przecież to nie byli wszyscy agresorzy i beneficjenci kolejnego rozbioru. Marionetkowa Słowacja, całkowicie zależna od Niemiec, do wojny przeciw nam przystąpiła jako pierwsza, licząc na pokaźne nabytki terytorialne. Pięćdziesięcioletnia armia zwasalizowanej Słowacji ochotczo walczyła z Wojskiem Polskim. Wziętych do niewoli oficerów i żołnierzy przekazała Niemcom i Sowietom (tu decydowało miejsce wcześniejszego zamieszkania). Niemcy zaś, rozochoceni w miarę łatwą zdobyczą, dali im tylko ochłapy, czyli skrawki II RP. Nie ostudziło to ich zapałów gorliwej uległości. Słowacy nadal bardzo ściśle współpracowali z Niemcami i trwało to prawie do końca wojny. Skrzętnie wyłapywali Polaków (w tym kurierów AK), usiłujących przedostać się tą drogą na Zachód. Oddawani Niemcom na ogół kończyli w Auschwitzu.

Agresorem było również Wolne Miasto Gdańsk (które było wolne tylko nominalnie, bo po 1933 r. zostało całkowicie opanowane przez zwolenników Hitlera). Zostało ono wcielone do III Rzeszy

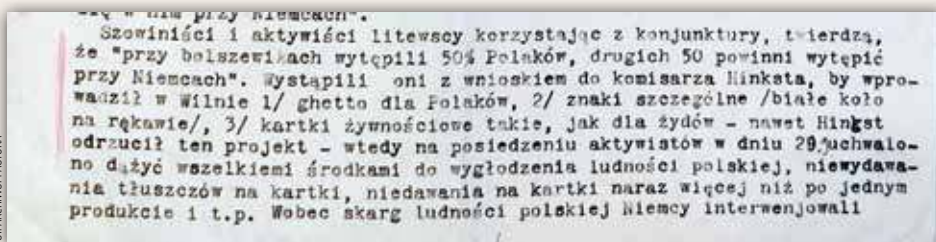
dopiero po południu 1 września 1939 r. Policja niemiecka w Gdańsku i wszelkiej maści ochotnicy z miejsca przystąpili do pogromów miejscowych Polaków, przy okazji rabując ich mienie.

LITEWSKIE ODPOLSZCZANIE

Zapominamy o roli Litwy. Przyjęcie przez nią w październiku 1939 r. podarunku Józefa Stalina, czyli Wileńszczyzny (jak się okazało, na bardzo krótko), było de facto opowiedzeniem się po stronie agresorów. Wileńszczyzna etnicznie była polska. W Wilnie mieszkało zaledwie ok. 1 proc. ludności litewskiej. Były to jednak ziemie historycznie należące do Wielkiego Księstwa Litewskiego, co w międzywojennym dwudziestoleciu

strony litewskiej, dlaczego nie chce ona prowadzić wspólnej z nami polityki, została zobrażowana przez jednego z ich przedstawicieli. Wziął szklanekę z herbatą, wrzucił kostkę cukru i zamieszał łyżeczką. I wyjaśnił: ten cukier to Litwini. Poprawiają w takim związku smak, ale bezpowrotnie znikają. Faktycznie, tak się działo w okresie I RP, podczas unii polsko-litewskiej, ale nie było w tym jakiegokolwiek przymusu z naszej strony. Nie byłymi agresorami i kolonizatorami.

Teraz zatem Litwini chcieli skorzystać ze sprzyjającej im koniunktury i odpolszczyć Wileńszczyznę. Jak się okazało, nie tylko, bo i Litwę kowieńską, gdzie żyła znacząca mniejszość polska. Radość Litwinów trwała jednak krótko – już



było przedmiotem sporu między II RP i Litwą. Dlatego klęska Polski w 1939 r. została przyjęta przez Litwę z radością, a nie z refleksją, co będzie dalej. Prezent sowiecki w postaci Wileńszczyzny rozbudził w Litwinach apetyt na przyszłość, a część litewskich elit skłoniła nawet do taktycznej współpracy z Sowietami przeciwko Polakom. Polscy niepodległościowcy patrzyli na to bardziej perspektywnie. Już pod koniec 1939 r. prowadzili poufne rozmowy z politykami litewskimi, uczulali ich, że zwycięstwo Sowietów, jak również Niemców jest tylko czasowe, a wojna będzie rozstrzygnięta zupełnie inaczej. Rozmowy jednak nic nie dały.

Jak relacjonował uczestnik tych negocjacji – mec. Witold Świerzewski (reprezentant Stronnictwa Narodowego) – pierwsze godziny upłynęły na sporach proceduralnych. Litwini nie zgadzali się na rozmowy w języku polskim. W zamian Polacy nie chcieli rozmawiać po litewsku. Rosyjski nie wchodził w grę. Polacy proponowali jeden z języków zachodnich. Litwini ofertę przyjęli i wybrali język francuski. Okazało się, że jego znajomość po stronie litewskiej była bardzo słaba. Wreszcie Litwini zgodzili się na język polski z zastrzeżeniem, że to nie będzie ujawnione. Argumentacja

w czerwcu 1940 r. Sowietci zagarnęli ich państwo włącznie z Wileńszczyzną, czyli z wcześniejszym „wspaniałomyślnym” podarunkiem. Praktycznie nieznaną szerzej meldunkowi polskiego wywiadu (Związkowi Walki Zbrojnej) z tych terenów są przerażające. Według nich skrajni szowiniści litewscy zaangażowali się bardzo mocno w pomoc Sowietom w tępieniu polskości. Jeszcze dalej taka polityka litewska zaszła jednak pod okupacją niemiecką, czyli od czerwca 1941 r. Zmienił się okupant, ale nie polityka Litwinów wobec Polaków. Rozpoczęły się coraz bardziej brutalne napady: „Ostonę bojową stanowią wojsko i policja litewska. Napady odbywają się w dzielnicach [Wilna] mniej uczęszczanych przez Niemców. Używane są tępe narzędzia i noże, którymi niszczy się odzież. W wielu wypadkach spowodowano ciężkie uszkodzenia ciała”. Zaczęto dochodzić do mordów na Polakach, równoległe do eksterminacji Żydów. A było to dopiero preludium wydarzeń nadchodzących. Raporty wywiadowcze nie pozostawiały złudzeń: „Szowiniści i aktywiści litewscy, korzystając z koniunktury, twierdzą, że »przy bolszewikach wytępił 50 proc. Polaków, drugie 50 powinni wytępić przy Niemcach«. Na szczęście były to wielkości bardzo przesadzone, tym

■ niemniej były zapowiedzią, jaki los ma nas wkrótce spotkać. I faktycznie, kolaboracyjne formacje litewskie nie miały żadnych hamulców. Eksterminacja ludności polskiej prowadzona była z porównywalnym okrucieństwem, dokonywanym przez Ukraińców na terenach południowo-wschodnich. Wileńszczyzna miała być zasiedlona przez Litwinów masowo sprowadzanych z Litwy właściwej. Rozmiary zbrodni (biorąc pod uwagę liczebność ludności litewskiej) były przerażające. Na terenie tylko jednego powiatu – nowoświęciańskiego – już w pierwszym roku okupacji, czyli do czerwca 1942 r., eksterminowano ok. 2 tys. Polaków!

W trakcie trzech lat okupacji niemieckiej (1941–1944) zginęło z rąk litewskich ok. 20 tys. Polaków! Nie było liczących się sił litewskich, które opowiadałyby się przeciwko temu procederowi. Co więcej, wezwania do całkowitego wyłączenia Polaków stały się powszechne, oczekiwano bowiem „pogromu Polaków jako elementu gorszego od Żydów”. I faktycznie, już pod koniec 1941 r. Litwini oczekiwali, że Niemcy pozwolą im w Wilnie na utworzenie getta dla Polaków. Chcieli zapewnić stronę logistyczną, a więźniów oznaczyć białymi, okrągłymi łatami. Niemcy na nasze szczęście nie przyjęli tej propozycji, jako dla nich przedwczesnej. Nie zraziło to jednak litewskich kolaborantów. Według meldunków wywiadu ZWZ postanowili „dążyć wszelkimi środkami do wygłodzenia ludności polskiej, niewydawania tłuszczów na kartki, niedawania na kartki naraz więcej niż po jednym produkcie itp.”.

Polskie przeciwdziałania takiej polityce nie przynosiły żadnych rezultatów, a brak kontrakcji tylko rozzuchwalał szowinistów. Apele o opamiętanie się trafiały w próżnię i eksterminacja polskiego żywiołu nie ustawała. Musiały w związku z tym zapaść stanowcze decyzje. Komendant Okręgu Wileńskiego AK ppłk Aleksander Krzyżanowski wezwał głównodowodzącego wojska litewskiego, gen. Povilasa Plechavičiusa, do odpowiedniej reakcji. W odezwie z 15 maja 1944 r. pisał: „[...] tam, gdzie operują oddziały litewskie na służbie niemieckiej, bezpieczeństwo ludności polskiej i białoruskiej jest żadne, ponieważ do zbrodni popełnianych przez bandy sowiecko-żydowskie dochodzą jeszcze zbrodnie żołnierzy litewskich, znajdujących się na służbie niemieckiej [...]”. Przytaczając

wiele przykładów takich zbrodni, apelował: „Udzielamy ostatecznej przestrogi i zapowiadamy, że metody stosowane przez nas w walce z oddziałami litewskimi ulegną radykalnej zmianie. [...] od dnia 15 V br. zapowiadamy najostrzejsze kontreprezje, jeżeli strona litewska nie zmieni swoich metod walki. Jeżeli strona litewska będzie szukała odwetu na bezbronnej ludności, będzie mordowała kobiety, dzieci, starców, jeńców i aresztowanych, to strona polska zapowiada odwet bezwzględny, aż do przerwienia oddziałów na teren Litwy i wtedy zobaczymy, kto więcej straci [...], albo wojna bezwzględna i bezpardonowa, albo idee Niepodległej Polski i Niepodległej Litwy”.

Nic to jednak nie dało. Litwini byli przekonani, że są to tylko słowa (jak dotychczas), i śpieszyli się przed nadejściem Sowietów, aby depolonizacja była jak największa. Szalę przeważał mord w Gliniszkach, popełniony 20 czerwca 1944 r. Zginęło wówczas w pacyfikacji 39 Polaków, w tym aż 11 dzieci. Mordy zostały rozszerzone na okoliczne miejscowości. Dopiero zapowiedziany przez ppłk. „Wilka” polski „odwet bezwzględny”, przeprowadzony przez oddziały AK na Litwie kowieńskiej (było kilkadziesiąt ofiar po stronie litewskiej, w tym w Dubinkach 21–27 czerwca), powstrzymał litewskich szowinistów. W wyniku walk z kolaborantami litewskimi ginęła również ludność cywilna. Dziś o Dubinki oskarża się publicznie i głośno mjr. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, choć on osobiście nie brał w tym udziału i nie wydał takiego rozkazu! I to nie on dowodził tymi pacyfikacjami. A wkrótce przyszli Sowietci, „wyzwalając” te tereny i robiąc odpowiedni „porządek” z Polakami i Litwinami.

BANDY NA WSCHODZIE

Kłeskę polskiej państwowości starały się wykorzystać dla siebie mniejszości narodowe na terenach wschodnich. Już w momencie agresji sowieckiej (17 września 1939 r.) do dzieła depolonizacji tych terenów przystąpiły prosowieckie bandy (żydowsko-białoruskie na północy i żydowsko-ukraińskie na południu), niszcząc polskie lokalne elity: inteligencję, urzędników, policjantów, osadników wojskowych, księży, ziemian, mniejsze grupy rozbitych oddziałów WP itd. Bardzo często odbywało się to ze szczególnym okrucieństwem. W ten sposób zamordowano nawet kilkanaście tysięcy ludzi!

Tam, gdzie głęboko zapuścili się Niemcy, dawali tym ideologicznym bojówkom ochronę. Jest o tym mowa np. w „Księdze pamięci” (yizkor book) Lubomla na Wołyniu, że istniała tam „tymczasowa żydowsko-ukraińska rada miasta, która pracowała ramię w ramię z niemieckimi władzami wojskowymi przy rozbrajaniu pojmanych polskich żołnierzy. [...] Niemcy nie robili żadnej krzywdy Żydom”. Ale Polakom już robili – aresztowano bowiem starostę, prokuratora, członków administracji, znaczniejszych obywateli. W ręce Niemców owa „rada” oddała schwytanych i rozbrojonych żołnierzy WP.

Współpraca bojówek żydowsko-białoruskich i żydowsko-ukraińskich z wkraczającymi Niemcami była powszechna i wszędzie wywieszano czerwone sowieckie szmaty z sierpem i młotem i – na dowód przyjaźni – czerwone szmaty z hitlerowskim hakenkreuzem, a znak solidarności obu odmiian socjalizmu.

Czy już nie czas, aby spojrzeć na ten okres inaczej niż dotychczas, uczciwie i konkretnie?

Zarówno Białorusini, jak i Ukraińcy (podobnie do Litwinów) otrzymali duży margines swobody. Mieli własne wojsko, policję, administrację lokalną. Wszędzie ujawnił się drastyczny antypolonizm, uderzający głównie na ślepo. Czasem pojawiali się nieoczekiwani sojusznicy, jak np. Węgrzy, którzy brali nas w obrotę. Jak mówi jeden z polskich meldunków: „Dużą rolę w walce z bandami [ukraińskimi] odgrywają Węgrzy. [...] pochwyceni przez Węgrów członkowie band ukraińskich sprowadzani są do Lwowa. Na ulicach Lwowa widzi się takie grupy pod eskortą Węgrów; eskortowani mają ręce powiązane drutem kolczastym, a wielu z nich ma przywiązane do rąk siekiery, widły itp., to znaczy narzędzia mordu, z jakimi zostali ujęci”.

Ukraińcy mieli znacznie wyższe przydziały żywności, a w przestrzeni publicznej napisy: „Nur für Deutsche und die Ukrainer” („Tylko dla Niemców i Ukraińców”) były zjawiskiem powszechnym. W skrajnych przypadkach były jeszcze bardziej drastyczne, np. na świątyniach katolickich skonfiskowanych przez Ukraińców na potrzeby ich „kultu” zawisły tablice: „Polakom, Żydom i psom wstęp wzbroniony”. Niemcy nie dali Ukraińcom oczekiwanej przez nich niepodległości, mimo to kolaboracja była powszechna. Większość sowieckiej

Nr 115.

STEN. Nienawiść Litwinów do Polaków podsycana przez Niemców, przy stosowaniu gwałtów i teroru zmierza do wyniszczenia żywiołu polskiego na Wileńszczyźnie. Proszę o przeciwdziałanie międzynarodowe prasą i radiem oraz ostrzeżeniem przez radio i zrzucając ulotki do Litwinów. WRZOS.
dn. 5. IX. 42r. 106 grup.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

milicji na tych terenach (sformowanej z nizin społecznych: parobków, chłopów i robotników, ale przede wszystkim z lumpenproletariatu) masowo przesłała na stronę niemiecką, tworząc nową, tym razem „ukraińską” milicję, choć jej niezależność była iluzoryczna. W końcu była to tylko zamiana socjalizmu czerwonego na brunatny.

Kolaboranci ukraińscy, wkraczając razem z Niemcami w 1941 r. do wschodniej Małopolski, kontynuowali dzieło zniszczenia z września 1939 r. Nie jest prawdą, że ludobójstwo na Polakach rozpoczęło się dopiero latem 1943 r., głównie na Wołyniu. Ono zaczęło się cały czas, przybierając coraz bardziej drastyczne formy i wobec braku polskiego odwetu przybierało na sile. Mordowanie Polaków nie dotyczyło tylko wsi, pojawiło się również w miastach, takich jak Lwów. Ale gdy w 1944 r. zbliżali się Sowietzi, ludobójcy starali się zacierać za sobą ślady, powszechnie zmieniając tożsamość ukraińską na... polską. O tym też jest mowa w bardzo licznych meldunkach polskiego podziemia:

„Od dłuższego czasu dochodzą konkretne wiadomości, że duża ilość Ukraińców wszelkimi sposobami stara się zaopatrzyć w polskie »kenkarty«. Robią to przede wszystkim ci, którzy wyjechali już na zachód [czyli na teren GG], względnie mają zamiar wyjechać. [...] Metody zdobywania kennkart polskich są rozmaite. [...] Zwraca jednak specjalnie uwagę, że z reguły ofiary zagadkowych morderstw na młodych Polakach, które się mnożą we Lwowie od pewnego czasu, obrabowywane są z dowodów osobistych. Ponieważ stwierdzono w kilku konkretnych wypadkach, że mordercami byli milicjanci ukraińscy, nie jest wykluczone, że mord miał miejsce między innymi na celu zaopatrzenia się w te dowody. [...] od miesiąca napływają do władz [niemieckich] coraz częściej podania nawet o zmianę wyznania greckokatolickiego na rzymskokatolickie, aby w drodze legalnej uzyskać kennkartę polską, a nie ukraińską.

W związku z tym musimy się liczyć, że po wojnie nawet w centrum państwa

wielu Ukraińców, mających nawet bardzo ciężkie zbrodnie na sumieniu, ukrywać się będzie pod polskimi dowodami ukraińskimi”.

Kto wie, ilu takich zbrodniczych kretów wtopiło się w polskie społeczności po wojnie? Z pewnością nie był to nieistotny margines, to było zjawisko powszechne. Ale nikt nigdy tego nie badał, w dodatku wielu wcześniejszych ludobójców znalazło sobie miejsce w komunistycznych służbach. Sługa łatwiej zmienia sobie życiorys i pana niż mentalność. Mimo dostrzegania owego dramatu polskie podziemie niewiele mogło zrobić, jednak stanowczo ostrzegało przed tym procederem:

„Ostrzeżenie. Z Ziemi Wschodnich, szczególnie z Małopolski Wschodniej, napłynęły do województw centralnych dziesiątki tysięcy Ukraińców, uciekających przed bolszewikami. [...] wielu niewątpliwie bezpośrednio lub pośrednio jest winnych śmierci naszych braci, mordowanych przez bandy ukraińskie, wielu jest na usługach Gestapo [...]. Ukraińcy znają dobrze język polski i mają w ten sposób ułatwione dostanie się do środowisk polskich, tym też są niebezpieczniejsi”.

To samo zjawisko, choć na mniejszą skalę (z uwagi na wielokrotnie mniejszą liczebność Litwinów i Białorusinów w stosunku do Ukraińców), dotyczyło również kolaborantów litewskich oraz białoruskich. Białorusini, analogicznie do Litwinów i Ukraińców, również otrzymali specjalny status pod okupacją niemiecką, nie jest bowiem prawdą, że wszyscy obywatele II RP byli tak samo prześladowani przez Niemców. Własne wojsko, policja, administracja, szkolnictwo – to była polityka Niemców, aby dodatkowo skłócać mniejszości z Polakami i pozyskać ich do udziału w ludobójstwie. I niestety, pozyskali. Białorusini dostąpili nawet szczególnego „zaszczytu” – Niemcy zafundowali im bowiem oboz koncentracyjny w Kołdyczewie, który stał się obozem zagłady m.in. Polaków. Zginęło tam – w ciągu zaledwie dwóch lat – ponad 22 tys. ludzi, głównie załuczonych

drewnianymi pałami. Relacje z pierwszych ekshumacji (zaraz po wejściu Sowietów) były bardzo drastyczne. Na przykład Maria Lichutowa (z d. Oleńska), poszukująca swych najbliższych, opisała to następująco: „Przez parę dni poszukiwałam moich najbliższych w rozkopanych, wiejących trupią wonią dołach mogiłnych. [...] odnalazłam i wydobyłam zwłoki moich rodziców, Adama i Ewy Oleńskich, siostry Wiktorii Łotyszzonek z domu Oleńskiej, z przyciśniętym do piersi ciałkiem niemowlęcia płci żeńskiej, urodzonym w obozie przed kilku tygodniami, a także zwłoki wujostwa [...]. Na wydobytych z mogiły zwłokach nagich i półnagich nie zauważyłam śladów od kul z broni palnej, z wyjątkiem ciała wuja Mariana Popkowskiego, który miał podziurawiony serią pocisków brzuch. W grobie, z którego wydobyłam zwłoki rodziców, znajdowało się mnóstwo drewnianych pałek, którymi, sądzę, ofiary były zabijane”.

Komendantem KL Kołdyczewo był Białorusin, por. Sergiusz Bobko, a od roku 1943 Nikołaj Kalko. Do dyspozycji mieli stuosobową załogę funkcjonariuszy białoruskiej Sicherheitsdienst (SD). Formalny nadzór nad nimi pełnił podoficer SS Franz (Fritz) Jörn.

OPRAWCY W POLSCE LUDOWEJ

Wielu z oprawców zalegalizowało się po wojnie w Polsce Ludowej. Niektórzy z nich – rozpoznani i ujęci po latach – stanęli przed komunistycznymi sądami. Byli to: Sergiusz Bobko (zmienił nazwisko na Stefan Bukowski), Aleksander Weronik i Aleksander Leusz (stał się Józefem Suchockim). Zostali skazani na kary śmierci. Ale krzywda im się nie stała: już w styczniu 1958 r. Rada Państwa PRL zmieniła ich wyroki na 25 lat więzienia. W wyniku amnestii wyroki Aleksandra Leusza i Aleksandra Weronika zostały obniżone do 10 lat. Sergiusz Bobko został zwolniony (były jakieś względy szczególne?) po odbyciu dwóch trzecich kary. Wielu jednak zdołało emigrować na Zachód, w tym do USA, jak np. dowódca straży obozowej Sergiusz Hutyrczyk. Nigdy nie stanął przed jakimkolwiek wymiarem sprawiedliwości.

Część ludobójców została ujawniona i skazana na śmierć w Związku Radzieckim. W 1962 r. spotkało to strażników: Mikołaja Kalkę, Michaiła Kuchtę, Andreja Karolewicza i Leonida Sinkiewiczza. Wyroki te zostały wykonane. Franz (Fritz)

2. Próby zabezpieczenia się.

Od dłuższego czasu dochodzą konkretne wiadomości, że duża ilość Ukraińców wszelkimi sposobami stara się zaopatrzyć w polskie "kennkarty". Robią to przede wszystkim ci, którzy wyjechali już na zachód - względnie mają zamiar wyjechać. Niemniej i Ukraińcy, którzy sąją sobie sprawę, że pozostaną na miejscu w razie wejścia wojsk sowieckich, również często starają się zaopatrzyć na wszelki wypadek w polskie "kennkarty", sądząc, że w czasie okupacji sowieckiej będzie to dla nich wygodniejsze.

Metody zdobywania kennkart polaków są rozmaite. Oczywiście, udaje się Ukraińcom uzyskać przede wszystkim fałszywe dowody. Zwraca jednak specjalnie uwagę, że z reguły ofiary sągaskowych morderstw na młodych Polakach, które się mnożą we Lwowie od pewnego czasu, obrabowywane są z dowodów osobistych. Ponieważ stwierdzono, w kilku konkretnych wypadkach, że mordercami byli milicjanci ukraińscy - nie jest wykluczone, że morderca miał między innymi na celu zaopatrzenie się w te dowody.

Do jakiego stopnia Ukraińcy cenią sobie polskie dokumenty wskazuje najlepiej fakt, że od miesiąca napływają do władz coraz częściej podania nawet o zmianę wyznania greckokatolickiego na rzymskokatolickie, aby w drodze legalnej uzyskać kennkartę polską a nie ukraińską.

W związku z tym musimy się liczyć, że po wojnie nawet w centrum Państwa wielu Ukraińców, mających nawet bardzo ciężkie zbrodnie na sumieniu, ukrwających się będzie pod polskimi dowodami osobistymi.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

■ Jörn został odnaleziony przez NKWD w łagrze w Kursku. Po wyroku został powieszony.

Bez pokazywania (czyli znajomości) bardzo szerokiego tła i kontekstu ówczesnych wydarzeń historia okupacji, Polskiego Państwa Podziemnego i wzajemnych stosunków Polaków z mniejszościami zamieszkującymi II RP staje się niezrozumiała. Z jednej strony uroczyste, ale niestety, coraz bardziej cukierkowe obchody rocznic itp., z drugiej zaś - narastające jak tsunami ataki, gdzie orężem jest karykaturalne przedstawianie Polaków jako morderców i ludobójców, niemające potwierdzenia w faktografii. Według takiej postawy Polacy nie mieli prawa do drastycznej samoobrony, a przecież tylko taka była skuteczna.

NORMALNIE ŻYĆ?

Podobnie jest z Żołnierzami Wyklętymi. Z jednej strony cukierkowy, upaństwowiony kult, z drugiej - potępienie w czambuł, bo przecież mogli ujawnić się, iść do pracy i na studia, a w konsekwencji „normalnie” żyć. I wszystko byłoby dobrze. Nie byłoby. Ci, którzy ujawniali się, szli do pracy i na studia, byli aresztowani, torturowani (aby wydobyć z nich wszelką wiedzę o przeszłości i potencjalnych „wrogach ludu”), a następnie mordowani. Taki los spotkał

ujawnionych przecież por. Jana Rodowicza „Anodę” i gen. Augusta Fieldorfa „Nila”. To oczywiście tylko przykłady. Inni trafiali na długie lata do strasznych więzień.

Niemcy też wmawiali Polakom, że mogą normalnie żyć i pracować, jeśli nie będą stawiali oporu i pogodzą się z sytuacją: „Nikt od Was nie wymaga niczego, co by się nie dało pogodzić z Waszą godnością i z Waszym poczuciem narodowym. Warto jednak, abyście wciąż pamiętali o tym, że jesteście Polakami i że kultura polska jest kulturą zachodnią, związaną nierozdzielnie z duchem i tradycją historyczną całej Europy. [...] Tylko orientacja europejska może uratować Polskę”.

Argumenty niemieckie, wtedy wprost idiotyczne, dziś mogą być przez zwolenników współpracy z nimi brane na poważnie. Bo czemu nie? Ot, chociażby takie, jak w jednej z niemieckich odezwo do Polaków: „[...] były również jakieś ograniczenia, jakieś reglamentacje, ale człowiek żył na ogół u siebie w domu, po swojemu, jadł nawet lepiej niż w Niemczech. Rynki zarzucone wprost były wszelkim towarem żywnościowym. W bród było masła, mięsa, pieczywa, chleba różnego gatunku - ba, nawet można było łatwo dostać produkty za-

morskie”. To dlaczego Polacy nie chcieli żyć w takim dobrobycie, wprost luksusie, tylko się ciągle buntowali? Bo to była nieprawda!

Czy Sowieci i rodzimi komuniści nie argumentowali podobnie? Chodziło im przecież tylko o zaniechanie wszelkiego oporu, podporządkowanie się i wykonywanie poleceń.

A przecież powojenne podziemie niepodległościowe, czyli Żołnierze Wyklęci, chciało normalnie żyć, bez narzuconej niewoli - tak jak wcześniej niemieckiej, od 1944 r. ponownej sowieckiej. Była to ciągłość organizacji, kadr i ten sam interes narodowy - pozbycie się narzuconej, krwawej okupacji. Po 1944 r. straciło życie kilkadziesiąt tysięcy Polaków oczekujących wolności i godności.

Płytkość dzisiejszej propagandy (niestety, z obu stron) powoduje, że w pseudodyskusjach historycznych i politycznych panuje wolnoamerykańka, pozbawiona wszelkich reguł. Dodatkowym czynnikiem jest to, że kłamstwo w tzw. przestrzeni publicznej zagnieżdżyło się na dobre i stale się rozrasta, jest bowiem całkowicie bezkarne. Przykładem może być post(?)komunistyczna postać Joanna Senyszyn, według której Berlina w 1945 r. broniły oddziały... Narodowych Sił Zbrojnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKI

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl 9ab43e9c76



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Hitler na celowniku

Lipiec 1944 r. Alianci Lancaster wleciał nad terytorium III Rzeszy. Pod osłoną nocy zrzucił oddział skocz- ków spadochronowych w mundurach niemieckich strzelców alpejskich. Byli to – przebrani w uniformy wroga – polscy komandosi. Elita sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Żołnierze ci mieli do wykonania tajną misję, która miała odmienić losy wojny.

Polakom po wylądowaniu udało się przedostać niepostrzeżenie w miejsce akcji. Wśród polskich śmiatków znajdował się snajper i to on w oddziale był najważniejszy.

„Cel był już na wprost niego, w idealnym miejscu do oddania strzału. Wstrzymał oddech, wziął pierś mężczyzny w celownik. Delikatnie nacisnął spust.

Lufę poderwało nieco do góry, padł strzał. Pocisk z impetem i hukiem opuścił lufę i po sekundzie trafił w cel. Wszedł w pierś mężczyzny, przebijając płuco i rozrywając lewą komorę serca. Roztrzaskawszy żebra, wyszedł z drugiej strony, powodując bryzgnięcie krwi na twarz i jednocześnie kładąc krwawy cień za nim.

Mężczyzna zatrzymał się i zachwiał, po czym upadł na kolana. Strzelec nie czekał, machinalnie przeładował broń, przymierzył powoli w statyczny już cel. Wystrzelił jeszcze raz, tym razem mierząc w głowę.

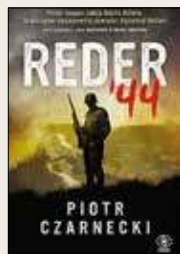
Ponownie poczuł kopnięcie mausera i podrzut lufy. Rozległ się strzał, a po chwili głowa mężczyzny wręcz eksplodowała. Pocisk trafił w skroń, rozrywając czaszkę, z której część poleciała w trawę, a część, z kawałkami mózgu i okiem, zawisła na resztkach skóry i tętnic. Mężczyzna z tryskającą na wszystkie strony fontanną krwi z czegoś, co chwilę wcześniej było jego głową, przewrócił się bezwładnie na lewy bok. Jego ciałem targały konwulsje. Po chwili wierzgnął jeszcze dwa razy nogą w nienaturalny sposób i zastygł w bezruchu.

Zlufy mausera unosiła się smużka dymu. Te kilka sekund napięcia zmęczyło strzelca. Wyrównał oddech, chciał chwilę odpocząć.

Obok niego znalazł się porucznik.

– Dobra robota. Właśnie zabiłeś Adolfa Hitlera”.

W ten sposób zaczyna się jedna z najciekawszych powieści historical fiction, jakie kiedykolwiek czytałem. Polacy zabijają Hitlera. Jakie to będzie miało konsekwencje dla dalszego przebiegu wojny? Czy dojdzie do zmiany sojuszy? Jaki będzie los Polski i Europy?



★★★★★
PIOTR CZARNECKI
„REDER '44”
REBIS

Piotr Czarnecki napisał nie tylko świetną powieść sensacyjną, lecz także frapującą, dającą do myślenia książkę z gatunku „co by było, gdyby...”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki kariery noblisty

Henryk Sienkiewicz marzył o studiach w Szkole Głównej w Warszawie, choć jego świadectwo maturalne raczej nie upoważniało go do snucia podobnych planów. Widniały na nim głównie oceny dostateczne, a tylko z geografii, historii i języka polskiego miał stopnie bardzo dobre. Doskonale ilustrowało

już wtedy zdecydował się na karierę literacką.

Pierwsze próby nie uzasadniały jego optymizmu, ale usiłował zainteresować swoją osobą redakcje stołecznych gazet. „Tygodnik Ilustrowany” odrzucił jego „Sielankę młodości”, choć odmowę publikacji okraślił kilkoma konwencjonalnymi słowami zachęty.

Jego debiutem prasowym okazała się recenzja teatralna, napisana w zastępstwie stałego autora i zamieszczona na łamach „Przeglądu Tygodniowego” (18 kwietnia 1869 r.). W tym czasie powstał też szkic o Mikołaju Sepie Szarzyńskim, który trzy miesiące później opublikował „Tygodnik Ilustrowany”. Sienkiewicz miał jednak większe ambicje – pracował nad powieścią „Na marne”, mając nadzieję, że znajdzie dla niej wydawcę. Jeden z jego przyjaciół, Konrad Dobrski, chciał ją nawet opublikować własnym kosztem, a gdy okazało się to niemożliwe, próbował przekonać do tego Józefa Kraszewskiego. Ten zaś powieść pochwalił, jednak jej nie wydał, gdyż w międzyczasie zdążył sprzedać drukarnię.

„Na marne” ostatecznie ukazało się trzy lata później w odcinkach na łamach krawkowskiego „Wieńca”, a w tym samym czasie pojawiły się również „Humoreski z teki Worszyły”. Pierwszą z nich autor podpisał pseudonimem Litwos, natomiast pod drugą figurował pod imieniem i nazwiskiem, choć nie do końca własnym, gdyż z powodu błędu redakcyjnego autorstwo przypisano niejakiemu Henrykowi Stankiewiczowi... ©©

**Sienkiewicz uznał,
że może zostać
pisarzem
bez dyplomu**

to jego zainteresowania i predyspozycje, a przy okazji też potwierdzało tezę, że wybitne jednostki rzadko odnajdują się w ramach zinstytucjonalizowanej edukacji.

Pomimo tego trafił do Szkoły Głównej, ale pod wpływem matki wybrał medycynę. Był to jednak tylko wybieg, ponieważ gdy rodzicielka z córkami wyjechała na jakiś czas z Warszawy, natychmiast przeniósł się na wydział filologiczno-historyczny. Z trudem zdobywał środki na życie, mieszkał na ciasnej stacji, czasami prosił znajomych o pożyczki w wysokości kilku rubli. Studia ukończył już po likwidacji Szkoły Głównej – na rosyjskojęzycznym Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. W jego przypadku można zresztą mówić tylko o zakończeniu nauki, bo uczelnię opuścił bez zdania końcowego egzaminu z greki. Uznał, że może zostać pisarzem bez dyplomu, bo



Olivier Bault

Marine Le Pen w pierwszej turze osiągnęła najlepszy wynik do tej pory, ale wciąż faworytem jest Emmanuel Macron

Nazajutrz po pierwszej turze wyborów prezydenckich we Francji prawdziwe trzęsienie ziemi, które przeżył kraj 10 kwietnia, najlepiej oddawał dramatyczny apel kandydatki centroprawicowej partii Republikańskiej (Les Républicains, LR), Valérie Pécresse. Ponieważ nie przekroczyła progu 5 proc., uprawniającego kandydatów do otrzymania refundacji wydatków na kampanię wyborczą, oznajmiła wyborcom, że ani ona, ani jej partia nie są w stanie zwrócić 7 mln euro wydanych w ostatnich miesiącach i że stawką jest przetrwanie centroprawicy. Twierdzi, że sama jest zadłużona na 5 mln euro. Dlatego też prosiła o darowizny swoich wyborców, a także tych, którzy woleli głosować na kandydata mającego większe szanse (sondaże przedwyborcze dawały jej ok. 7–9 proc. głosów).

Pięć lat wcześniej, pomimo atmosfery skandalu związanej z aferami ujawnionymi i ściganymi przez tzw. prokuraturę finansową stworzoną i kontrolowaną przez socjalistyczny rząd prezydenta Hollande'a, kandydat centroprawicy, były premier prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego – François Fillon – otrzymał 20 proc. głosów, plasując się tuż za Marine Le Pen (21,3 proc. głosów) i przed lewicowcem Jeanem-Lukiem Mélenchonem (19,6 proc. głosów). Tym razem kandydatka partii, która do 2017 r. od dziesięcioleci była wraz z Partią Socjalistyczną jedną z dwóch głównych formacji politycznych nad Sekwaną, uplasowała się z wynikiem 4,8 proc. głosów dopiero na piątym miejscu, daleko za lewicowo-liberalnym centrystą Emmanuelem Macronem (27,8 proc. głosów), za kandydatką populistycznej prawicy Marine Le Pen (23,2 proc.), za kryptokomunistą Jean-Lukiem Mélenchonem (22 proc.) oraz za liberalno-konserwatywnym eselistą i dziennikarzem najchętniej odwołującym się do dziedzictwa gen. de Gaulle'a Érikiem Zemmourem (7,1 proc.). Tuż za Pécresse znalazł się ekologista Yannick Jadot (4,6 proc.), a dalej wszy-



Le Pen nigdy nie była

scy pozostali kandydaci. Było ich razem 12, a wśród nich trójka zadeklarowanych komunistów!

O ile wynik pani mer Paryża Anne Hidalgo, na poziomie 1,8 proc. (10. miejsce), jest niejako zwieńczeniem procesu uśmiercania Partii Socjalistycznej zapoczątkowanego przez wywodzącego się z tego ugrupowania prezydenta Macrona (w 2017 r., po wystąpieniu z socjalistycznego rządu i samodzielnym starcie Emmanuela Macrona, kandydat socjalistów Benoît Hamon otrzymał 6,4 proc. głosów), o tyle wynik Pécresse jest potwierdzeniem upadku formacji dokonującego się od wyborów do Parlamentu Europejskiego z 2019 r., kiedy na Republikańców zagłosowało tylko nieco ponad 8 proc.

A zatem po pierwszej turze tegorocznych wyborów prezydenckich we Francji można śmiało stwierdzić, że trwający do 2017 r. podział na socjalistów i centroprawicę jest przeżytkiem, a trwająca wciąż dominacja tych dwóch partii na poziomie samorządów – a co za tym idzie, również w Senacie – wynika już tylko z siły inercji.

KTO MIAŁ RACJĘ?

Druga lekcja płynąca z wydarzeń z 10 kwietnia jest taka, że to nie Zemmour miał rację, ale Le Pen. Zemmour chciał połączenia prawicy ludowej z tą prawicą bardziej elitarną, czyli zjednoczenia Francuzów mniej zamożnych, ale przywiązanych do tożsamości i suwerenności



tak blisko celu

Francji z jednej strony, oraz konserwatywnej burżuazji z drugiej. Marine Le Pen natomiast głosi od lat pogląd, że podział na prawicę i lewicę to przeszłość, a liczy się głównie walka o interesy zwykłych Francuzów przeciw elitom globalistycznym, antynarodowym, których interesy reprezentują właśnie ludzie pokroju Emmanuela Macrona.

Jak zauważył w opinii opublikowanej 11 kwietnia redaktor brytyjskiej gazety „The Telegraph” Ambrose Evans-Pritchard, „narodowy socjalizm Marine Le Pen to potężna polityczna mieszanka”. Przestrzegał przy tym, że „nie ma sensu próbować przywoływać luźnych analogii do lat 30. Le Pen rywalizuje przy urnach wyborczych i w ramach rządów prawa.

Nikt nie sugeruje, że po wejściu do Pałacu Elizejskiego planuje wprowadzenie ustawy o pełnomocnictwach z 1933 r. lub francuskiego państwa policyjnego. Jej ideologicznymi wrogami są zarówno anglosaski globalistyczny kapitalizm, jak i superpaństwo UE. To spojrzenie na świat, które jest na wskroś francuskie. Dlatego też Macronowi tak trudno jest się z nią zmierzyć”.

Można powiedzieć, że wojna na Ukrainie bardzo pomogła zarówno pani Le Pen, jak i urzędującemu prezydentowi. Z jej powodu temat masowej imigracji i utraty tożsamości Francji narzucały od wielu miesięcy przez Érica Zemmoura zszedł na drugi plan, co dobrze było widać nie tylko w mediach, lecz także

w badaniach opinii publicznej. Wraz z narastającą inflacją najważniejszym zmartwieniem Francuzów stały się ceny energii i podstawowych produktów i na tym kandydatka Zjednoczenia Narodowego (RN) najbardziej skupiała swoją kampanię. Jak wyjaśniał mi podczas spotkania w Budapeszcie na tydzień przed wyborami francuskimi europoseł Nicolas Bay, ostatni liczący się konserwatysta z RN, który postanowił w lutym przejść do obozu liberalnego konserwatysty Zemmoura, program i poglądy Marine Le Pen dotyczące imigracji są powszechnie znane i nie musi ona o nich mówić, natomiast prawie nikt nie słyszał o programie Zemmoura w kwestiach nie dotyczących sfery imigracji, choć taki program był przedstawiany. Taki stan rzeczy wynika po części z tego, że francuskie media mainstreamowe przestały tak bardzo atakować Le Pen i manipulować jej wypowiedziami po to właśnie, aby atakować Zemmoura i przedstawiać go jako kandydata bardziej radykalnego od niej. Sama Le Pen przyznawała w miesiącach poprzedzających wybory, że dzięki Zemmourowi zyskuje wizerunek polityka umiarkowanego i odpowiedzialnego. Wizerunek ten został dodatkowo wzmocniony przez spotkania z premierami Polski i Węgier, które miały miejsce jesienią ub.r. oraz w styczniu, w związku z podpisaniem deklaracji o przyszłości Europy przez 15 partii konserwatywnych z 14 krajów Unii Europejskiej.

Przesadą jest jednak nazywać program pani Le Pen socjalistycznym, jak to czyni autor „The Telegraph”. Bardziej właściwe jest twierdzenie, które można było przeczytać np. w hiszpańskim „El Mundo” 11 kwietnia, że Francja może stać się po 24 kwietnia „drugimi Węgrami wewnątrz UE”. Program Marine Le Pen zawiera bowiem zapowiedź referendum na temat imigracji oraz obietnicę zakończenia możliwości ściągania rodzin imigrantów żyjących we Francji, co nieuchronnie wywoła konflikt z francuskimi odpowiednikami polskiego TK i NSA, czyli z Radą Konstytucyjną i Radą Stanu, a w dalszej kolejności z TSUE, podobnie jak zapowiedź procedowania wszystkich procedur azylowych poza terytorium Francji i plan systematycznego wydalań obcych kryminalistów i przestępców.

Do tego program wyborczy Marine Le Pen przewiduje wzmacnianie kar za zbrodnie i przestępstwa, przywrócenie prawdziwej kary dożywocia i budowę więzień. W sferze gospodarki i wspierania

FOTO: BLOMBERG/GETTY IMAGES

rodzin Le Pen opowiada się za obniżką VAT na nośniki energii (na paliwa samochodowe, olej opałowy, gaz i prąd), zwolnieniem z podatku dochodowego wszystkich Francuzów poniżej 30. roku życia, większymi zwolnieniami podatkowymi dla rodziców oraz w przypadku spadków i darowizn przekazywanych w rodzinach, podwojeniem zapomóg dla matek samotnie wychowujących dzieci, podwyższeniem i indeksacją emerytur, brakiem podniesienia wieku emerytalnego (które zapowiada Emmanuel Macron – z 62. do 65. roku życia), inwestycjami w energię jądrową, inwestycjami w system ochrony zdrowia, większą liczbą lekcji francuskiego, historii i matematyki w szkołach itp. Wiele z tych propozycji może się wydawać kopią polityki Fideszu na Węgrzech czy nawet rządów PiS w Polsce.

Dodatkowo Marine Le Pen otwarcie zapowiada, że przywróci suwerenność bezprawnie zabraną przez Unię na przestrzeni ostatnich lat lub tam, gdzie będzie tego wymagał żywotny interes Francji. Kiedy europejski Trybunał Sprawiedliwości nałożył na Polskę dzienną karę w wysokości miliona euro za brak likwidacji Izby Dyscyplinarnej, liderka RN oznajmiła na Twitterze, że gdyby to ona była prezydentem Francji, przekazałaby te pieniądze Polsce i odliczyłaby je od francuskiej składki do unijnego budżetu.

Kolejne podobieństwo z Węgrami polegałoby zapewne na stosunku do Rosji w kontekście interesów narodowych Francji i niechęci do sankcji nałożonych na ten kraj przy jednoczesnym potępieniu rosyjskiej agresji na Ukrainie. Natomiast jeśli chodzi o obronę, to już przed inwazją Ukrainy kandydatka RN obiecywała zwiększenie wydatków w tej dziedzinie i postawienie na wymiar narodowy (wyjście z dowództwa zintegrowanego NATO, nacisk na marynarkę, rezygnacja z francusko-niemieckich programów zbrojeniowych dotyczących przyszłych samolotów bojowych i czołgów, rezygnacja z koncepcji wspólnej obrony europejskiej w ramach struktur UE na rzecz współpracy bilateralnej z wybranymi krajami z UE i spoza UE, a w pierwszym rzędzie z Wielką Brytanią itd.).

SCENARIUSZE WYBORCZE

Pytanie tylko, czy Marine Le Pen może faktycznie wygrać wybory prezydenckie we Francji. Sondaże na razie dają większe szanse jej rywalowi. Dwa z nich przeprowadzone zaraz po zamknięciu

Marine Le Pen zapowiada, że przywróci suwerenność bezprawnie zabraną przez UE na przestrzeni ostatnich lat

lokali wyborczych dawały odpowiednio wynik 54 proc. do 46 proc. oraz 51 proc. do 49 proc. na korzyść urzędującego prezydenta. Dla porównania: zaraz po pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2017 r. sondaże prognozowały wynik na poziomie 60 proc. do 40 proc., a w ostateczności na liderkę Frontu Narodowego zagłosowało tylko 34 proc. wyborców.

Komentarze we francuskich mediach podczas wieczoru wyborczego i naza jutrz po pierwszej turze były zgodne co do faktu, że Marine Le Pen prowadziła do tej pory bardzo sprawną kampanię, ma bardziej spójny program, wydaje się lepiej przygotowana i ogólnie jest w dużo lepszej sytuacji niż pięć lat temu, tym bardziej że dysponuje większą rezerwą głosów u przegranych konkurentów z pierwszej tury. Na jej korzyść przemawia także to, że Emmanuel Macron ma za sobą pięć trudnych lat rządzenia Francją i багаż wielu niezrealizowanych obietnic. Warto także zwrócić uwagę na inną okoliczność. Jeśli wierzyć badaniu instytutu Ipsos opublikowanemu zaraz po pierwszej turze, to o ile Macron wyprzedził Le Pen wśród wyborców powyżej 60. roku życia, o tyle pozostaje w tyle za kandydatką RN we wszystkich innych kategoriach wiekowych. U osób poniżej 35 lat jest nawet na trzeciej pozycji, na pierwszej jest natomiast skrajny lewicowiec Jean-Luc Mélenchon, który jako typowy przedstawiciel tzw. islamolewicy wygrywa także w dzielnicach imigranckich. Można zatem śmiało postawić tezę, że pozycja Mélenchona jako zwolennika „kreolizacji” Francji wśród młodych wyborców wynika także z tego, iż w tej kategorii wiekowej większy udział mają Francuzi pochodzący z rodzin imigranckich. Ta część elektoratu Mélenchona zapewne zagłosuje na Emmanuela Macrona w drugiej turze lub pozostanie w domach. Natomiast druga jego część, kierująca się propozycjami socjalnymi kandydata, może zechcieć głosować na Marine Le Pen.

Według badania Ifop-Fiducial dla telewizji TF1 przeprowadzonego 10 kwietnia zaraz po zamknięciu biur wyborczych i ogłoszeniu wyników pierwszej tury – chodzi o wspomniane badanie dające Marine Le Pen 49 proc. głosów w drugiej turze – 24 kwietnia prawie jedna czwarta wyborców Mélenchona zamierza oddać swój głos na Marine Le Pen, a jedna trzecia na Emmanuela Macrona. Reszta nie zamierza brać udziału w drugiej turze. Wśród wyborców kandydatki centroprawicy Valérie Pécresse głosy rozkładają się po równo: 35 proc. na Macrona i 35 proc. na Le Pen przy 30 proc. wybierających absencję. Przy tym 76 proc. wyborców Zemmoura zamierza głosować na Le Pen, 4 proc. na Macrona, a 20 proc. na żadnego z nich.

Gdyby natomiast Marine Le Pen wygrała wybory prezydenckie, do rozstrzygnięcia w kolejnych wyborach pozostałaby kwestia parlamentarnej większości, zwłaszcza większości w Zgromadzeniu Narodowym. Bez tego politycznego zaplecza Le Pen nie mogłaby wiele zdziałać. W czerwcu mają się odbyć wybory do Zgromadzenia Narodowego we Francji. To wybory jednomandatowe w dwóch turach. Jeśli zsumować głosy oddane na Marine Le Pen i na Érica Zemmoura 10 kwietnia, to daje to nieco ponad 30 proc. poparcia, zgodnie zresztą z sumą poparcia wyrażaną dla obu kandydatów w sondażach od wielu miesięcy. A zatem zakładając, że partie obu prawicowych liderów wystawią wspólnych kandydatów w pierwszej turze lub będą chociaż w stanie porozumiewać się między turami (do drugiej tury dostaje się każdy kandydat, który uzyskał poparcie ze strony co najmniej 12,5 proc. zarejestrowanych wyborców), w teorii możliwe jest uzyskanie bezwzględnej większości przez tzw. obóz narodowy.

Podsumowując, po pierwszej turze wyborów prezydenckich we Francji faworytem pozostaje Emmanuel Macron, co nie zmienia faktu, że po dwóch nieudanych startach (w latach 2012 i 2017) Marine Le Pen nigdy nie była tak blisko celu. Wszystko będzie teraz zależało od kampanii, w której Emmanuel Macron będzie zapewne wzywać Francuzów do przeciwstawienia się „skrajnej prawicy”, a jego konkurentka będzie zachęcać do oddawania na nią głosu wszystkim tych, którzy nie chcą, aby Francja podążyła dalej drogą liberalizmu, eurofederalizmu, progresizmu i multikulturalizmu, którą obrała pół wieku temu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



EUROPOSŁANKA PACYFISTKA

Gdyby ktoś myślał, że trudno w Parlamencie Europejskim przebić wywody np. Sylwii Spurek, to się pomylił. W ubiegłym tygodniu zabrała tam głos irlandzka europosłanka Clare Daly. Tłumaczyła, że nie należy dawać Ukrainie broni, bo... przez to wojna trwa dłużej i nie można zawrzeć pokoju. Twierdziła też, że sankcje są niedobre, bo przez nie cierpią „zwykli ludzie”. Na koniec zaapelowała: „Odpowiedzią na wojnę nie jest wojna, ale pokój”.

FOT. MALL CARSON/PA IMAGES/GETTY IMAGES

NIEMIECKA POMOC

Polski Ostrów Wielkopolski jest miastem partnerskim niemieckiego Nordhausen. Niemcy postanowili wesprzeć swoich polskich partnerów, którzy przyjęli uchodźców z Ukrainy. W tym celu dwuosobowa delegacja z biura nadburmistrza Nordhausen przyjechała do Ostrowa. Pracownicy urzędu przejechali 600 km, by osobiście przywieźć 750 euro zebrane wśród kolegów i 300 euro ze zbiórki zorganizowanej przez Koło Przyjaciół Nordhausen – Ostrów Wielkopolski.

FASZYSTOWSKIE POZDROWIENIE

Rosja usilnie szuka „nazistów” na Ukrainie, tymczasem powinna lepiej szukać we własnym kraju, bo jeden objawił się podczas kartingowych mistrzostw Europy. Wygrał tam 15-letni Rosjanin Artem Sewerichin. Z powodu sankcji występował pod flagą Włoch. Gdy odgrywano mu jako zwycięzcy włoski hymn, Rosjanin wyciągnął rękę w faszystowskim pozdrowieniu. Międzynarodowa Federacja Samochodowa wszczęła w tej sprawie postępowanie, a szwedzki klub samochodowy rozwiązał z Rosjaninem umowę.

DONOSZĄ NA NAUCZYCIELI

Uczniowie w zachodniej Rosji zapytali nauczycielkę, dlaczego sportowcy z tego kraju nie mogą brać udziału w zawodach. Ta wytłumaczyła im, że będzie tak dopóty, dopóki Rosjanie będą prowadzić wojnę, którą wywołali, napadając na suwerenny kraj. Młodzi ludzie ją nagrali i donieśli do organów ścigania. Wobec nauczycielki zostało wszczęte śledztwo. Za mówienie prawdy o wojnie w Rosji grozi do 15 lat więzienia. To już co najmniej czwarta nauczycielka, na którą w tej sprawie donieśli podopieczni.

CNN O „POLSKICH OBOZACH”

Amerkańska dziennikarka przyjechała do Polski, by zrobić materiał o Żydach, którzy przyjęli pod dach uchodźców z Ukrainy. Ci opowiadali jej też historie przodków, którzy przeżyli Holokaust. Dziennikarka, przytaczając te opowieści w materiale, mówiła o „polskich obozach” koncentracyjnych. Interweniował w tej sprawie ambasador Polski w USA. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Jak zarobić na strachu

Rosyjska inwazja na Ukrainę rozbudziła zainteresowanie schronami przeciwoatomowymi nie tylko w Szwajcarii, gdzie od lat 60. ubiegłego wieku obowiązuje prawo nakazujące budowę betonowych schronień, które w razie wybuchu trzeciej wojny światowej, awarii elektrowni atomowej etc. powinny pomieścić wszystkich mieszkańców kraju uznawanego za jedno z najbezpieczniejszych państw na świecie.

O swoje bezpieczeństwo coraz bardziej obawiają się również Niemcy. Urzędnicy państwowi zlecili już opracowanie nowej kon-

cepcji wzmocnienia podziemnych parkingów, stacji kolejowych etc. tak, aby mogły dawać schronienie w przypadku bombardowań.

Strach przed zbliżającą się wojenną zawieruchą najlepiej widać było w niemieckich supermarketach, gdzie – jak donoszą zachodnie media – na półkach zaczęło brakować makaronów, mąki i innych produktów z krótkiej listy każdego początkującego preppera.

Co bogatsi inwestują np. we wzmocniane stałą niewielkie pomieszczenia, które mają zwiększyć szanse na przeżycie podczas działań wojennych. Ogromny ruch w interesie odnotowała też

berlińska firma BSSD, sprzedająca niewielkie prywatne bunkry chroniące użytkowników w razie ataku chemicznego, biologicznego, a nawet jądrowego. Jak poinformował portal dw.com, przed wojną na stronę BSSD wchodziło 100–300 osób dziennie, a po rosyjskiej inwazji liczba ta skoczyła do ponad 10 tys. Prywatny schron o powierzchni niecałych 10 mkw. kosztuje bez montażu 49 tys. euro (227 tys. zł), a za luksusowy bunkroapartament o powierzchni 90 mkw. trzeba już zapłacić 360 tys. euro (1,67 mln zł). Chętnych jest tylu, że najbliższe terminy realizacji są dopiero pod koniec roku. ©

Broń dyplomatyczna



Maciej Pieczyński

Młode państwo ukraińskie dochowało się sprawnych, kompetentnych i odważnych dyplomatów, którzy potrafią skutecznie walczyć o interes kraju na froncie polityki zagranicznej

Podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ 18 marca przedstawiciel Moskwy przekonywał, że wojska rosyjskie nie prowadzą działań przeciwko cywilom. W odpowiedzi ambasador Ukrainy przy ONZ Serhij Kyslyca sugerował, że rosyjski dyplomata może cierpieć na zaburzenia psychiczne towarzyszące sprawcom zbrodni. Stwierdził, że celem inwazji jest mordowanie dzieci. Podczas poprzedniego posiedzenia przedstawił zgromadzonemu zapis rozmowy rosyjskiego żołnierza z matką. Prerażony żołnierz opowiadał: „Tu toczy się prawdziwa wojna, boję się. Bombardujemy tu wszystkie miasta, strzelamy nawet do cywilów. Mówili nam, że będziemy tu witani, ale rzucają się tu pod nasze czołgi, nie pozwalają przejechać”. Kyslyca to tylko jeden z wielu twardych, bezkompromisowych dyplomatów ukraińskich, którzy w trudnym czasie wojny stają na wysokości zadania.

Ihor Hołod, pochodzący z Odessy pracownik jednej z restauracji w niemieckim kurorcie Baden-Baden, opublikował w Internecie apel w sprawie rosyjskich zbrodni na Ukrainie. Restauracja zorientowana jest na rosyjskojęzyczną klientelę. Dlatego Hołod został zwolniony z pracy. Reakcja ukraińskiego MSZ była zdecydowana. „Moja wiadomość do zwolenników Putina w Niemczech i innych krajach – jesteście jak piloci rosyjskich samolotów, którzy zabijają ukraińską ludność cywilną” – napisał na profilu na Facebooku. Zwrócił się też bezpośrednio do właścicieli restauracji: „Nawet najlepsze niemieckie detergen-

ty nie zmyją z waszych rąk i z waszej restauracji krwi niewinnych ofiar”. Ihor Hołod otrzymał ze strony MSZ niezbędną pomoc konsularną oraz wsparcie w postaci konsultacji prawnych. „Państwo ukraińskie nikomu nie pozwoli krzywdzić swoich obywateli. Ani na Ukrainie, ani za granicą” – zapewnił Kułeba. Sam jest dyplomatą młodym (rocznik 1981), ale już doświadczonym (w MSZ pracuje od 2003 r.), byłym przedstawicielem stałym Ukrainy przy Radzie Europy, byłym wicepremierem ds. integracji z UE i NATO, gorącym zwolennikiem zachodniego kursu.

PARADY HAŃBY

Bardzo sprawnie o interesy ukraińskie w Niemczech dba ambasador Andriy Melnyk. Dyplomata nie przebiera w słowach i nie boi się zdecydowanie krytykować polityki państwa przyjmującego. Przekonał się o tym niejednokrotnie sam niemiecki prezydent. Gdy Frank-Walter Steinmeier zorganizował pod koniec marca koncert solidarności z Ukrainą, Melnyk odmówił wzięcia w nim udziału, ponieważ na scenie mieli wystąpić rosyjscy artyści. Tak tłumaczył tę decyzję: „Afront. Przepraszam, będę trzymał się z daleka [...] Boże drogi, dlaczego prezydentowi federalnemu tak trudno jest uświadomić sobie, że dopóki rosyjskie bomby spadają na miasta oraz dzień i noc mordowane są tysiące cywilów, dopóty my, Ukraińcy, nie mamy ochoty na »wielką kulturę rosyjską«? Basta”. „Steinmeier od dziesięcioleci tworzył pajęczynę kontaktów z Rosją. Zaangażowanych jest wiele osób, które są

obecnie związane z aktualnym rządem” – powiedział Melnyk w wywiadzie dla „Tagesspiegel”.

Ambasador Ukrainy w Niemczech oskarżył głowę państwa przyjmującego o „utrzymywanie bliskości politycznej” z Moskwą. „Dla Steinmeiera stosunki z Rosją były i pozostają czymś fundamentalnym, nawet świętym, bez względu na to, co się może wydarzyć. Agresywna wojna nie odgrywa tu większej roli [...] Niemcy nadal mają zbyt wiele własnych interesów w stosunku do Rosji, takich jak zależność od gazu, ropy i węgla. Winne są tu również wieloletnie działania Steinmeiera jako szefa kancelarii, a później jako ministra spraw zagranicznych” – grzmiał Melnyk. Kiedy indziej dostało się premierowi Saksonii Michaelowi Kretschmerowi. Polityk publicznie opowiedział się przeciwko wysyłaniu czołgów na Ukrainę i nałożeniu embarga na Rosję. Kretschmer stwierdził też, że Niemcy nie mogą stać się stroną w wojnie oraz że powinny utrzymywać stosunki z Moskwą. „Chce pan dalej przytulać się do swojego kumpla Putina. Pańska służalczość wobec tego zbrodniarza wojennego pozostanie wieczną hańbą” – tak postawę premiera Saksonii podsumował Melnyk. Ukraiński ambasador potępił również organizację prorosyjskich demonstracji w niemieckich miastach, nazywając je paradami hańby, a także skrytykował władze za to, że w ogóle na tego typu manifestacje pozwalają. Wprost wezwał do wprowadzenia w Niemczech zakazu publicznego pokazywania jakichkolwiek symboli

Ukraiński ambasador przy ONZ

Serhij Kyslyca przekonywał, że celem inwazji Rosji jest mordowanie dzieci

FOT. MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES



Federacji Rosyjskich dopóty, dopóki trwa wojna.

Na początku kwietnia niemiecki minister finansów i szef koalicyjnej partii FDP Christian Lindner zapowiedział rozmowy z koalicjantami na temat zaostrożenia kursu wobec Moskwy. „Pięknie, że będziecie rozmawiać o sankcjach na Rosję od jutra, a nie dopiero po świętach. Zobaczymy, jakie luki tym razem Niemcy stworzą” – ironizował Melnyk. Trudno tego rodzaju złośliwości uznać za kanon standardowych działań dyplomatycznych. Melnyk często zachowuje się jak agresywny publicysta. Wypowiada się nie jak ambasador słabszego i ogarniętego wojną kraju, który prosi o pomoc silniejszych i bogatszych partnerów, ale wręcz jak namiestnik imperium w podbitej kolonii. Pouczający ton znany skądinąd z relacji polsko-amerykańskich. Jednak, paradoksalnie, beczelność Melnyka przynosi niektóre pożądane dla Kijowa skutki. Przede wszystkim poprawność polityczna każe Niemcom powstrzymać się przed otwartą krytyką przedstawiciela państwa zmagającego się z obcą agresją. Zupełnie inaczej zachowują się Węgrzy. Gdy Zełenski zarzucił Orbánowi pro-rosyjskość, ambasador Ukrainy została wezwana na dywanik. O Melnyku szef frakcji CSU w Bundestagu stwierdził, że reprezentuje swój kraj w sposób „doskonały”. Steinmeier, zamiast się obrazić na zuchwałego i niewygodnego ambasadora, w końcu zaczął się bić we własne piersi. Tak należy traktować słowa Franka-Waltera Steinmeiera, który niewiele ponad

miesiąc po wybuchu pełnowymiarowej wojny przyznał: „Stawialiśmy na budowę mostów, w które Rosja już nie wierzyła i przed którymi ostrzegali nas nasi partnerzy”. Prezydent Niemiec za swój błąd uznał poparcie dla budowy gazociągu Nord Stream 2. To niewiele pomogło. Steinmeier nie jest mile widziany w Kijowie. Od tygodni zachodni przywódcy coraz częściej odwiedzają ukraińską stolicę, co pokazuje też siłę skutecznie broniącego się państwa. Jednak Steinmeiera Zełenski przyjąć nie chce. Niemiecka prasa jest w tej sprawie podzielona.

WALKA O LOTY

Ukraińscy dyplomaci walczą o interes swojego kraju i jego obywateli nawet w tak – wydawałoby się – drobnych sprawach jak ceny biletów lotniczych. Ambasador w Irlandii Łarysa Heraško zauważyła, że linie Ryanair podniosły ceny wylotów z krajów graniczących z Ukrainą, żeby zarobić na uchodźcach. Interweniowała we władzach linii, a gdy to nie pomogło – sprawę wyniosła na szczebel rządowy. Część tamtejszej klasy politycznej wsparła ukraińską ambasadorkę. Deputowany do izby wyższej irlandzkiego parlamentu Gerry Horkan zasugerował, że Ryanair zamiast podnosić ceny, powinien uruchomić bezpłatne loty dla uchodźców z Ukrainy. Ważnym kierunkiem działań ukraińskiej dyplomacji są relacje z NATO. Kijów nie tyle apeluje, ile wręcz żąda pomocy ze strony państw sojuszu. Zarzuca też krajom Zachodu, że zwyczajnie nie chcą przyjąć Ukrainy do NATO. Albo ze strachu przed reakcją Rosji, albo z uwagi na własne interesy polityczne. Kijów stara się usilnie przekonać Zachód, że Moskwa nie zamierza zatrzymać się na Ukrainie. A co za tym idzie, w interesie szeroko rozumianej wspólnoty euroatlantyckiej powinno być pokonanie Rosji, zanim zapuka do ich bram. „W 2008 r. Francja i Niemcy popełniły strategiczny błąd, odrzucając wysiłki USA i innych sojuszników, by wprowadzić Ukrainę do NATO. Teraz płacimy za ten błąd. To nie Niemcy czy Francja ponoszą koszty tego błędu, tylko Ukraina” – grzmiał Kułeba w wywiadzie udzielonym niedawno amerykańskiej telewizji NBC News.

Celem ukraińskiej polityki zagranicznej w czasie wojny pozostaje zarówno integracja z Zachodem, jak i wciągnięcie Zachodu, tu i teraz, do czynnego udziału w konflikcie. Za większym zaangażowaniem po stronie Kijowa mocno lobbuje Warszawa. Żeby jeszcze mocniej wciągnąć Polskę do wojny, ukraińscy politycy wykorzystują Smoleńsk

Zarówno Zełenski, jak i Kułeba dali jasno do zrozumienia, że ich zdaniem za tę tragedię odpowiadają Rosjanie. Ambasador Andrij Deszczyca ze zrozumieniem odniósł się do pomysłu włączenia syren alarmowych 10 kwietnia. PiS zyskał ważki moralnie argument na rzecz teorii o zamachu. Anty-PiS nie może sobie pozwolić na otwartą krytykę Ukraińców. Tak czy inaczej, Polska wciąż do wojny nie weszła. Najdalej idąca ze strony Warszawy inicjatywa misji pokojowej NATO nie zyskała większego poparcia nie tylko w ramach sojuszu, lecz także w samym Kijowie.

Przez wiele tygodni Zełenski apelował do państw NATO o zamknięcie przestrzeni powietrznej nad Ukrainą. To by oznaczało ogromne ryzyko bezpośredniej konfrontacji sojuszu z Rosją. W tym wypadku Kijów sukcesu nie odniósł. Dlatego wielu przedstawicieli tamtejszego obozu władzy demonstruje zniechęcenie do NATO. Dla Rosji sojusz jest wrogiem numer jeden, a sam sojusz nie pali się do przyjmowania Ukrainy. Niektórzy politycy z obozu władzy nad Dnieprem zastanawiają się, czy może rezygnacja z aspiracji NATO-wskich byłaby tym ustępstwem, które Moskwę zadowoli, a na którym Kijów i tak nic nie straci. Z drugiej strony NATO pomaga Ukrainie tak bardzo, że kolejnym krokiem byłoby już tylko strzelanie do Rosjan. Na razie muszą strzelać do nich sami Ukraińcy, przy użyciu NATO-wskiej broni i NATO-wskiej amunicji, ze wsparciem NATO-wskiego wywiadu. Dlatego rezygnacja z NATO wcale nie byłaby dla Kijowa łatwą decyzją. Szczególnie że praprzyczyną wybuchu wojny był prounijny, a nie pronatowski zwrot społeczeństwa, a następnie państwa ukraińskiego.

Problemem dla Moskwy jest generalnie prozachodni kurs Kijowa. O ile stosunek do NATO nie jest nad Dnieprem jednoznaczny, a perspektywy wejścia do sojuszu są nikłe, o tyle zupełnie inaczej wygląda sytuacja na odcinku unijnym. Tu kontrowersji brak. Ursula von der Leyen niedawno przyjechała do Kijowa i osobiście wręczyła Zełenskiemu dokumenty niezbędne do nadania Ukrainie statusu państwa kandydującego do UE. Obiecała też przyspieszoną procedurę rozpatrzenia kandydatury. To jeden z największych sukcesów ukraińskiej dyplomacji od momentu rosyjskiej inwazji. Choć z drugiej strony to oczywiste, że „przyspieszonej procedury” nie byłoby, gdyby nie owa inwazja...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kosztowna solidarność



Łukasz Warzecha

Co biegaczowi po wygranej w wyścigu, jeśli zaraz za metą padnie i skona? Tak lakonicznie można opisać spór o jednostronną rezygnację z rosyjskich surowców przez Polskę, a także o tempo ewentualnej rezygnacji na poziomie UE

Polska jest jedynym krajem UE, który zapowiedział już, podając konkretne terminy, rezygnację ze wszystkich trzech rodzajów rosyjskich surowców, a w jednym aspekcie – węgla – już ten plan niemal zrealizował. Zwolennicy wprowadzenia przez Polskę embarga „dla przykładu” uważają, że uderzamy w ten sposób w rosyjską gospodarkę, zasilaną pieniędzmi ze sprzedaży surowców, osłabiając Rosjan w ich wojnie z Ukrainą, a tym samym chroniąc siebie samych. Sceptycy wskazują natomiast, że jakkolwiek uwolnienie się od rosyjskich surowców jest dobrym kierunkiem, to jednak nie jesteśmy gotowi, żeby sfinalizować je tak szybko, jak zapowiedział premier Morawiecki. Co więcej, mało prawdopodobne jest, żeby do szybkiego embarga na ropę i gaz udało się namówić wszystkie kraje UE, a świecenie moralnym przykładem przez Polskę narobi znacznie więcej szkód nam samym niż Rosji. Czyli – efekt osiągniemy znikomy lub żaden, za to sami się wykończymy.

WĘGIEL, ROPA, GAZ

Spójrzmy najpierw, jak wygląda sprawa z węglem z Rosji, ponieważ tutaj embargo pojawi się zapewne najszybciej. Na razie jest zawarte w procedowanej w tej chwili w Senacie ustawie o przeciwdziałaniu rosyjskiej agresji na Ukrainę (tej samej, w której miał się znaleźć zapis o zamrożeniu majątku dowolnego podmiotu i osoby ze względu na zagrożenie bezpieczeństwa

narodowego), a także w piątym, uzgodnionym już pakiecie unijnych sankcji – z tym że w tym drugim przypadku ma wejść w życie dopiero od 10 sierpnia. Już samo to pokazuje różnicę w podejściu Polski i krajów UE: odsunięty nieco w czasie termin unijnego embarga daje państwom członkowskim czas na zaopatrzenie się w surowiec przed sezonem zimowym. Polska takiego czasu sobie nie zostawiła – wszystkie postanowienia ustawy mają wejść w życie w dniu po jej ogłoszeniu.

Tymczasem – wbrew beztroskim deklaracjom minister Moskwy podczas konferencji prasowej z premierem – kwestia rosyjskiego węgla nie jest w Polsce marginalna. Owszem, wszystkie duże zakłady, od których zależy nasze bezpieczeństwo energetyczne, zużywają węgiel z polskich kopalni. Tylko ok. 20 proc. zużycia pochodzi z importu, z tego z kolei trochę ponad 70 proc. z Rosji. Z tych 20 proc. aż 60 proc. to węgiel lub jego produkty pochodne kupowane przez indywidualnych konsumentów, czyli służące po prostu do ogrzewania domów. Reszta to małe ciepłownie, np. komunalne, oraz koksownie. Problem w tym, że choć siedzimy na węglu, to nie jesteśmy w stanie zwiększyć wydobycia tak, aby import z Rosji zastąpić węglem krajowym. Jasno powiedział to już prezes Polskiej Grupy Górniczej.

Owszem, węgiel można próbować sprowadzać z innych miejsc. Pełnomocnik rządu ds. krytycznej infrastruktury

energetycznej Piotr Naimski wymienia tu kraje takie jak RPA czy Australia. Tyle że popyt mocno przekracza podaż, a wydobycie u takich producentów jest zakontraktowane na długo do przodu. Oznacza to jedno: ceny węgla pójdą ostro w górę – co przyznaje sam Naimski. Już dzisiaj jest źle – ceny węgla są wyższe w relacji do 2021 r. o ponad 100 proc. W ubiegłym roku ekogroszek kosztował 1,3 tys. – 1,6 tys. zł za tonę, w tym – już 1980 zł. Po wejściu w życie embarga będzie dużo drożej, zwłaszcza że dziś zapasy węgla w Polsce są minimalne. Analitycy portalu WNP.pl szacują, że może nam zabraknąć ok. 9 mln ton węgla. Ucierpią głównie ubożsi, bo to oni na ogół wciąż wykorzystują produkty węglowe do ogrzewania. Rząd na razie postanowił problemu nie dostrzegać i nie proponuje żadnego rozwiązania. Wiele wskazuje na to, że zimą ludzie będą po prostu marznąć, bo nie będzie ich stać na ogrzewanie.

O ile problem węgla dotyczy niemałej grupy, ale jednak ograniczonej, o tyle inaczej jest z ropą – a to zdecydowanie największy polski problem. Nasze własne wydobycie w zasadzie nie istnieje, więc cała używana w dwóch polskich rafineriach (Gdańsk i Płock) ropa pochodzi z importu. W tym imporcie rosyjska ropa stanowi, wedle różnych szacunków, ok. 50 proc., przy czym w ciągu dwóch dekad Polsce udało się bardzo mocno zredukować ten odsetek – w 2000 r. było to aż 93 proc. naszego importu. Mamy też wybudowany

DLACZEGO NIE POWINNIŚMY REZYGNOWAĆ Z ROSYJSKICH SUROWCÓW

w epoce gierkowskiej Naftoport – nasz duży atut.

To wszystko nie znaczy jednak, że jesteśmy w stanie bezproblemowo z rosyjskiego importu zrezygnować w tak błyskawicznym tempie, jakie zakłada rząd. A już na pewno będzie to bardzo drogo kosztować, a przecież ropa to nie tylko benzyna na stacjach, lecz także olej napędowy – krew gospodarki wpływająca na ceny wszystkich, od najbardziej podstawowych towarów do skomplikowanych usług. Polskie rafinerie zarabiają dzisiaj na tzw. dyferencjale: przerabiają słabej jakości ropę rosyjską, produkując wysokiej jakości paliwa. Czyli kupują względnie tanio, a sprzedają po znacznie wyższej rynkowej cenie. Ten zysk tracą, zastępując import rosyjski np. dużo droższym importem z Arabii Saudyjskiej. Ten kierunek jest najbardziej prawdopodobny, ponieważ Orlen związany jest partnerstwem z Saudi Aramco, które objęło udziały w rafinerii Lotosu w Płocku.

To jednak politycznie komplikuje inny potencjalny kierunek dostaw, czyli irański. Świat wyczekuje porozumienia nuklearnego z Iranem, bo to pozwoliłoby temu krajowi wpompować do światowego systemu duże ilości ropy ze względu na zniesienie embarga. Nie wiadomo jednak, czy ta ropa popłynęłaby także do Polski, skoro politycznie Iran (szyicki) i Arabia Saudyjska (sunnicka) są potężnie skonfliktowane i z całą pewnością Rijad będzie się starał wykorzystać zdobytą w Polsce wpływy, żeby zablokować sprzedaż irańskiej ropy do naszego kraju.

Kilka rzeczy nie budzi wątpliwości. Po pierwsze – trudno będzie wypełnić lukę po rosyjskiej ropie. Po drugie – wątpliwe, czy rychło zostanie wprowadzone unijne embargo, skoro w UE jest wiele państw jeszcze bardziej zależnych od rosyjskiego surowca niż Polska. Słowacja to praktycznie zależność stuprocentowa, Finlandia – 92 proc., Litwa – 79 proc., Węgry – ok. 60 proc. Po trzecie – ropa sprowadzana czy to z Bliskiego Wschodu, czy z Wenezueli (która jako potencjalne źródło jest wciąż w grze) będzie znacząco droższa. Jak to eufemistycznie ujął Piotr Naimski: „Nie spodziewałbym się radykalnych obniżek”.

Mamy jeszcze dodatkowy problem. Przez Polskę rurociągiem „Przyjaźń” płynie rosyjska ropa do dwóch wschodnionieemieckich rafinerii – Schwedt i Leuna. Jeżeli Polska pospieszy się z jednostronnym embargiem, to niemieckie rafinerie będą nadal przerabiały tani rosyjski surowiec, podczas gdy my będziemy mieli już tylko

ten znacznie droższy, i najpewniej chętnie będą sprzedawać paliwa do Polski. Nie kupi ich oczywiście Orlen, ale już inne sieci lub małe prywatne stacje – zapewne tak. Może się wtedy okazać, że przynajmniej w części kraju mamy horrendalnie drogą „etyczną” benzynę i wyraźnie tańszą benzynę „od Putina”. Im gorsza będzie sytuacja finansowa Polaków, tym mniej będą ich obchodzić względy etyczne.

Możemy też oczywiście zdecydować się na zakręcenie kurka i odcięcie niemieckich zakładów od rosyjskiej ropy, ale wtedy ryzykujemy gigantyczną awanturę z Berlinem, bo byłoby to oczywiście działanie sprzeczne z unijnymi regułami.

Jednostronne odcięcie się Polski od rosyjskiej ropy raczej nie zrobiłoby na Moskwie wrażenia. W 2020 r. 32,8 proc. rosyjskiego eksportu tego surowca szło do Chin, 13 proc. – do Holandii, 8,7 proc. – do Niemiec, 6,9 proc. – do Korei Południowej, a jedynie 5,8 proc. do Polski. Kupiliśmy wówczas rosyjską ropę za 4,18 mld dol. Dzisiaj ta proporcja może być jeszcze mniejsza.

Owszem, są kraje, które demonstracyjnie zrezygnowały już z importu rosyjskiej ropy, ale ta rezygnacja ma raczej wymiar humorystyczny. Tak zrobiła choćby Wielka Brytania, która ma wielkie własne złoża, a import z Rosji stanowił w 2020 r. niespełna 4 proc. całości zużycia. Jeszcze bardziej bohatersko zachowała się Kanada, która w 2021 r. zaimportowała z Rosji zero rosyjskiej ropy.

Względnie najłatwiej będzie Polsce odciąć się od rosyjskiego gazu, przede wszystkim dlatego, że i tak kończy się w tym roku kontrakt na surowiec dostarczany przez gazociąg jamalski, a jesienią ma ruszyć Baltic Pipe. Jego przepustowość to ok. 10 mld m sześć. rocznie, a to akurat tyle, ile kupujemy dzisiaj od Gazpromu. Problemem natomiast może być znowu cena gazu, który popłynie do nas z Norwegii. Będzie on najpewniej wymieszany z tańszym gazem ze złóż należących do PGNiG, bo takie na szelfie norweskim szczęśliwie mamy.

Na dodatek mamy Gazoport, przez który do Polski może płynąć gaz skroplony. Problem może się pojawić w przyszłości. Jak wskazuje Piotr Maciążek, ekspert portalu Strefainwestorów.pl, w Polsce wkrótce nieuchronnie wzrośnie zużycie gazu – według oficjalnych szacunków aż o jedną trzecią w ciągu pięciu lat. To skutkiem wskazania go jako paliwa przejściowego w realizacji polityki klimatycznej

UE i tego uniknąć się już teraz nie da. A to sprawia, że nie wystarczą nam Baltic Pipe i Gazoport, trzeba będzie zainwestować w kolejne terminale, najprawdopodobniej pływające, takie jak ten, którym w Kłajpedzie dysponuje Litwa. Tyle że nie jest to jedynie nasz polski pomysł i w stocznich (np. koreańskich), które mają technologię wytwarzania takich systemów, robi się tłok. Prawdopodobnie będziemy musieli czekać na naszą kolej. Skąd w tym czasie będziemy brali gaz?

Przy okazji warto odnotować, że Komisja Europejska ocenia, iż nie da się w tym roku zastąpić w UE aż 53 mld m sześć. rosyjskiego gazu. To prawie połowa ze 101 mld m sześć., które miały zostać zaimportowane. W dodatku część substytucji, sugerowanej przez KE, opiera się na tak iluzorycznych założeniach jak zwiększenie wydajności odnawialnych źródeł energii czy panele fotowoltaiczne na dachach budynków.

PYTANIE O KOSZTY

Uderza to, że ani rząd, ani pracujący dla niego eksperci nie chcą jasno powiedzieć, jakie koszty poniosą Polacy w związku z zapowiadającym jednostronnym embargiem lub nawet wspólnym embargiem unijnym, gdyby do niego jednak doszło. Możliwości są dwie: albo te koszty są z punktu widzenia obywateli tak drożące, że władza boi się je przedstawić, albo sama nie jest w stanie ich oszacować.

Państwowy Polski Instytut Ekonomiczny stworzył raport zatytułowany „Unia Europejska niezależna od Rosji? Alternatywne źródła dostaw surowców energetycznych”. Charakterystyczne, że nie znajdziemy w nim ani słowa na temat ekonomicznych konsekwencji odłączenia od rosyjskich surowców dla Polski, w tym o wpływie tych działań na inflację.

Wszystko przebijają jednak podawane przez PIE rekomendacje. Są wśród nich zalecenie dla kierowców, aby nie wozili w bagażniku cięższych przedmiotów, oraz propozycja, żeby pozwalać co drugi dzień jeździć samochodom z parzystymi numerami na tablicach na zmianę z nieparzystymi. Ekspertom PIE podpowiadam: osobom, które nie będzie stać na węgiel do ogrzewania domu, można doradzić, żeby ciepło się ubrały i porząbały na opał zbędne meble, a tymi, którzy nie będą sobie mogli pozwolić na kupno piecywa z powodu wzrostu jego cen związanych z drogim gazem, należałoby zalecić jedzenie ciastek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z dr. inż. Andrzejem Sikorą, prezesem zarządu
Instytutu Studiów Energetycznych sp. z o.o.
rozmawia Tomasz Cukiernik



Każdą cenę

warto zapłacić, aby móc zrezygnować z rosyjskich surowców

TOMASZ CUKIERNIK: Czy aktualnie Unia Europejska jest bezpieczna pod względem energetycznym?

DR INŻ. ANDRZEJ SIKORA: Mamy wojnę. To jest nasza wojna. Indie, Chiny, także kraje Zatoki Perskiej z Arabią Saudyjską na czele starają się jej nie widzieć. A ja patrzę na Lwów, gdzie studiował mój dziadek, na Lwów, na który spadają rakiety, bomby odpalane ręką Władimira Putina, i nie czuję się bezpieczny. Na królewski Kijów i nie czuję się bezpieczny. Nie cieszę się, jak prezes Daniel Obajtek cieszy się z horrendalnych zysków swojego koncernu, bo nie pamiętam, kiedy spotkałem kogoś tankującego „do pełna”. Nie tylko na Orlenie. To, że mam ciepłą wodę w kranie, ciepło w kaloryferach, dla mnie nie oznacza, że Unia Europejska jest bezpieczna pod względem energetycznym.

Jak bardzo Unia Europejska uzależniona jest od rosyjskich surowców energetycznych: ropy naftowej,

gazu ziemnego i węgla kamiennego? Które kraje członkowskie najbardziej?

Kłopot mają Niemcy, Bułgaria, Słowacja, Czechy. Ale wróćmy do naszego podwórka. Dla każdego z surowców energetycznych i paliw (ropa, węgiel, diesel, gaz ziemny, LPG) udział importu z Rosji do Polski sięgał w roku 2020 powyżej 60 proc. W przypadku Unii Europejskiej jako całości uzależnienie od importu surowców energetycznych z Rosji jest znacznie mniejsze, ale trzeba pamiętać, że dla krajów położonych w Europie Środkowej uzależnienie w imporcie tych surowców jest znacznie większe. W przypadku gazu ziemnego w skrajnych przypadkach import Rosji pokrywa zdecydowaną większość lokalnej konsumpcji (np. Bułgaria – 100 proc., Niemcy – 65 proc.). W Polsce tylko dla gazu ziemnego został stworzony plan pozwalający na całkowitą rezygnację z importu z Rosji. W przypadku ropy naftowej

Naftoport umożliwia pełne zaopatrzenie polskich rafinerii w surowiec, natomiast odnośnie do czeskich rafinerii PKN Orlen należy oczekiwać poważnych problemów w pozyskaniu ropy naftowej spoza Rosji.

Poważnym problemem będzie ewentualna zmiana kierunku importu oleju napędowego, szczególnie biorąc pod uwagę to, że Rosja i Białoruś odgrywały istotną rolę w imporcie tego paliwa do całej Unii Europejskiej. Możliwe jest zastąpienie rosyjskiego LPG gazem płynnym sprowadzanym przez terminale morskie z rejonu ARA (Amsterdam, Rotterdam i Antwerpia), ale należy się liczyć ze wzrostem cen tego paliwa.

Czy Unia Europejska jest w stanie zrezygnować z energetycznej współpracy z Rosją?

Jest. Pytanie brzmi, kiedy i ile to będzie kosztować. Zgodnie z dokumentem opublikowanym 8 marca 2022 r. przez Komisję

Europejską Unię Europejską planuje w tym roku znacznie ograniczyć dostawy rosyjskiego gazu rurociągowego poprzez zwiększenie importu LNG, wypełnienie magazynów gazu i zwiększenie odnawialnych źródeł energii. Według Komisji plan o nazwie RePowerEU „uniezależniłby Europę od rosyjskich paliw kopalnych na długo przed 2030 r., poczynając od gazu, w świetle inwazji Rosji na Ukrainę”. Dzięki dywersyfikacji dostaw gazu poprzez wyższy import LNG i import rurociągami od dostawców spoza Rosji oraz wyższe poziomy biometanu i wodoru Europa mogłaby zastąpić 100 mld m sześć. importu rosyjskiego gazu lub ok. dwóch trzecich do końca 2022 r. – powiedziała Komisja. Połowa z tego pochodziłaby z importu LNG, ponieważ Unia mogłaby rocznie importować 50 mld m sześć. LNG z Kataru, USA, Egiptu i Afryki Zachodniej. W ubiegłym roku Stany Zjednoczone, Katar i Rosja dostarczyły większość dostaw LNG do Europy, stanowiąc tu prawie 70 proc. całkowitego importu LNG. Dokument nie precyzuje kwestii węgla – to jest praktycznie problem głównie Polski i w mniejszym stopniu Niemiec.

Czy kraje Unii Europejskiej są gotowe na taką zmianę w sytuacji, gdy przez lata budowały to uzależnienie (szczególnie Niemcy czy Włochy)?

Szczególnie dotyczy to właśnie Węgier, Bułgarii. Niemcy i pragmatyczni Włosi poradzą sobie, jak to wielokrotnie historycznie bywało. Decyzje o kolejnych sankcjach nakładanych na Rosję zostały podjęte w Brukseli 8 kwietnia. Wobec zbrodni, gwałtów, ludobójstwa to nie jest kwestia gotowości na zmianę, to konieczność, zwykła ludzka solidarność, to przymus. Ale zobaczymy, czy politycy potrafią stanąć na wysokości zadania, i szczególnie myślę tu o Viktorze Orbánie, o Francji, bo Niemcy przyznają się do błędów i mocno biją się w piersi, poczynając od prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera.

Z których rosyjskich surowców będzie krajom unijnym zrezygnować najprościej, a z których najtrudniej?

Myślę, że krytyczny jest nikiel. Później gaz ziemny. Dla polskiego Orlenu rosyjska ropa, szczególnie w Płocku, ale przede wszystkim w czeskim Litvínovie. Z kolei najprościej będzie zrezygnować z węgla kamiennego, przy czym największa ekspozycja jest dla Polski ze względu na logistykę. Znaczną część tego węgla importowaliśmy z Rosji koleją, a teraz trzeba będzie drogą morską z innych kierunków. Najprościej

z produktów spożywczych, alkoholi, złota czy diamentów. Prawda, że jakoś bez kawioru można przeżyć?

Czy import – i z jakich kierunków – lub też własne wydobywanie mogą zastąpić rosyjskie surowce? Może z niektórych rosyjskich surowców kraje członkowskie mogą zrezygnować bez jakiegokolwiek uszczerbku?

Nasuwa się propozycja Stanów Zjednoczonych i próba dodatkowych dostaw gazu ziemnego z Azerbejdżanu, Algierii, bo niestety kraje Zatoki Perskiej nie są chętne do dodatkowych dostaw. Podobnie jest z Norwegią, która zakomunikowała, że technicznie nie jest w stanie dostarczyć więcej niż 1 proc. dodatkowo. Klasyk cytuję, że taki mamy klimat. Ale żeby mówić o faktach, dodatkowe dostawy gazu ziemnego z USA do Europy przyniosły amerykańskim firmom – według naszych wyliczeń – tylko w marcu dodatkowy przychód na poziomie 17 mld dol.

W jakiej perspektywie czasowej wykonalne jest uniezależnienie się krajów Unii od rosyjskich surowców?

Unia Europejska w swoich publikowanych dokumentach pokazuje perspektywę 2030 r., a dwie trzecie ograniczeń w dostawach rosyjskiego gazu już do końca przyszłego roku. Polska mówi, że będziemy gotowi na koniec 2022 r. Litwa zrobiła to drastycznie, z dnia na dzień ogłaszając, że od już nie korzysta z rosyjskiego gazu. Dzień później także Łotwa i Estonia. Ale po informacjach o popełnianych przez Rosjan zbrodniach spodziewam się gwałtownego przyspieszenia, w każdym obszarze.

Jaki to będzie koszt dla gospodarki unijnej i polskiej? Który kraj członkowski straci na takiej transformacji najwięcej?

Takich wyliczeń niestety nie mamy. Chwilę potrwa, aby to policzyć. Stracą Niemcy, ale oni są najbardziej zdesperowani, nowe terminale, działania na już. Duży kłopot dla mniejszych, takich jak Słowacja, Czechy, Bułgaria, a także Austria. Mamy policzone dodatkowe koszty związane z dostawami ropy naftowej, gdzie średnio do każdej tony przerobu trzeba dodać na dziś 20–25 dol., co przełożyć się może na podwyżki rzędu 5–7 proc. na stacjach lub drastycznie zmniejszenie zysku narodowego czempiona. Podwyżki cen gazu ziemnego dla gospodarstw domowych zostały odroczone, można powiedzieć – ustabilizowane przez działanie państwa. W węglu już się to nie udało.

Jaki to będzie koszt dla przeciętnego gospodarstwa domowego w Unii Europejskiej i w Polsce?

Na tak szczegółowe wyliczenia musimy poczekać, ale pierwsze szacunki, które się pojawiają, mówią, że – przy dzisiejszym poziomie zużycia – przeciętne gospodarstwo domowe musi się liczyć z podwyżkami – koniecznością wydatkowania nawet do 20 proc. więcej na obszar energii (światło, ciepło, paliwo) niż dotychczas.

Czy pana zdaniem pod presją tych kosztów eurokraci są w stanie zrezygnować z unijnej polityki energetyczno-klimatycznej albo chociaż gruntownie ją przeobrazić? Czy jednak nadal będzie ona forsowana czasami wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi?

Nie umiem ocenić, czy polityka energetyczno-klimatyczna jest forsowana wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi. Mikołaj Kopernik był jedynym człowiekiem na Ziemi, który pokazał system heliocentryczny, gdy rozsądni optowali za systemem geocentrycznym. Forsowanie węgla przez flotę Niemiec w pierwszej wojnie światowej wobec przeniesienia napędu na ropę przez Royal Navy? To nie presja kosztów, a wojna na Ukrainie (także wcześniej COVID) gruntownie zmienia: a) nasze przyzwyczajenia, b) status quo bezpieczeństwa energetycznego będącego efektem polityki klimatycznej. Ja chcę patrzeć z optymizmem, do przodu. Jako ludzkość stoimy na rozdrożu. Z jednej strony trudno sobie wyobrazić życie bez energii, ale równie trudno sobie wyobrazić, że paliwa kopalne, w tym szczególnie węgiel, będą tym surowcem energetycznym, na którym będziemy budować przyszłość. Ciemna energia i ciemna materia to dzisiaj wyzwanie dokładnie takie samo jak elektryczność i magnetyzm w czasie Isaaka Newtona, jak podróż Krzysztofa Kolumba do Indii..., ale nasze dzieci chcą podróżować galaktycznie, oczekują braku barier energetycznych.

Stąd w mojej ocenie powoli nadciąga era (pokolenie) wodoru, która będzie mostem energetycznym dla cywilizacji międzygwiazdnej, galaktycznej, dla cywilizacji, która nie będzie oparta na ziemskich surowcach kopalnych, a na energii z ciemnej energii lub ciemnej materii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa została przeprowadzona 5 kwietnia 2022 r.



dr inż. Andrzej Sikora – ukończył w 1986 r. studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, również szkolenia w Szkole Bankowej w Wiedniu, University of Southern California Jackson, Mississippi, USA oraz INSEAD we Francji.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Podatki w RP?

À la carte!

Właściwie za cały komentarz do cyrku związanego z ostatnim flagowym pomysłem rządu, czyli tzw. Polskim Ładem, wystarczy jeden z memów na ten temat, których w Internecie zatrzęsienie.

Otóż wystarczy ten mem, na którym jeden z bohaterów „Misia” Stanisława Barei – Ryszard Ochódzki, prezes Klubu Sportowego „Tęcza” (w tej roli Stanisław Tym) – mówi do drugiego – do Jana Hochwandra, kierownika produkcji filmu „Ostatnia paróweczka hrabiego Barry Kenta” (w tej roli Krzysztof Kowalewski): „Od stycznia rozliczasz się na zasadzie Polskiego Ładu, ale możesz rozliczać się za rok 2022 po staremu, tak jak za 2021, natomiast od lipca będziesz mógł rozliczać się za rok 2022 na zasadzie nowego Polskiego Ładu, starego Ładu i nowego Polskiego Ładu, ale z lipca”.

Który z Polaków, nawet jeśli jest wziętym księgowym – jeśliby wiedział, ile zarobi w 2022 r. – jest dziś w stanie wyliczyć, ile zapłaci od tych zarobków podatku, ile składki zdrowotnej itd.? A może choć ktoś wie, według której wersji przepisów podatkowych będzie się rozliczał za 2022 r., czyli którą uzna za korzystniejszą dla siebie, bo przecież w tym roku – co jest ewenementem na skalę światową – w Polsce obowiązują podatki à la carte, do wyboru, do koloru.

A zatem według której wersji przepisów podatkowych rozliczamy się za 2022 r., czyli za rok bieżący,

którego cztery miesiące mamy już za sobą? Według tej z 1 stycznia 2022 r.? Tej z pierwszej połowy 2022 r. – po już poczynionych, także w trybie prawa powielaczowego, czyli ministerialnych rozporządzeń, którymi rząd udawał, że „zmienia” ustawę? Tej z 1 lipca 2022 r., zapowiedzianej przez rząd – jeśli zostanie przyjęta przez parlament, której treści nikt jeszcze nie zna? A może tej z 1 września 2022 r. albo tej z 20 listopada 2022 r., jeśli trzeba będzie ratować podatników przed kolejnymi bublami z ustawy o tzw. Polskim Ładzie – tej z 1 lipca 2022 r.? Słowem – mistrzostwo świata, a rząd premiera Morawieckiego powinien zostać, i to niezwłocznie, wpisany do Księgi rekordów Guinnessa – jako ten, który dokonał (a raczej wciąż dokonuje) najbardziej karkołomnej zmiany w podatkach obywateli.

I w sumie można byłoby się z tego śmiać jak z dobrej komedii, gdyby nie stanowiący jej istotę chaos, gdyby nie to, że dla wielu Polaków, w tym szczególnie przedsiębiorców, może się to skończyć raczej tragedią. A z całą pewnością dostarczy im – już dostarcza – powodów do zmartwień i zmusi – już zmusza – do nowych wydatków, nie tylko na dodatkową pracę księgowych, lecz także tych, których już dziś określa się mianem specjalistów od tzw. Polskiego Ładu, a bez których dojście do Ładu z tym bałaganem może się okazać w tym i w kolejnym roku po prostu niemożliwe. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Smoleńska

wyrwa

Sprzed 10 kwietnia 2010 r. mam takie oto wspomnienie. Robiłem wówczas wywiad rzekę z prezydentem Lechem Kaczyńskim i byłem częstym gościem w Pałacu Prezydenckim. Pewnego wczesnowiosennego dnia – a wiosna była wtedy znacznie cieplejsza i ładniej – wjechałem na pałacowy dziedziniec i napotkałem wychodzącego piechotą ministra Władysława Stasiaka. Przywitałem się. Szef Kancelarii Prezydenta uśmiechnął się i powiedział, że idzie piechotą

nonkonformizmu – bo pan Janusz był nonkonformistą z ogromnym dystansem do siebie. Był też mistrzem niszczącego, niewysilonego sarkazmu, z powodu którego nie cierpeli go nadęci przedstawiciele prawniczej elity. Rozmowa z nim w obszernym gabinecie w przedwojennym, modernistycznym domu na Saskiej Kępie, z biegającą pomiędzy nami Franią, kundlem domagającym się nieustannie głaskania, była najczystsza przyjemnością.

Władysław Stasiak i Janusz Kochanowski są symbolem tego, co straciliśmy 12 lat temu. Symbolem, trzeba dodać, dla mnie bardzo osobistym. Reprezentowali to, co w polskim życiu publicznym dobre, sensowne, rozsądne. Byli państwowcami.

Gdyby ktoś nie rozumiał, jaką wyrwę katastrofa smoleńska zrobiła w polskiej elicie, powinien postarać się ogarnąć spojrzeniem ostatnie 12 lat, ze szczególnym uwzględnieniem czasu po 2015 r., bo właśnie w tym okresie tę wyrwę widać najlepiej. Nie łudź się, że gdyby ludzie z prezydenckiego tupolewa żyli, Polska byłaby miejscem idealnym. Takich miejsc nie ma. Ale wiem, że mniej byłoby partyjniactwa, głupiej zapiekłości, przekonania, że tylko moja racja jest najmojsza.

Najtragiczniejsze, że Stasiak i Kochanowski nie tylko podobny nie zastąpił. Stare prawo Kopernika, zgodnie z którym gorszy pieniądz wypiera lepszy, okazało się w przypadku polskiej polityki działać aż za dobrze. ©©

Władysław Stasiak i Janusz Kochanowski reprezentowali to, co w polskim życiu publicznym dobre, sensowne, rozsądne. Byli państwowcami

do swojego biura (obok Sejmu, więc do przejścia miał spory kawałek), bo przecież pogoda taka piękna. Żadnej limuzyny, żadnego zadęcia. Taki był Władysław Stasiak: bezpretensjonalny, pogodny i skromny. Cechy w dzisiejszej polityce niemal nieznane.

Pamiętam też doskonale Janusza Kochanowskiego, rzecznika praw obywatelskich. Jego spośród ofiar katastrofy znałem najlepiej. Mimo różnicy wieku łączyły nas podobne poczucie humoru i chyba upodobanie do

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 9ab43e9c76



Z Bogdanem Gajewskim,
prezesem Polskiego
Stowarzyszenia Chorych
na Hemofilię
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Narodowy program to podstawa

KATARZYNA PINKOSZ: Głośnym echem odbiło się niedawno uchwalenie Planu dla Chorób Rzadkich. Tymczasem w Polsce od wielu lat dobrze funkcjonuje Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne. Jak to się stało, że udało się program uchwalić?

BOGDAN GAJEWSKI: W dużej mierze przyczyniła się do tego aktywność środowiska chorych na hemofilię. Chcieliśmy dorównać europejskim standardom leczenia, być leчени skuteczniej, bezpiecznymi lekami. Ministerstwo Zdrowia odczytało nasze intencje pozytywnie, uznano też, że można wiele zmienić w życiu chorych na hemofilię, wprowadzając Narodowy Program. I tak się rzeczywiście stało.

Co zmienił Narodowy Program?

Bardzo poprawił dostęp chorych do odpowiedniej ilości leków, dzięki temu stało się możliwe leczenie profilaktyczne, zapobiegające krwawieniom i ich powikłaniom. Daje nam to możliwość prawie normalnego, aktywnego życia, czynnego zawodowo. Wcześniej chorzy cierpieli, mieli powikłania spowodowane powtarzającymi się wylewami krwi do stawów, które są charakterystyczne dla źle leczonej

hemofilii. Program zapewnił nam dostęp do leczenia, bez którego nie moglibyśmy funkcjonować, nasze życie wyglądałoby fatalnie, bylibyśmy skazani na krwawienia, ciągłe leczenie powikłań, pobyty w szpitalu, pogarszanie się stanu zdrowia. Dziś mamy dobry dostęp do leków, ale potrzebne jest lepsze zorganizowanie opieki. Większość lekarzy nie ma świadomości, że u chorego można wykonać każdy zabieg operacyjny, pod warunkiem dostępu do odpowiednich ilości czynnika krzepnięcia.

Program kończy się w 2023 r. Czy potrzebna będzie kolejna edycja?

Zdecydowanie tak, nowa edycja programu jest potrzebna, żeby zagwarantować bezpieczeństwo chorych. Przebieg hemofilii jest zmienny, trudny do przewidzenia, nie sposób określić, ile chory będzie potrzebował leków, a w sytuacjach nagłych trzeba leczenie podjąć natychmiast, w najbliższej jednostce służby zdrowia. Dzięki Narodowemu Programowi jest to możliwe, gdyż leki są kupowane w ramach przetargów centralnych, które bardzo dobrze koordynuje Narodowe Centrum Krwi. Czynniki krzepnięcia są dystrybuowane

przez stacje krwiodawstwa, co zapewnia stały dostęp do nich 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, 365 dni w roku. Dzięki takiemu rozwiązaniu chorzy mają dobry dostęp do leków w całej Polsce, niezależnie od miejsca zamieszkania, w takiej ilości, jaka jest niezbędna do leczenia i zapobiegania krwawieniom. Ma to również znaczenie w sytuacjach nagłych. Płatnik zaś uzyskuje dzięki tym przetargom ceny na czynniki krzepnięcia jedne z najniższych na świecie. Czynniki krzepnięcia są kosztownymi lekami. Narodowe Centrum Krwi dba o to, aby leki te się nie przeterminowały, przesuwając ich nadmiar do tych stacji krwiodawstwa, w których jest ich mniej i gdzie mogą być wykorzystane.

Jak dziś wygląda sytuacja chorych na hemofilię w Polsce? Co należałoby poprawić?

Trzeba stworzyć rejestr chorych na hemofilię, a obecnie projektowane rozwiązanie uzupełnić o możliwości, które daje telemedycyna, aby umożliwić kontaktowanie się pacjenta z ośrodkiem leczenia za pośrednictwem aplikacji. Bardzo ważne są dostawy domowe leków: w Polsce korzysta z nich zaledwie 177 osób. Niedawno

rozmawiałem z młodym człowiekiem chorym na hemofilię, który opowiadał mi, że dostawy domowe zmieniły pozytywnie jego życie. Obecnie nie traci wiele czasu, aby jeździć po leki, może pracować i się uczyć.

Leki, które jednorazowo pobiera chory, zajmują objętość małej szafy, a ich przewiezienie jest trudne, szczególnie dla tych pacjentów, którzy przez lata byli niewłaściwie leczeni, w wyniku czego są dzisiaj inwalidami narządu ruchu.

Przez wiele lat stowarzyszenie walczyło o stworzenie ośrodków leczenia hemofilii. Udało się to? Jak funkcjonują?

Problemem jest szczególnie funkcjonowanie ośrodków dla dorosłych. Trzeba urealnić wyceny ambulatoryjnej opieki specjalistycznej dla chorych na hemofilię, aby szpitale nie ponosiły strat z powodu opieki nad tymi pacjentami. Wielokrotnie występowaliśmy też do Ministerstwa Zdrowia z postulatem, aby w każdym ośrodku było co najmniej dwóch lekarzy zajmujących się leczeniem hemofilii, tak by chory mógł zawsze otrzymać pomoc, również wtedy, gdy lekarz prowadzący jest na urlopie lub zwolnieniu lekarskim. Niestety, opieka dla dorosłych z hemofilią nie funkcjonuje dobrze. Niedawno zatelefonowałem do mnie z prośbą o pomoc chory z województwa w zachodniej Polsce, który wymagał zabiegu ortopedycznego. Niestety, nie mógł uzyskać takiej pomocy w swoim ośrodku.

W ośrodku pacjent powinien być nie tylko pod opieką hematologa?

Tak, pacjenci potrzebują opieki hematologa, ortopedy, fizjoterapeuty, szczególnie starsi, którzy mają uszkodzenia stawów, a rehabilitacja dałaby im szansę na wejście na rynek pracy, na normalne życie. Wspólnie z europejską organizacją chorych przeprowadziliśmy ankietę wśród polskich pacjentów z hemofilią. Wykazała ona, że mają oni problem z dostępem do lekarzy. Im dalej od ośrodka, tym rzadziej pacjenci stosują właściwe leczenie, czyli leczenie profilaktyczne, co wynika z trudności z przewiezieniem do domu właściwych ilości czynników krzepnięcia, nieprawidłowym dawkowaniem i nieregularnym podawaniem. Niestety, złe prowadzone leczenie powoduje uszkodzenia stawów. Problemem jest też to, że chory na hemofilię, mający np. problem ortopedyczny, ma poważne kłopoty z uzyskaniem pomocy, gdyż pokutuje przekonanie, że hemofilia

może być bardzo poważną przeszkodą w leczeniu chirurgicznym. Tymczasem przy właściwym zabezpieczeniu przeciwkrwotocznym chory na hemofilię może mieć wykonywaną bez przeszkód prawie każdą procedurę inwazyjną. Niestety, zdarzało się, że pacjent miał kamienie w nerce, a szpital nie podjął właściwego leczenia, obawiając się krwawienia. Dochodzi do zatrzymania moczu, w wyniku komplikacji pacjent traci życie. Takie przypadki dowodzą, że ośrodki leczenia chorych na hemofilię nie działają prawidłowo, nie prowadzą właściwej opieki i nie koordynują leczenia.

Chorzy na hemofilię mogą być leczeni właściwie w każdym szpitalu w Polsce, pod warunkiem że jest kontakt z hematologiem zajmującym się hemofilią?

Tak, jeśli jest koordynacja hematologa i wsparcie ośrodka, który realnie pomaga. Niestety, dane z naszej ankiety pokazały, że 40 proc. pacjentów z hemofilią i pokrewnymi skazami krwotocznymi ma bardzo poważne problemy z kontaktem z ośrodkiem. Trudno więc powiedzieć, że taki ośrodek realnie wspiera pacjentów.

Czy jest kraj, który można wziąć za wzór, jeśli chodzi o model opieki?

Na przykład Irlandia, Wielka Brytania: ośrodki, które tam funkcjonują, są dla nas wzorem. Pacjent może tam w każdej chwili skontaktować się z koordynatorem leczenia, jest informowany o możliwościach terapii, jeśli ma jakiś problem, to zawsze może uzyskać pomoc i porozumieć się z lekarzem.

Dobre leczenie hemofilii się opłaca?

Zdecydowanie. Narodowy Program wiele zmienił. Przed laty chorzy na hemofilię bardzo często trafiali do szpitali, ich życie wypełniały pobyty w szpitalu, gdyż tylko tam mogli otrzymać leczenie. Dziś mogą normalnie pracować, a co najważniejsze – ich kondycja fizyczna się nie pogarsza. Ta inwestycja, którą poczyniło Ministerstwo Zdrowia, tworząc Narodowy Program, się opłaciła, a przede wszystkim dała chorym nadzieję i szansę na lepsze życie. Dała im także wolność, możliwość swobodnego przemieszczania się i podróżowania. To była wspaniała zmiana.

Dzieci, które od początku są dobrze leczone, mają szansę prowadzić życie jak zdrowi rówieśnicy?

Tak, wręcz czasem nie zauważają, że mają hemofilię, czują się na tyle dobrze, że grają w piłkę, jeżdżą na nartach, na

rowerze. Dzięki pozytywnej decyzji urzędników żyją bez bólu i cierpienia, ale też psychologicznie mogą się normalnie rozwijać, cieszyć życiem. To wielka zmiana. Obecny system leczenia się sprawdził, jest dostosowany do choroby, odpowiada potrzebom chorych na hemofilię. Dobra organizacja leczenia pozwala uniknąć powikłań, zagrożenia życia i kalectwa.

Zabiegamy, żeby Ministerstwo Zdrowia dało nam jasny obraz tego, jak nasze leczenie będzie wyglądało w najbliższych latach. Przygotowanie kolejnej wersji Narodowego Programu wymaga czasu, czekamy na zarządzenie ministra w sprawie powołania zespołu ekspertów, który będzie pracował nad kolejną edycją Programu. Czasu nie jest już wiele, za rok Program powinien być gotowy, uzyskać aprobatę AOTMiT, a na jego realizację trzeba też odpowiednio wcześniej zaplanować środki w budżecie. Chcemy, aby przygotowano dobre rozwiązanie na kolejne lata, włącznie z realizacją postulatów, o których mówimy: dostawy domowe leków, rejestr pacjentów, dobrze funkcjonujące ośrodki leczenia. To inwestycja, która pozytywnie wpłynie na życie chorych.

Czy dzisiaj, gdy w Polsce jest spora grupa uchodźców z Ukrainy, chorzy na hemofilię czują się bezpiecznie i ufają, że leczenia wystarczy dla wszystkich?

W obecnej sytuacji powinny przyspieszyć prace nad stworzeniem rejestru, dzięki czemu moglibyśmy racjonalnie zarządzać systemem, dostosowując możliwości do potrzeb. Na pewno leczenie dodatkowej grupy chorych jest obciążeniem dla państwa, dlatego trzeba wszystko dobrze zaplanować, żeby nie doszło do sytuacji, w której chorzy – z Polski czy uchodźcy z Ukrainy – mogliby znaleźć się w trudnej sytuacji. Staramy się pomagać wszystkim osobom z Ukrainy, które pytają, gdzie można znaleźć pomoc, jednak informujemy też, że w Polsce jeszcze wiele trzeba zmienić, aby leczenie funkcjonowało na dobrym poziomie. Najważniejsze, by została przygotowana kolejna edycja Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię i żeby chorzy otrzymali dobrą opiekę w ośrodkach leczenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bogdan Gajewski

jest prezesem
Polskiego Stowarzyszenia
Chorych na Hemofilię.

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA EDGE 30 PRO

Rewelacyjny ekran OLED z odświeżaniem 144 Hz, szybki, wydajny procesor, dobra bateria, bezprzewodowe ładowanie oraz głośniki stereo – to największe zalety nowego flagowca Motoroli.

Testowany smartfon jest bardzo solidnie wykonany i – jak przystało na flagowca – wygląda atrakcyjnie. Wzornictwo nowej Motoroli może się podobać, zwłaszcza mieniące się w słońcu plecki – nie zaskakuje jednak niczym rewolucyjnym. Czytnik linii papilarnych tradycyjnie został ukryty w przycisku umieszczonym po prawej stronie obudowy, co jest wygodne, zwłaszcza że czytnik działa szybko i bezbłędnie.

Świetne wrażenie robi wyświetlacz P-OLED o przekątnej 6,7 cala i rozdzielczości 2400 x 1080. Kolory są naturalne, czerń czarna, a kąty widzenia szerokie. Ekran obsługuje standard HDR10+. Można go też obsługiwać specjalnym rysikiem do kupienia osobno (lub w zestawie ze smartfonem). Również jasność maksymalna jest wystarczająco wysoka, aby ze smartfona można było w miarę wygodnie korzystać nawet w bardzo słoneczne dni.

Sercem testowanego smartfona jest bardzo szybki i wydajny procesor Snapdragon 8 Gen 1. W połączeniu z grafiką Adreno 730, 16 GB pamięci RAM oraz ekranem o częstotliwości odświeżania wynoszącej aż 144 Hz Motorola Edge 30 Pro staje się wydajnym urządzeniem zdolnym nie tylko do pracy na wielu aplikacjach jednocześnie, lecz także

do odpalania najróżniejszych zaawansowanych gier. Gracze docenią też zapewne niskie pingi oraz stabilność i szybkość połączenia z wi-fi.

Podczas testów smartfon działał płynnie niezależnie od liczby zadań do wykonania, choć przy bardzo intensywnym użytkowaniu stawał się wyraźnie cieplejszy. Na pochwałę zasługuje solidna wielkość pamięci wewnętrznej (256 GB), choć szkoda, że zabrakło miejsca na kartę pamięci. Wysokiej wydajności służy także zastosowanie niemal czystego systemu Android 12 bez miliona nikomu niepotrzebnych aplikacji.

Główny aparat o rozdzielczości 50 Mpix i obiektywie o jasności f/1.8 jest wyposażony w optyczną stabilizację obrazu. Taka specyfikacja sprawia, że Motorola Edge 30 Pro robi poprawne zdjęcia, zwłaszcza w dobrych warunkach oświetleniowych. Niestety, zdjęcia nocne wciąż Motoroli nie wychodzą tak dobrze jak jej konkurentom. Miłośników selfie pocieszy wiadomość, że rozdzielczość przedniego aparatu wynosi aż 60 Mpix.

Testowany model został wyposażony w głośniki stereo, które grają zaskakująco przyzwoicie. Jak na flagowca przystało, Motorola Edge 30 Pro jest też uzbrojona w moduł NFC, który można wykorzystać m.in. do szybkich płatności zbliżeniowych. Po stronie plusów można też wpisać baterię o pojemności 4800 mAh z możliwością szybkiego przewodowego ładowania (68 W) oraz ładowania bezprzewodowego (15 W) i bezprzewodowego ładowania

zwrotnego (5 W). Tak pojemny akumulator sprawia, że przy normalnym użytkowaniu smartfon do prądu trzeba podłączyć raz na dwa, trzy dni.

Motorola Edge 30 Pro jest więc dobrym smartfonem z bardziej przystępną ceną niż w przypadku flagowców największych konkurentów, nie jest jednak pozbawiona wad. Ogromnym minusem jest brak wodoszczelności.

W tej półce cenowej to zaskakujący błąd producenta, który dla wielu może być minusem dyskwalifikującym urządzenie. Niektórym brakować może również tradycyjnego wyjścia słuchawkowego, a także teleobiektywu. Cena: 3799 zł. ☹☹

Jacek Przybylski



ŁODÓWKA Z APLIKACJĄ

Firma Haier wprowadziła na rynek lodówkę, która na podstawie danych z aplikacji rozpoznaje, kiedy wraca się z zakupów, i dostosowuje temperaturę wnętrza tak, aby było gotowe na czas rozpakowywania produktów i bardzo szybko schłodziło po włożeniu nowe produkty. Dzięki aplikacji hOn użytkownik może skanować produkty wkładane do modelu Multidoor 7 HCW7819E-HMP i gdy będzie zbliżał się termin ich ważności, otrzyma na smartfonie stosowne powiadomienie. Według zapewnień producenta lodówka eliminuje do 99,9 proc. bakterii. Nowy model jest też wyposażony w szufladę MyZone, w której niezależnie od temperatury w pozostałej części lodówki można ustawić własną (od -3 do 5 st. C). Cena: 8499 zł. ☹☹

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SKUTER WYŚCIGOWY

70 km/h – z taką prędkością maksymalną może poruszać się elektryczna hulajnoga Segway GT2. Jedno z najszybszych na rynku urządzeń tego typu, wyposażone w 11-calowe koła oraz podwójny silnik, od zera do 48 km/h rozpędza się w zaledwie cztery sekundy. Zasięg ważącego 52 kg modelu GT2 wynosi według producenta aż 90 km. Ładowanie do pełna trwa zaś 11 godzin. Hulajnoga ma też światła przednie i tylne. GT2 ma się pojawić w sprzedaży w lipcu. Cena: 3,5 tys. dol., czyli równowartość 15 tys. ☹☹

Jacek Przybylski



SIOSTRY GOTUJĄ

Oblewanka, czyli
śmigus-dyngusANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

Po świątecznej rodzinnej niedzielnej nastaje nieco bardziej swawolny Poniedziałek Wielkanocny, czyli lany poniedziałek. Dawniej, zwłaszcza na wsiach, dziewczęta do kościoła szły tego dnia opłotkami, bo chłopcy za punkt honoru stawiali sobie oblanie ich porządnie wodą z wiadra. Pamiętamy ten zwyczaj chociażby ze wsi Prusów koło Miłówki, gdzie przyjaciele rodziców mieli dom i gdzie czasem bywałyśmy. Nasz dziadek Józef przychodził do naszego mieszkania po mszy, mówił: „Chrystus Zmartwychwstał”. Odpowiadałyśmy: „Prawdziwie powstał” i następowało zroszenie nas perfumami Być Może.

Sama tradycja oblewania się wodą wywodzi się z czasów słowiańskich, kiedy powszechnie wiercono w oczyszczającą moc wody. Chrześcijaństwo, przejąwszy zwyczaj, nawiązywało do pamiętki polewania wodą tłumów, które zgromadziły się w dniu po zmartwychwstaniu. Poniedziałek Wielkanocny to dzień

odwiedziny, składania wizyt zapowiedzianych i niezapowiedzianych. Każdy dom powinien być wtedy otwarty, a stoły powinny być pięknie i obficie nakryte.

Tradycyjnie w Wielkanoc jada się mięsa, drób, dziczyznę tak przyrządzone, aby można było podawać je na ciepło i zimno. Towarzyszyć im mogą ćwikła z chrzanem i sos chrzanowo-śmietanowy z jajkiem.

W naszym domu jadło się również uroczyste świąteczne śniadanie w poniedziałek, które trwało do południa, ale na obiad przyrządziliśmy to, co zostało z dnia poprzedniego. Zazwyczaj było to jakieś mięsisko – cielęcina albo drób, kaczka z jabłkami albo indyk faszerowany wątróbką z chałką i zieloną pietruszką. Do tego sałatka jarzynowa lub ostatnio – lekka sałata – rukola z pomidorami i parmezanem. Obowiązkowo wyjadaliśmy do ostatniego okruszka mazurki, sernik i babę drożdżową.

Cielęcina pieczona
z estragonem

Składniki:

- duża część zadniej cielęciny – ok. 1 kg
- sok z połowy cytryny, skórka z otartej cytryny
- 1 łyżka suszonego estragonu
- 1/4 łyżeczki cukru
- 1/2 szklanki białego wina
- 2 łyżki oleju
- 1 duża łyżka masła
- czosnek – kilka ząbków
- sól i pieprz

Przygotowanie:

Mięso osuszamy, nacieramy wszystkimi przyprawami – czosnkiem, estragonem, sokiem z cytryny i skórką, cukrem, olejem – i pozostawiamy na noc w lodówce. Następnego dnia przekładamy do rękawa i pieczemy ok. godziny w temperaturze 180 st. C. Do wytworzonego sosu dodajemy jedną łyżeczkę mąki ziemniaczanej. Podajemy na ciepło. ©©



FOT. ADRIAN STOK

19. 24 IV 2022 16/2022

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Brangelina

Cóż za cudowna para! Ona wysmukła i delikatna, o sarnich oczach i namiętych ustach.

A do tego przykładowa gwiazda nieszczęśliwa środków, aby wesprzeć ubogich tego świata. On – szatyn o uśmiechu, przy którym mdleją kobiety. Angelina Jolie i Brad Pitt kochali się tak, jak nawet nie bywa w kinie, aż tak, że zrosili się w jeden organizm: Brangelina. Nie znajdowali słów, żeby opisać swoją miłość, harmonię, wzajemny podziw i zrozumienie.

Co może być kolebką dla tak niespotykanego uczucia? Przecież nie jakaś prostacka Kalifornia. Wyłącznie Francja. Państwo B. postanowili osiedlić się na francuskim południu. Wybrali posiadłość Miraval w Prowansji. 35 mln i sprawa załatwiona. Przecież się tam z szczęściem adoptowanych dzieci oraz taką samą liczbą niań. Mieszkańcy wioski, szczęśliwi ze sławnego sąsiedztwa, zostali zobowiązani do zachowania maksymalnej dyskrecji na okoliczność życia sławnych państwa. Reporterzy na darmo naciskali, żeby dowiedzieć się, jakie słodycze w cukierni kupuje Angie i jacy nauczyciele uczą dzieci. Mur milczenia.

W takich okolicznościach pan Pitt miał wreszcie okazję, by oddać się swojej pasji: architekturze. W końcu odbył kiedyś staż u Franka Gehry'ego. Prace adaptacyjne na dużą skalę kosztowały 30 mln. Ale będąc już prawie Francuzem, jak nie odkryć w sobie powołania do win?

Chateau Miraval to szczerze o zasłużonej renomie, teraz



FOT. ANTHONY HAREV/GETTY IMAGES

dodatkowo dzięki sławnym właścicielom stał się obowiązkowy na eleganckich przyjęciach. Właściciel z miną znawcy przechadzał się po winnicach, sprawdzając, jak owoce dojrzewają, czy mają właściwą słodycz i kwasowość. Przyjaciół obdarowywano flaszką domowego wina. Angie, Madame Healthy, wprawdzie bywała zaniepokojona, że partner w konsumpcji czasem przekracza granice degustacji, sama pozostała wierna wodzie Evian. Razem uzgodnili, że w razie, gdyby doszło między nimi do „nieporozumień”, żadne z nich nie sprzeda swojej części, nie uprzedziwszy drugiego i nie zapewniwszy mu prawa pierwokupu.

Otóż do „nieporozumienia” niestety doszło. W odwecie za prawdziwe i domniemane krzywdy doznane od Brada, dysząc żądzą zemsty, Angelina sprzedała swoją część winnicy przemysłowcowi z Luksemburga. Jest nim nie kto inny jak Jurij Szefer, rosyjski magnat alkoholowy, właściciel m.in. wódki Stolichna. Oprócz tego willi, jachtów i takich tam.

Ciekawe, czy boska Angelina uda się teraz na Ukrainę, żeby uronić łzę nad cierpieniem ludu ukraińskiego. ©©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Orsza, czyli jak ocalono Białoruś



JACEK KOMUDA

Pole bitwy pod Orszą to miejsce jednego z największych w XVI w. zwycięstw armii polsko-litewskiej nad Moskwą. Pod rozkazami prawosławnego hetmana Konstantego Ostrońskiego znajdowały się siły litewskie, posiłkowy korpus polski pod dowództwem Janusza Świerczowskiego, Tatarzy litewscy, być może Serbowie i Węgrzy.

Kampania rozpoczęła się od druzgocącego zwycięstwa Moskwy, której armie uderzyły w 1514 r. na Wielkie Księstwo. 31 lipca padł Smoleńsk zajęty przez oddziały zdrajcy Michała Glinińskiego i główną armię moskiewską kniazia Oboleńskiego. Wkrótce poddały się też Mścisław, Krzyzew i Dubrowna, co otworzyło drogę w głąb terenów litewskich. Jak zwykle odsiecz przybyła zbyt późno, jednak pod koniec lata Zygmunt I Stary zdecydował się wreszcie na skuteczną kontrakcję. Zebrał pod Mińskiem ok. 30 tys. wojska i wyruszył na Borysów, gdzie przekazał dowodzenie Konstantemu Ostrońskiemu i pozostał z dworem, oczekując na wynik konfrontacji. Ponadto moskiewski car Wasyl III pozostał w Smoleńsku,

Ostroński nie zdecydował się na przeprawę przez Dniepr w rejonie Orszy, obawiając się – i słusznie – że wystawi to armię na atak przygotowanego do walki nieprzyjaciela. Obszedł go i przeszedł Dniepr na północ. Zaskoczył Czeladnina, gdyż w nocy z 7 na 8 września rozkazał wystawić dwa mosty oparte na płuwających beczkach. Rankiem cała armia polsko-litewsko-białoruska znalazła się na drugim brzegu.

Miejsce bitwy z 1514 r. przetrwało do dzisiejszych czasów dość dobrze zachowane, chociaż Dniepr nieco zmienił bieg. Armia Korony i Litwy ustawiła się równolegle do rzeki, poczynając od miejscowości Paszyno (lewe skrzydło), a skończywszy na przedmieściach osady Larinowka (prawe), zwrócona frontem w kierunku Szugajłowa, a więc z rzeką za plecami. Dodatkowo w zasadzce w okolicy dzisiejszej Larinówki znalazła się piechota z działami. Moskale zajęli teren od dzisiejszego sioła Szugajłowo (pułk prawej ręki), poprzez położony na południe od niej kołchoz (pułk wielki), aż do miejsca położonego na północ od dzisiejszego skrzyżowania dróg M8 i P22. Czeladnin, który działał jak typowy moskiewski generał, liczył na przewagę liczebną, która pozwoliłaby mu otoczyć i zniszczyć przeciwnika, nie biorąc pod uwagę faktu, że przeciwnik może z kolei mieć znaczną przewagę techniczną. Rolę XVI-wiecznych bayraktarów i piorunów przejęły bowiem nowoczesne formacje wojskowe, których nie znali Rosjanie. Były to oddziały raców, czyli wczesnej husarii, stanowiącej wówczas jeszcze jazdę lekką, piechota polska, wyposażona w pawężę, piki i broń palną. A także ukryta w zasadzce artyleria.

Czeladnin rzucił najpierw do ataku pułk prawej ręki, uderzający w rejonie pomiędzy dzisiejszym

Szugajłowem a Dnieprem, aby okrążyć i wyjść na tyły sił polsko-litewskich. Na początku Litwini i Białorusini poczęli się cofać, jednak wsparci przez huf czelny zdołali zatrzymać przeciwnika. W tym samym czasie pułk lewej ręki zaatakował Polaków na prawym skrzydle – między Paszynem a Larinówką, lecz także został odparty. Moskiewski wódz czekał na chwilę, kiedy wrogowie zaczynają ścigać uciekających wrogów – zamierzał wówczas wysłać przeciwko nim pułk wielki. Jednak rotę Ostrońskiego niespodziewanie zawróciły i... same zaczęły udawać ucieczkę, wracając na pozycje. Czeladnin rzucił w takim razie na nich zebrany znowu pułk lewej ręki i pułk wielki. Zlekceważył jednak polską piechotę, biorąc jej oddziały za czeladź lub maruderów. Przyszło mu za to dużo zapłacić. Nacierające pułki zostały bowiem ostrzelane z dział, rusznicy i kuszy. Huk wzniesień panikę, przeraził konie. Na zdezorganizowaną Moskwę uderzyły teraz i rozbiły oddziały lewego skrzydła i centrum polsko-litewskiej armii. Czeladnin usiłował jeszcze wprowadzić do boju posiłki, zostały jednak rozgromione, jego armia pobita, a sam znalazł się w niewoli.

Zwycięstwo pozwoliło uniknąć uderzenia Moskwy na ziemie Wielkiego Księstwa, czyli dzisiejszą Białoruś. A byłoby to uderzenie niszczące i krwawe. Jednak wojska koalicji nie zdołały odzyskać Smoleńska, ufortyfikowanego i umocnionego przez Moskwę. Do dziś pole bitwy jest łatwo dostępne na Białorusi i można je odwiedzić, uważać należy tylko na milicję, ponieważ Łukaszenka nie pozwala obchodzić rocznicy bitwy, która pokazała triumf polskiego, litewskiego i białoruskiego rycerstwa nad Rosją. © P



FOT. LUDERPHOT

przekazując dowodzenie koniuszemu Iwanowi Czeladninowi.

Czeladnin zgromadził wojska liczące ok. 50 tys. ludzi pod Orszą, zamierzając rozbić przeciwnika w chwili, kiedy będzie przeprawał się przez Dniepr. Jednak jego armia składała się przede wszystkim z jazdy moskiewskiej, piechota zaś pozostała w Smoleńsku i innych zdobytych zamkach. Tymczasem





DEKAMERONKI

Nudny jak COVID

JERZY KARWELIS

Jeszcze dwa miesiące temu takie wieści zelektryzowałyby świat, a tu pustka i milczenie. Jak taki omikron pochodzenia południowoafrykańskiego zainfekował z tuzin tamtejszych, to cały świat zamarł i okazało się, że nie na próżno, bo potem dostał omikrona (z francuska wymawianego jako o'Makron, co stanowi przyczynek do dodatkowej kampanii) jak leci. A tu mamy nowy wariant w Wielkiej Brytanii i nic. A on, wedle porównań z ostatnim wcieleniem pandemii, jest jeszcze gorszy niż poprzednie.

Nazywa się XE, jest rekombinatem, czyli genetyczną hybrydą dwóch podwariantów omikrona BA.1 oraz BA.2. Pacjentem zero tego wynalazku jest prawdopodobnie osoba, która zaraziła się jednocześnie obiema odmianami wariantu omikron. Gdy wirusy się replikowały, ich materiały genetyczne „zmieszały się”, tworząc nowy typ koronawirusa. Tyle pisze Onet, a więc święta prawda. Nasz XE rozprzestrzenił się 9,8 proc. szybciej niż pocziwy omikron (ach ta dokładność wyliczeń). Mamy już 600 zakażeń. Ale to jeszcze nic. Chińczycy odkryli podwariant podwariantu koronawirusa w wariantcie omikron – BA 1.1.

Kiedyś, niedawno, byłaby to wiadomość dnia, kolejne konferencje sanitarnych obrońców zaczęłyby zaludniać media, a teraz – nic. Choroba niby ta sama, będzie – jak słyszymy – rozprzestrzeniać się szybciej niż ten poprzedni wariant, który wtrącił ludzkość w ostatnie paroksyzmy walki z COVID, zwłaszcza

u nas – w testozę. À propos – też w Wielkiej Brytanii okazało się, że skierowania na testy były sztucznie zawyżane, żeby zeszyły tę nadmiarowo zamówione. Żli ludzie donoszą, że tak samo było ze szczepionkami, których zostało tak ze trzy na głowę Polaka. Ale różne reakcje na tę samą chorobę każą się zastanowić, która strategia była prawdziwa, bo przecież obie nie mogły. Obserwujemy nawet przegięcie pały – po tym wszystkim wstrzymano rehabilitację pocovidową, co przerosło już nawet foliarzy. Bo ci przecież nie negowali istoty choroby, obecnie zaś system zaszedł już tak daleko w zaprzeczaniu swej poprzedniej postawy, że neguje potrzebę walki z komplikacjami po COVID.

Tak w ogóle to widać, że nie wszyscy godzą się z odejściem tematu. Bo co mają zrobić ci sanitaryści, tak kiedyś ważni i popularni? Teraz nikt ich nie słucha, bo zagłusza wszystko gwar wojenny. Straszanie, co widać po wariantcie XE, już nie działa, ale coś innego może to srodowisko zaproponować, jeśli nie więcej tego samego. W tych dniach nasz PAN, szpica sanitaryzmu i obostrzeń covidowych ostrzegł, że omikron wciąż może wywołać ciężką i śmiertelną chorobę u tych, którzy jeszcze nie mieli kontaktu z wirusem. Na szczęście minister Niedzielski stwierdził, że 95 proc. Polaków nabyło już odporność, a więc towarzystwo musi uzgodnić jednak jakąś wspólną wersję. Mają jeszcze trochę czasu... przed jesienną sezonową falą grypy. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Sprawcy nadal groźni

Przeróżające obrazy rosyjskich zbrodni sprawiają, że coraz natęczywiej wracają pytania o nasze bezpieczeństwo. Kwestia odporności obronnej to także sprawność służb w neutralizacji agentury wroga. Publikacja raportu podkomisji smoleńskiej potwierdza to, co podpowiadało nam dziedziczone genetycznie doświadczenie historyczne. Potem pojawiały się poszlaki, dowody pośrednie, symulacje i analizy porównawcze. Dziś, po zapoznaniu się z raportem, z efektami pracy zespołu podkomisji, mamy już nie poszlaki, nie dowody pośrednie, lecz wiedzę dotyczącą tragedii z 10 kwietnia 2010 r.

Cały świat widzi, do czego zdolna jest Rosja zarządzana przez bandycko-oligarchiczny system kagebisty Putina. Podejrzewam więc, że jest mniej chętnych, by bronić raportu MAK i ustalenia Komisji Jerzego Millera. Są oczywiście jeszcze fanatycy, którzy albo ze strachu przed odpowiedzialnością, albo z przyczyn, o których więcej powie psycholog, trzymają się wersji rosyjskiej, ale ufam, że z czasem zamilkną.

Samolot rozpadł się na części, będąc jeszcze nad ziemią – w powietrzu. To widać było na podstawie rozrzutu szczątków i braku leja w miękkim podłożu, zanim powstał raport. Dziś już wiadomo, gdzie było epicentrum wybuchów, czyli gdzie mogły być umieszczone ładunki...

Nie wiemy natomiast, jak takie ładunki mogły znaleźć

się wewnątrz konstrukcji tupolewa.

Przetarg na remont samolotu wygrała firma MAW TELECOM z Warszawy i zleciła remont firmie rosyjskiej w Samarze należącej do Olega Deripaski, najbogatszego Rosjanina, niegdyś zaufanego Jelcyna, teraz ulubieńca Putina. Silniki Tu-154 były remontowane w Rybińsku, w zakładach kontrolowanych przez Siergieja Czemezowa. To dawny agent KGB, bliski przyjaciel Putina, z którym obecny prezydent Rosji służył w latach 80. w NRD. W raporcie znajduje się załącznik nr 35, w którym wymieniono osoby odpowiedzialne za nadzór nad remontem Tu-154 nr 101, ale już nic nie wiemy, czy oprócz wymienionego tam Jana Michałaka, ktokolwiek został przez podkomisję przesłuchany. Jeżeli dziś padają otwarte stwierdzenia, że w doprowadzeniu do zamachu brały udział osoby z Polski, w raporcie nie znajdujemy ustalenia, kto to mógł być. Nie wiemy też nic na temat identyfikacji i neutralizacji takich osób przez prokuraturę. Wygląda na to, że osoba lub osoby, które są współsprawcami mordu na prezydencie Polski i 95 uczestnikach polskiej delegacji, pozostają niezidentyfikowane, czyli nadal mogą być aktywne. Wiem, że zarówno działalność agentów, jak i ich neutralizacja, to obszar dyskretny, ale obawiam się, że w tym wypadku mamy raczej do czynienia z zaniechaniem niż z dyskretną neutralizacją wrogiego ośrodka przez polskie tajne służby. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Umierał, ale mu się znudziło

Jemeńczyk naprawdę niezły, choć przyznać trzeba, że ten gościu, który sześć dni pływał rzeką w listopadzie, też był dobry. Niełatwo wybrać. Pływak to już legenda. Ale Jemeńczyka jednak poznaliśmy z krąco-cierpieniem na twarzy. Bardzo umierał Jemeńczyk. Usta miał spierzchnięte, a powiekę mu podnoszono. Wszystko to mogłem obserwować na TT dzięki Grupie Granica. Ta grupa siedzi teraz przy granicy polsko-białoruskiej i robi wszystko, żeby popsuć Polsce dobre imię. Teraz wynaleźli Jemeńczyka i napisali: „Tuż pod polską granicą, po stronie białoruskiej, od dwóch dni leży nieprzytomny 16-latek z Jemenu. Lekarze oceniają, że chłopak musi być natychmiast przyjęty do szpitala, ale białoruskie służby odmawiają mu pomocy. Polska może uratować mu życie, wpuszczając go na swoje terytorium”.

Teraz, żebyśmy dobrze zrozumieli pokręcone mózgi aktywistów, rozbierzmy brednię na części. Kiedy piszą: „Lekarze oceniają, że chłopak musi być natychmiast przyjęty do szpitala”, to nie wiadomo oczywiście, jacy lekarze, na jakiej podstawie to oceniają, bo przecież do Jemeńczyka nie ma żadnego dostępu i nikt go tam nie badał. Zachodzi więc podejrzenie, że aktywiści łżą. Dalej: „Polska może mu uratować życie, wpuszczając go na swoje terytorium”. Klasyka prymitywnego szantażu emocjonalnego, który

miałby sprawić, że prawo dotyczące polskiej granicy i jej przekraczania byłoby nic niewarte. I o to zwichrować-com właśnie chodzi. To jest ruski-białoruski scenariusz destabilizacji polskiej granicy.

A teraz będzie do śmiechu. Kiedy TVN24 serwował nam cikliwą głupotę o uchodźcy, który pływał w rzece z obawy przed Polakami, a nocami wychodził, żeby się ogrzać albo odwrotnie, to tę biedną kobiecinę serwującą nam historię wyszydzonego gremialnie. Historia Jemeńczyka z powieką miała jednak swoich miłośników. Ochojska Janina bardzo się przejęła i apelowała oraz zaszła redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” Bartosza Wielińskiego przejął się nie na żarty. Umieranie Jemeńczyka brutalnie przerwała Straż Graniczna następującym komunikatem: „Z naszych sprawdzonych informacji nie wynika, aby Jemeńczyk potrzebował natychmiastowej interwencji medycznej. Po przybyciu na miejsce białoruskich służb samodzielnie wstał i wraz z grupą i funkcjonariuszami białoruskimi, o własnych siłach, oddalił się”.

Rozumieją państwo? Jeden koleś pływa w łodzi sześć dni, a drugi umiera dwa dni. Pierwszy jakoś przeżył, a drugi cudownie sobie wstał i poszedł, bo mu się umieranie znudziło. Zmyśleni bohaterowie antypolskich aktywistów. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Nie rycz jak Boabdil

Małgośka, mówią mi, ludzie nie są gorsi niż dawniej, tylko sprawozdawczość jest dziś dokładniejsza. Śmiem wątpić. Zapewne Putin nie jest gorszy od mongolskiego chana Gujuka, ale osiągnął jakby więcej, bo tamten na próżno wzywał papieża Innocentego IV, aby oddał mu pokłon i uznał zwierzchnictwo. Podczas gdy my dziś oglądamy coś jakby nową jakość w relacjach Watykanu z Ruską Ordą i Chinami.

Gdzie te piękne czasy niemięskiszonów, gdy papież dawał błogosławieństwo i sakiewki, aby bić innowierców i heretyków? I to bynajmniej nie tylko z użyciem siły argumentu, lecz także argumentu siły. W katedrze w Toledo, w chórze usytuowanym pośrodku kościoła, znajdują się 54 oparcia siedzeń stanowiące niejako rzeźbioną kronikę podboju muzułmańskiego Królestwa Granady przez Królów Katolickich. Zanim więc kanonik ułożył na siedzisku swe zacne cztery litery, to każdego dnia rzucał okiem na kadry ze zwycięskich bitew w kolejnych miastach. Cudne płaskorzeźby opiewają męstwo rycerzy katolickich, ich taktykę i uzbrojenie. Siedząc zaś w kaplicy Mozarabskiej, modląc się zamiast wpatrywać się w ołtarz, mimowolnie zerka na wielki fresk, gdzie królewski kardynał Cisneros przewodzi konkwistie afrykańskiego

Oranu. No i co tu kryć, słynny purpurat zamiast modlić się o pokój – spuszcza regularny łomot Maurom. Ci zaś uciekają przed katolickim kontyngentem wojsk, gdzie pieprz rośnie, odprowadzani jedynie przez stado kruków symbolizujących niewiernych.

Jakie to niepoprawne politycznie, prawda? A skoro zawsze tak niepacyfistycznie i nieekumenicznie w tych hiszpańskich katedrach, to nie dziwi, że papież Franciszek nigdy się tam nie wybrał. Musiałby znów ronić łzy: „Pomyślmy o młodych, muzułmańskich wojownikach, którzy ginęli w wyniku rekonkwisty”.

Poddaniu Granady Królom Katolickim towarzyszy ciekawa legenda, jakoby płaczący z powodu porażki muzułmański król Boabdil miał usłyszeć od swej matki Aixy upomnienie: „Płacz jak kobieta, nad tym, czego nie potrafiłeś obronić jak mężczyzna!”. To znane powiedzenie wychowało w skandalicznym maczyzmie, fundamentalizmie katolickim następnego pokolenia Hiszpanów, a do dziś mawia się, że gdyby nie skuteczna rekonkwista półwyspu z rąk muzułmańskich, to nie udałoby im się konkwista świata. Ile razy więc widzę markotnego papieża, który roni łzy nad flagą Ukrainy, to jako bardzo grzeszna i zuchwała parafianka z odległej prowincji Rzymu mam ochotę mu powiedzieć: „Nie płacz jak Boabdil nad tymi, których nie bronisz jako papież”. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Crème de la crème

Swięty Jan Paweł II powtarzał, że „zdrowa teologia” musi wspierać się na „zdrowej filozofii” (metafizycznej, jak u św. Tomasza z Akwinu). Tylko taka teologia może dobrze formować kapłanów i tylko tacy kapłani są w stanie prowadzić właściwie pojęte duszpasterstwo. Dzisiaj widzimy, jak bardzo bezbronny jest Kościół, gdy w formacji zapomina o „zdrowej filozofii”. Niedługo minie ćwierć wieku nieczytania i nieprzyswajania sobie przez biskupów całego świata skierowanej do niej encykliki „Fides et ratio” z 1998 r.

Gdy dokument ujrzał światło dzienne, biskupem był już Jorge Bergoglio – dzisiaj biskup Rzymu – doskonały przykład

rozpętanej przez Rosję wojny przeciw Ukrainie. Tak, to prawda, św. Franciszek siedł rozmawiać z sułtanem. Z sułtanem, a nie z jego ciurą (to à propos wyprawy Franciszka do rosyjskiej ambasady w Rzymie).

Mamy też naszych rodzimych „konserwatystów – realistów – monarchistów” (w skrócie „kremy”). Część z nich mówi: „Nie jesteśmy ani za Rosją, ani za Ukrainą – jesteśmy za Polską”. I słusznie. Podobnie można by powiedzieć, że nie jesteśmy ani za Australią, ani za Nową Zelandią. Jedna „drobna” różnica polega na tym, że z Rosją i Ukrainą graniczymy, a ta większa (Rosja) napadła na tę mniejszą (Ukrainę) i w przypadku zwycięstwa agresora nasze

reformy umożliwiające zwiększenie armii, tak aby Rzeczpospolita przestała być „karczmą przydrożną” dla armii obcych mocarstw. Znaleźli się jednak „patrioci” opłaceni przez Berlin, którzy operując hasłem „To nie jest nasza wojna”, rwali sejmy w rytm otrzymywanych od Prusaka talarów. To prawda, że Austriacy mieli swoje na sumieniu, ale „kremy” tamtego czasu nie patrzyły na mapę i nie widziały, że Śląsk w pruskich rękach oznacza oskrzydlenie ziem polskich przez posiadłości Hohenzollernów. I już będzie chodzić nie tylko o połaczenie Królewca z Berlinem przez polskie Pomorze, lecz także o „zaokrąglenie” pruskiego terytorium kosztem Wielkopolski. Trzydzieści lat później ten fatalny scenariusz zaczął się realizować w ramach „specjalnej operacji aneksyjnej” (pierwszy rozbiór Polski) „zalegalizowanej” przez sejm w 1773 r. Legalność ponad wszystko – jak od lat piszą „kremy”, walczące ze wszystkimi „nielegalnymi” polskimi powstaniami.

Na „kremowe” strony nie wchodzi i nie oglądam „kremowych” telewizji internetowych, więc niewykluczone, że wyważam otwarte drzwi. Kto wie, może już pojawiło się „wyjaśnienie”, dlaczego rząd RP na początku pandemii chciał zakazać wstępu do lasów. Może już jest „kremowe” zdemaskowanie tła tej tajemniczej decyzji, że tak naprawdę chodziło wtedy o to, by w lasach dokonywała się tajna operacja „Most 2” przerzucania z Ukrainy uchodźców do Izraela. Albo może dlatego, że w lasach odbywały się tajne szkolenia batalionu „Azow” i innych formacji walczących później przeciw „ostatniej nadziei chrześcijańskiej cywilizacji” pobłogosławionej przez patriarchę Cyryla? Jeśli jakiś „krem” to czyta, to zastrzegam „copyright by GK”. ©©

Część rodzimych „konserwatystów – realistów – monarchistów” mówi: „Nie jesteśmy ani za Rosją, ani za Ukrainą – jesteśmy za Polską”. I słusznie. Podobnie można by powiedzieć, że nie jesteśmy ani za Australią, ani za Nową Zelandią. „Drobna” różnica polega na tym, że z Rosją i Ukrainą graniczymy, a ta Rosja napadła na Ukrainę

tego, że bez porządnej formacji filozoficznej pasterz Kościoła nie jest w stanie odpowiednio zaopatrzyć poranionych owieczek zwożonych do „wielkiego lazaretu” – Kościoła. Gdy zanika pojęcie „ładu miłości” (ordo caritatis), gdy odrzuca się obecne od wieków w nauczaniu Kościoła pojęcie „wojny sprawiedliwej”, nie potrafiąc odróżnić jej od obcego katolicyzmowi pojęcia „wojny świętej” (specjalność islamu) – powstaje sytuacja zamętu pojęciowego i sprzecznych komunikatów, które więcej zaciemniają, niż wyjaśniają.

Jak w przypadku reakcji obecnego papieża i jego sekretarza stanu wobec

geopolityczne położenie radykalnie się pogorszy.

To tak, jakby w 1740 r., gdy Prusy Fryderyka II napadły na Austrię, odbierając jej Śląsk – co było geopolitycznym game changerem w Europie Środkowej – ujawnili się w Rzeczypospolitej statysci twierdzący: „Nie jesteśmy ani za Prusami, ani za Austrią, jesteśmy za Polską” i: „Nie będziemy angażować się w wojnę, która nie jest nasza; nie będziemy wyciągać kasztanów z ognia dla Saksonii”.

W „realu” było łudząco podobnie. Czartoryscy próbowali wykorzystać niesporowaną agresję Prus na Austrię, by na sejmie przeprowadzić konieczne

UDUSIĆ



FOT. W. LEJONOWSKI / UTOJAKOŚĆ WYŚWIETLONA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gadam do telewizora, czasami krzyczę i często chcę udusić telewizor. Prowadzę dialog z władzą, która nie słyszy narodu, i w ten sposób zbieram myśli. Oto, co zebrałem, i można się ze mną nie zgadzać, bo tu nie chodzi o jedynomyślność, lecz o to, by istniała jakakolwiek wymiana opinii.

TV: Do Kijowa przyjeżdżają politycy – Ursula z UE, Borys z GB.

WC: To jakaś ustawka! Do kraju, na który spadają ruskie rakiety przyjeżdżają zagraniczne delegacje i spacerują po ulicach? Musieli się wcześniej dogadać z Moskwą, że Ruscy nie będą w tym czasie walić rakietami ani robić nalotów.

TV: Słowacja wysłała na Ukrainę system obrony powietrznej. Musi się go pozbyć, zanim dostanie rakiety Patriot z USA.

WC: Słowacja musi się najpierw rozbroić z tego co ma, zanim będzie się mogła uzbroić w nowy sprzęt z USA? Przecież to jest osłabienie NATO, przynajmniej czasowe.

TV: Niemcy tłumaczą się, że w magazynach Bundeswery zostało już niewiele broni, którą mogliby się podzielić.

WC: Dziesięć lat temu była mowa o tym, że Niemcy są duże, ale jednocześnie są słabym ogniwem NATO, bo mają zdezelowany sprzęt i pustki na magazynach. Czyli w razie ataku na Polskę uruchomią artykuł 5, ale jednocześnie nie pójdzie za tym uruchomienie żadnego sprzętu.

TV: Biden powiedział, że dotychczasowe sankcje nie przyniosły skutku, więc Ameryka szykuje kolejne.

WC: Sankcje nie działają, więc robimy więcej sankcji? Iran był i jest obłożony sankcjami od dziesięcioleci i nic z tego nie wynika.

TV: W Polsce spotkanie Dudy z Ursulą UE – rozmowy o dalszej pomocy dla Ukrainy.

WC: Z okazji tego miłego spotkania Duda mógł pozałatwiać kilka kluczowych spraw. Polska jest przez tę kobietę tępiąca na co dzień, Duda miał ją na swoim terenie, przy włączonych kamerach, mógł załatwić kilka rzeczy od ręki.

TV: Na Słowacji tymczasowo ustawiony będzie system Patriot.

WC: Tymczasowo??? O cholera, czyli oni oddali Ukrainie swój sprzęt na zawsze, a w zamian dostaną inny sprzęt tymczasowo?! To osłabia NATO.

TV: Coraz więcej rannych żołnierzy będzie trafiało do Polski. Wybudowano szpital polowy na granicy.

WC: Przyjmujemy na swoim terenie obce wojsko, czyli jesteśmy OFICJALNIE w stanie wojny z Rosją. Bezpieczniej byłoby te szpitale polowe postawić tuż za granicą, ale po stronie ukraińskiej.

TV: Trwa szkolenie wojsk polsko-amerykańskich w warunkach rzeczywistej walki. Ćwiczą na najnowszym sprzęcie.

WC: Powinni ćwiczyć również na przestarzałym ruskim, aby się go nauczyć. Na wypadek, gdyby przejęli ruską broń na linii frontu. To kluczowe znać uzbrojenie wroga i jego słabe punkty. To pozwala lepiej atakować.

TV: Premier Johnson zapewnił o wsparciu GB dla uchodźców w Polsce.

WC: Bardzo wygodne podejście... Żeby przypadkiem nie wyruszyli do Wielkiej Brytanii.

TV: Na zakaz importu węgla z Rosji potrzebna jest zgoda 27 państw.

WC: Nieprawda! Każde z tych państw może zaprzestać importu na własną rękę.

TV: Duda – jesteśmy jeszcze samowystarczalni w produkcji żywności.

WC: A od kiedy? Wszystkie warzywa w marketach są z Holandii.

TV: Jak pomóc rolnikom? Duda – nasz import z Ukrainy nie był wielki. Polska jest samowystarczalna. W wielu krajach ceny żywności są regulowane.

WC: To komunizm, gdy władza reguluje ceny żywności.

TV: W Hiszpanii zakaz płacenia rolnikom mniej niż koszty produkcji.

WC: Czyli rolnik, któremu gnije marchew, nie może jej sprzedać i odzyskać przynajmniej połowy kosztów.

TV: Morawiecki – ze zbrodniarzami się nie negocjuje.

WC: To zerwij natychmiast stosunki z Chinami, i ja to popieram – ze zbrodniarzami się nie negocjuje ani zakupu maszek, ani jedwabnego szlaku.

TV: W Polsce powołano Wojsko Obrony Cyberprzestrzeni.

WC: Świetny ruch! Czy to wojsko będzie miało kompetencje, aby zakazać TikToka i Huawei? Czy kamery w naszych miastach zostaną usunięte – wszystkie są chińskie – czy zostaną usunięte jako cyberzagrożenie? Czy technologia 5G zostanie usunięta?

TV: Premier zapowiedział 25 proc. podwyżki dla budżetówki.

WC: To na pokrycie inflacji, o której budżetówka wie więcej niż reszta narodu.

TV: Zdolność kredytowa Polaków zmniejszyła się o 30 proc. w ciągu pół roku.

WC: I to pokazuje realny poziom inflacji!

TV: Do samorządów trafiło 350 mln zł jako refinansowanie kosztów na uchodźców.

WC: A skąd ta forsza? Pożyczona od Chińczyków? Na jaki procent? Czy wydarto Polakom w podatkach?

TV: Z Rosji węgiel do Polski prawie nie dociera, bo środki transportu wykorzystuje wojsko na Ukrainie. Węgiel możemy kupować z Australii i RPA.

WC: A czemu nie kopimy węgla w Polsce, tylko kupujemy australijski?

TV: Prezes Orlenu – do procesów dywersyfikacji źródeł energii solidarność państw Europy jest konieczna. My będziemy dywersyfikować, a inni kupią od Rosji, wtedy ich gospodarki będą rozwijać się szybciej.

WC: I co z tego? Czy rozwój gospodarczy to wyścigi? Czy chodzi o to, by Polakom w Polsce żyło się dobrze?

TV: NBP kolejny raz interweniował, by wzmocnić złotego.

WC: Z tego wynika, że waluta jest słaba, skoro trzeba ją reanimować na siłę poprzez machlojki bankowe.

TV: Boom budowlany napędza polską gospodarkę, wzrost o 20 proc. w skali rok do roku.

WC: Nie żaden boom, tylko ludzie uciekają od pustej papierowej forszy w cokolwiek trwałego.

TV: W ostatnim kwartale ubiegłego roku Polska była najszybciej rozwijającą się gospodarką w UE.

WC: O ja cię kręcę! Uciekamy z tej Unii, bo nas ciągnie w dół. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1083~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KRZYSZTOF MASŁOŃ
„W PISARSKIM CZYŚĆCI. SYLWETKI
DWUDZIESTOWIECZNYCH PISARZY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

362,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 721 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9ab43e9c76

Fotowoltaika od Energa Obrót

Oszczędność mamy w naturze

Wybierz instalację fotowoltaiczną od Energa Obrót

- ☒ Produkuj własny prąd z odnawialnych źródeł i **obniżaj rachunki za energię elektryczną.**
- ☒ Umowę podpisujesz bezpośrednio z Energa Obrót Grupa ORLEN.

➤ **Zadzwoń na 555 555 505***
lub wypełnij formularz
na energa.pl

 **Energa** | GRUPA **ORLEN**
Obrót

*koszt połączenia wg stawek Twojego operatora. Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 9ab43e9c76